

n o w y p r z e k ł a d

SHERLOCK



HOLMES



ARTHUR CONAN DOYLE

Dolina Strachu

ARTHUR CONAN DOYLE

DOLINA STRACHU

**TYTUŁ ORYGINAŁU: „THE VALLEY OF FEAR”
PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ EVERT**

CZEŚĆ PIERWSZA
DRAMAT W BIRLSTONE

I

OSTRZEŻENIE

— Gotów bym myśleć... — zacząłem.

— A ja już bym myślał — przerwał mi Holmes niecierpliwie.

Uważam się za najłagodniejszego z ludzi na całym świecie, ale przyznaję, że zirytowała mnie ta ironiczna uwaga.

— Naprawdę, mój drogi — powiedziałem z przekonaniem — trudno z tobą czasami wytrzymać!

Holmes był jednak zbyt zajęty własnymi myślami, aby mi odpowiedzieć. Wsparł głowę na rękę i nie tknąwszy nawet śniadania, wpatrzył się w arkusik papieru, który przed chwilą wyjął z koperty. Potem wziął kopertę, uniósł do światła i bardzo starannie obejrzał ze wszystkich stron.

— Charakter Porlocka — rzekł z zadumą. — Nie myłę się, choć tylko dwa razy w życiu widziałem jego pismo. To „e” z tym szczególnym zakrętasem jest typowe dla niego. Ale sprawa musi być poważna, jeżeli on to pisał.

Mówił raczej do siebie niż do mnie, ale tak mnie zaciekał, że zapomniałem o złości.

— Kto to jest ten Porlock? — zapytałem.

— Porlock, mój drogi, to pseudonim, po prostu znak rozpoznawczy, za którym kryje się przebiegły i nieuchwytny jegomość. W poprzednim liście przyznał się szczerze, że to nie jego prawdziwe nazwisko, i rzucił mi wyzwanie, abym go wytropił w kilkumilionowym mrowisku tego wielkiego miasta. Porlock to ktoś ważny nie sam przez się, lecz ze względu na człowieka, z którym jest w kontakcie. Wyobraź sobie rybę-pilota i rekina, szakala żerującego przy lwie... coś mało znacznego, co jednak w połączeniu z czymś innym staje się straszne. Nie tylko straszne zresztą, lecz groźne...

W najwyższym stopniu groźne. Oto czemu się nim interesuję. Chyba wspominałem ci o profesorze Moriartym?

— Słynnym uczonym zbrodniarzu, tak słynnym wśród przestępców, jak...

— Nie zawstydzaj mnie — błagalnym mruknięciem zaprotestował Holmes.

— Chciałem powiedzieć: jak nie znanym szerokiej publiczności.

— Trafiony... trafiony, ani słowa! — wykrzyknął w odpowiedzi. — Niespodziewanie zdradzasz kąśliwy humor, przed którym, jak widzę, muszę się strzec w przyszłości. Nazywając jednak profesora Moriarty'ego zbrodniarzem, stajesz się winnym oszczerstwa i na tym właśnie polega niezwykłość i wielkość tego człowieka. Największy intrygant wszystkich czasów, organizator każdego łotrostwa, mózg przestępczego świata... mózg, który mógłby dźwignąć na wyżyny lub doprowadzić do upadku całe narody. To właśnie Moriarty. A jednocześnie jest tak wolny od podejrzeń... tak bez zarzutu... tak godny podziwu w swych czynach i w skromności, że mógłby cię zaskarżyć o obelgę, i twoja całoroczna renta poszłaby na odszkodowanie. Czyż nie jest autorem słynnego dzieła „Dynamika asteroidu”? Dzieła sięgającego takich szczytów matematyki, że podobno w całej naukowej prasie nie ma nikogo, kto by się podjął jego krytyki? Czy można oczerniać takiego człowieka? Doktor o nieopanowanym języku i oczerniony profesor — oto jakie byłyby wasze role. To geniusz, mój drogi. Ale jeżeli oszczędzą mnie drobniejsze rybki, jeszcze się z nim policzę.

— Chciałbym to widzieć! — wyrwało mi się z głębi serca. — Mówiłeś jednak o tym Porlocku.

— Tak, tak... ten tak zwany Porlock to jedno z ogniw w łańcuchu i to na samym jego początku. W dodatku, między nami mówiąc, ze skazą. Jak udało mi się stwierdzić, to jedyne nadpęknięte ogniwo w całym łańcuchu.

— Ale moc łańcucha mierzy się tym najsłabszym oczkiem.

— Słusznie, mój drogi. Stąd Porlock jest aż tak ważny. Pod wpływem jakiejś szczątkowej inklinacji do praworzędności, zachęcony namacalną podniętą w postaci przesłanego mu czasem skrycie dziesięciofuntowego banknotu, raz czy dwa dostarczył mi bardzo cennej wiadomości... wiadomości najwyższej wagi, takiej, co zapobiega zbrodni i uprzedza ją, zamiast służyć zemście. Nie wątpię, że gdybyśmy znali szyfr, doszlibyśmy do wniosku, że i ta informacja jest podobnego gatunku.

Znów rozpostarł kartkę na swoim talerzu, którego dziś jeszcze nie użył. Wstałem i pochyłony patrzyłem mu przez ramię na następującą, dziwaczną treść listu:

534 K213 127 36 31 4 17 21 41

Douglas 109 293 5 37 Birlstone

26 Birlstone 9 127 171

— No i co z tego wiesz? — zapytałem. — Najwyraźniej jest to jakaś zaszyfrowana, tajemnicza wiadomość.

— Ale co za sens przysyłać zaszyfrowana wiadomość, jeśli szyfr jest nieznan?

— W tym wypadku nie ma żadnego sensu.

— Czemu mówisz „w tym wypadku”?

— Bo istnieje wiele szyfrów, które odczytam równie łatwo jak apokryfy w kolumnie poszukiwania rodzin. Takie naiwne zagadki nie męczą, tylko bawią. Ale to całkiem inna sprawa. Szyfr oczywiście opiera się na jakiejś stronie z którejś książki. Nic z tego nie odcyfruję, póki się nie dowiem, o jaką książkę i o którą stronę chodzi.

— Czym wobec tego wytłumaczyć słowa „Douglas” i „Birlstone”?

— Jasne: tych słów nie ma na tamtej stronie.

— Dlaczego więc nie podał tytułu książki?

— Twój wrodzony spryt, mój drogi, ta charakterystyczna inteligencja, która jest rozkoszą twoich przyjaciół, z pewnością nie pozwoliłaby ci wpakować szyfru i klucza do niego w tę samą kopertę. Bo gdyby list dostał się w niepowołane ręce, byłoby po tobie. Tak zaś oba listy musiałyby w nie trafić, żeby ci się stało coś złego. Zaraz powinna nadejść druga poczta i zdziwię się mocno, jeżeli nie przyniesie nam następnego listu albo jakiegoś wyjaśnienia, albo też — książki, do której odnoszą się podane tu liczby.

Słowa Holmesa sprawdziły się już po paru minutach, gdy Billy, chłopiec na posługi, przyniósł nam oczekiwany list.

— To samo pismo — zauważył Holmes, otwierając kopertę. — I tym razem jest nawet podpis — dorzucił z podnieceniem, rozkładając kartkę. — Widzisz, mój drogi, robimy postępy.

Rzuciwszy okiem na treść, zmarszczył jednak brwi.

— Do diaska, to fatalne! Boję się, że paskudnie pomyliliśmy się w kalkulacji. Miejmy przynajmniej nadzieję, że Porlockowi nic się nie stało.

Szanowny Panie Holmes — czytał. — Umywam ręce od wszystkiego. To zbyt niebezpieczne. Podejrzewa mnie. Widzę to wyraźnie. Przyszedł zupełnie niespodziewanie, kiedy chcąc wysłać panu klucz do szyfru, adresowałem tę kopertę. Na szczęście udało mi się ją zakryć. Źle byłoby ze mną, gdyby ją zobaczył. Widziałem jednak po spojrzeniu, że mnie podejrzewa. Proszę, niech pan spali szyfrowaną wiadomość, która teraz już się panu nie przyda.

Fred Porlock

Przez chwilę Holmes siedział nieruchomo, miętosząc list w palcach, i zaszępioty patrzał w ogień na kominku.

— No cóż — powiedział — może to wcale niegroźne. Może tylko świadomość winy. Wie, że jest zdrajcą, i dlatego zdawało mu się, że wyczytał wyrok w spojrzeniu tamtego.

— Tamtego, to znaczy profesora Moriarty'ego?

— Ni mniej, ni więcej. Bo jeżeli ktoś z tej bandy mówi „on”, to wiadomo, kogo ma na myśli. Jest tylko jeden „on” górujący nad nimi wszystkimi.

— Ale co Moriarty może zrobić?

— Hm! To nie lada pytanie. Jeżeli masz do czynienia z jednym z najtęższych umysłów w Europie, wspartym wszystkimi ciemnymi mocami, to i możliwości stają się nieograniczone. W każdym razie nasz przyjaciel Porlock wydaje się śmiertelnie przerażony. Porównaj tylko pismo na kartce z tym na kopercie, którą adresował, jak sam pisze, przed ową złowieszczą wizytą. Pierwsze jest wyraźne i zwarte, drugie — nawet trudno odczytać.

— Po co w ogóle pisał? Czemu nie przyszedł?

— Przypuszczał, że będę go śledził, co mogłoby się źle dla niego skończyć.

— Tak — rzekłem. — Masz rację — wziąłem zaszyfrowaną wiadomość i pochyliłem się nad nią. — Szlag człowieka trafia na myśl, że ma przed sobą jakąś ważną tajemnicę na tym skrawku papieru i ani rusz nie może jej odcyfrować.

Sherlock Holmes odsunął na bok nie tknięte śniadanie i zapalił swoją intensywnie wonną fajeczkę — towarzysza najgłębszych medytacji.

— Zadziwiające! — rzekł, odchylając się w fotelu i patrząc w sufit. — Może coś tu umknęło temu machiawelskiemu sprytowi. Rozpatrzmy ten problem w świetle logiki. Facet opiera się na jakiejś książce. Od tego punktu zaczniemy nasze rozumowanie.

— Od niezbyt jasnego.

— Pomyślmy, czy nie zdołamy go trochę uściślić. Zagadka nie wydaje mi się taka zawiła, gdy się nad nią zastanawiam. Jakie mamy wskazówki co do tej książki?

— Żadnych.

— E, nie. Wcale nie jest tak źle. Szyfr zaczyna się od cyfry 534, prawda? A więc możemy przyjąć, że 534 jest numerem strony, do której odnosi się

szyfr. Mamy zatem do czynienia z grubą książką i to już nam coś daje. Czy są jeszcze jakieś inne wskazówki co do tego dzieła? Następnym znakiem jest K2. Co o tym sądzisz, drogi przyjacielu?

— Z pewnością rozdział drugi.

— Wątpię. Chyba zgodzisz się ze mną, że skoro nasz informator podał numer strony, nie potrzebował podawać rozdziału. Poza tym, gdyby strona 534 znajdowała się w drugim rozdziale, to pierwszy musiałby być nieprzyzwoicie długi.

— Kolumna! — krzyknąłem olśniony.

— Wspaniale! Doprawdy jesteś dziś niezrównany w swej błyskotliwości. Bardzo bym się więc rozczarował, gdyby to nie była kolumna. Jak widzisz więc, zaczyna się zarysowywać przed nami gruba księga, drukowana w dwóch kolumnach, najwyraźniej bardzo długich, skoro, jak wynika z listu, jedno słowo ma numer dwieście dziewięćdziesiąty trzeci. Czy na tym wyczerpaliśmy nasze możliwości wnioskowania?

— Chyba tak.

— O, mój złoty, jesteś niesprawiedliwy dla siebie. Zdobądź się na jeszcze jeden przebłysk inteligencji. Rusz mózgiem. A więc, gdyby to była jakaś rzadka księga, nasz informator byłby mi ją przysłał. Tymczasem, gdyby mu nie przeszkadzono, dosłałby mi tylko klucz do szyfru. Tak przecież pisze. A zatem przypuszczał, że ową księgę znajdę bez trudu. Ma ją i sądzi, że ja także ją mam. Krótko mówiąc, mój drogi, to księga bardzo pospolita.

— Rozumujesz zupełnie logicznie.

— A więc stopniowo zawężiliśmy nasz teren poszukiwań do grubej księgi, drukowanej w dwóch kolumnach i spotykanej powszechnie.

— Biblia! — krzyknąłem z tryumfem.

— Dobrze, bardzo dobrze! Ale jeszcze niezupełnie, pozwól sobie zauważyć. Nawet jeżeli przyjmiemy, że ja mam Biblię, wątpię bardzo, aby miał ją ktoś z szajki profesora Moriarty'ego. Poza tym istnieje tyle jej

wydań, że trudno przypuszczać, aby nasze dwa egzemplarze zgadzały się w paginacji. A więc chodzi o książkę bardziej standardową. O taką, w której strony 534 zawsze będą identyczne.

— Takich jest mało.

— Słusznie. I to całe szczęście. Musimy się rozejrzeć w standaryzowanych i bardzo rozpowszechnionych wydawnictwach.

— Księga adresowa Bradshawa!

— To nie takie łatwe. Język księgi adresowej jest rzeczowy, lecz skąpy. Trudno by tam było znaleźć słowa nadające się do przekazania obszerniejszej wiadomości. Musimy wykluczyć Bradshawa. Słowniki odpadają z tych samych przyczyn. Cóż pozostaje?

— Almanach.

— Cudownie! Diabelnie bym się pomylił, jeśli tym razem nie trafiłeś w sedno. Almanach. Zastanówmy się nad Almanachem Whitakera. Jest w każdym domu. Złożony w dwóch kolumnach, ma odpowiednią liczbę stron. Jego styl, początkowo zwięzły i skąpy, staje się, jak sobie przypominam, gadatliwy przy końcu. — Wziął Almanach z biurka.

— Proszę, strona 534, kolumna druga. Porządny kawał druku mówiący zdaje się o handlu i bogactwach Indii Brytyjskich. Notuj, mój drogi. Słowo trzynaste to „Mahratta”^{*1}. Obawiam się, że to nie bardzo zachęcający początek. Sto dwudzieste siódme — „rząd”, to nareszcie ma jakiś sens, aczkolwiek nie wydaje się, aby miało jakiś związek z nami i profesorem Moriartym. No, spróbujmy raz jeszcze. Co ma zrobić „rząd Mahratta”? Niestety, następne słowo to „świńska szczecina”. Leżymy, mój drogi, na obie łopatki! Koniec.

Mówił żartobliwym tonem, ale marszczył przy tym raz po raz krzaczaste brwi, co najlepiej świadczyło o jego głębokim rozczarowaniu i irytacji. Siedziałem bezradny i przygnębiony, patrzyłem w ogień.

¹* Mahratta — mieszkaniec Indii środkowych. (Przyp. tłum.)

Długą chwilę ciszy przerwał nagle okrzyk Holmesa, który zerwał się i sięgnął po jakąś inną księgę w żółtej okładce.

— Płacimy za to, że jesteśmy obaj zbyt nowocześni! — zawołał. — Wybiegamy naprzód i spotyka nas zwykła w takich razach kara. Mamy dziś 7 stycznia, zajrzeliśmy więc do tegorocznego Almanachu, gdy Porlock prawdopodobnie posłużył się jeszcze starym. Z pewnością poinformowałby nas o tym w drugim liście, gdyby go napisał. Spójrzmy teraz, co nam przynosi strona 534. Słowo trzynaste to „uwaga”, zresztą już bardziej obiecujące. Sto dwudzieste siódme — „grozi”, a więc: „uwaga, grozi” — oczy mu pały z podniecenia i szczupłe, długie palce drżały nerwowo, gdy liczył słowa. „Niebezpieczeństwo”. Ha! Ha! Cudnie! Pisz, pisz, mój drogi: „uwaga, grozi niebezpieczeństwo... może... nadejść... niebawem”. Teraz mamy imię: „Douglas... bogaty... majątek... teraz w... Birlstone... dwór Birlstone... pewność... bardzo pilne...” Proszę! Cóż sądzisz o logice i jej owocach? Gdyby w naszym sklepie z jarzynami można było dostać wieniec laurowy, posłałbym po niego Billa.

Patrzyłem na ten dziwny tekst, który pisałem pod dyktando Holmesa na arkusiku papieru trzymanym na kolanie.

— Jakież dziwaczny, niedołączny sposób wyrażania myśli! — powiedziałem.

— Nic podobnego, świetnie się wyraził — odparł Holmes. — W jednej kolumnie z pewnością nie znajdziesz wszystkich potrzebnych słów do przekazania wiadomości, o którą ci chodzi. Musisz więc zostawić coś domysłowi adresata. Sens jednak jest zupełnie jasny. Coś grozi jakiemuś tam Douglasowi zamieszkującemu, jak wynika z szyfru, „bogate włości”. Porlock jest tego pewny, bo nic bliższego do „pewny” niż „pewność” widocznie nie mógł znaleźć, że sprawa jest niezmiernie pilna. Oto nasz wynik — i trzeba przyznać, że była to doprawdy mistrzowska analiza.

Holmes potrafił, jak prawdziwy artysta, obiektywnie, dla samej sztuki,

cieszyć się sukcesem, nawet jeżeli odniósł go w dziedzinie, którą uważał za niegodną siebie. Wciąż jeszcze chichotał radośnie, kiedy drzwi się otworzyły i Billy wprowadził do pokoju inspektora MacDonalda ze Scotland Yardu.

W tym okresie, pod koniec lat osiemdziesiątych, Alec MacDonald był jeszcze daleki od tej sławy, jaką teraz cieszy się w kraju. Ten młody detektyw zapowiadał się jednak obiecująco na tle innych detektywów i zdołał się już wyróżnić w kilku powierzonych mu sprawach. Wysoki, kościsty, robił wrażenie bardzo silnego, a głęboko osadzone, błyszczące oczy i duża czaszka, nie mniej dobitnie niż spojrzenie rzucone spod krzaczastych brwi, świadczyły o żywej inteligencji. Z natury spokojny, był niezwykle rzeczowy, a mówił twardym aberdeńskim akcentem. Holmes dwa razy już dopomógł mu w osiągnięciu sukcesu, poprzestając jedynie na samej satysfakcji, jaką mu to dało. Z tego to powodu ów Szkot żywił dla niego głęboki szacunek, wyrażający się w szczerości, z jaką zawsze prosił o radę w trudnych wypadkach. Mierność nie zna nic wyższego nad siebie, gdy prawdziwy talent natychmiast rozpozna geniusza. MacDonald zaś był na tyle utalentowany w swoim zawodzie, aby zrozumieć, że bynajmniej nie sprawi mu to ujmy, jeżeli poprosi o pomoc człowieka, który nie miał sobie równego w Europie — tak pod względem zdolności, jak i doświadczenia. Holmes niełatwo się przyjaźnił, lubił jednak krzepkiego Szkota, toteż uśmiechnął się na jego widok.

— Ranny z pana ptaszek — rzekł. — Życzę panu jak najlepiej w kłopotach, które pana dręczą, ale boję się, że szykuje się coś złego.

— Gdyby pan rzekł „spodziewam się” zamiast „boję się”, byłby pan bliższy prawdy — odparł inspektor z porozumiewawczym uśmiechem. — Być może mały lyczek czegoś mocnego odstraszyłby poranny chłód od ciała. Nie, dziękuję panu, nie będę palił. Musiałem się śpieszyć, bo jak pan sam najlepiej wie, w każdej sprawie najważniejsze są te pierwsze godziny. Ale... Ale...

Umilkł nagle i osłupiałym ze zdumienia wzrokiem patrzył na kawałek papieru na stole. Był to arkusz, na którym zapisałem zagadkową informację.

— Douglas! — wykrztusił wreszcie. — Birlstone! Co to znaczy, panie Holmes? Jakież czary! Jakim cudem wpadł pan akurat na nazwisko tego człowieka i na tę miejscowość?

— To szyfr, który udało mi się odczytać wspólnie z doktorem Watsonem. Ale co... co się tam stało?

Inspektor wodził zdumionym wzrokiem od Holmesa do mnie.

— To — rzekł w końcu — że pana Douglasa z Birlstone okrutnie zamordowano dzisiejszego ranka.

II

ROZWAŻANIA SHERLOCKA HOLMESA

Był to jeden z tych dramatycznych momentów, jakby stworzonych dla mojego przyjaciela. Przesadziłbym mówiąc, że wstrząsnęła nim lub nawet, że go przestraszyła ta okropna wiadomość. Nie mając ani krzty okrucieństwa w swoim zdumiewającym charakterze, niewątpliwie od dawna był znieczulony na tego rodzaju niezdrowe podniety. Ale jeżeli nawet jego zdolność duchowych wzruszeń została stępiona, to rozumowe reakcje były niezwykle żywe. Dlatego też nie wykazał ani śladu przerażenia, jakie mnie ogarnęło przy tej lakonicznej informacji o morderstwie. Przypominał raczej chemika, który ze spokojem i zaciekawieniem patrzy na osiadanie kryształów w jakimś nasyconym roztworze.

— To ciekawe! — rzekł. — Ciekawe!

— Pan się nie dziwi?

— Ciekawi mnie to, ale nie dziwi, inspektorze. Czemu miałoby mnie dziwić? Odebrałem anonimowe ostrzeżenie z kół, które traktuję bardzo poważnie. Zawiadomiono mnie, że komuś grozi niebezpieczeństwo. A w godzinę potem dowiaduję się, że to niebezpieczeństwo już się zmaterializowało i że owa osoba nie żyje. Ciekawi mnie to, ale jak pan słusznie zauważył, nie dziwi.

W paru słowach opowiedział o liście i zdradził tajemnicę szyfru. Inspektor siedział, podparłszy rękoma podbródek i ściągnąwszy jasnobrązowe, krzaczaste brwi.

— Miałem jechać rano do Birlstone — rzekł — i wpadłem tutaj, aby się dowiedzieć, czy pan nie wybrałby się ze mną. Z pańskim przyjacielem oczywiście. Ale z tego, co slysze, może tu w Londynie moglibyśmy coś więcej zdziałać.

— Nie wydaje mi się — rzekł Holmes.

— Niech to piorun trzaśnie, panie Holmes! — wykrzyknął inspektor. — Jutro lub pojutrze gazety rozpiszą się o „tajemniczym morderstwie w Birlstone”, lecz gdzież tu tajemnica, jeżeli ktoś w Londynie zawczasu zapowiada to morderstwo? Trzeba go tylko aresztować, a reszta już się wyda.

— Niewątpliwie, inspektorze. Ale jak pan sobie wyobraża aresztowanie tak zwanego Porlocka?

MacDonald zaczął obracać w ręku list podany mu przez Holmesa.

— Wysłany z Camberwell... to nam wiele nie da. Nazwisko, jak pan twierdzi, przybrane. Diabło mało. Ale czy pan nie mówił, że pan mu posyłał pieniądze?

— Dwukrotnie.

— A jak?

— Na poste restante do Camberwell, w banknotach. — I nie zainteresował się pan, kto je odebrał?

— Nie.

Inspektor wydawał się zaskoczony i nawet trochę zgorszony.

— Czemu?

— Bo zawsze dotrzymuję słowa. Kiedy Porlock po raz pierwszy napisał do mnie, przyrzekłem, że nie będę go śledził.

— Myśli pan, że za nim ktoś stoi?

— Wiem, że tak.

— Ten profesor, o którym pan już mi wspominał?

— Tak.

MacDonald uśmiechnął się i mrugnął do mnie okiem.

— Nie będę przed panem ukrywał, panie Holmes, że my w Wydziale Kryminalnym uważamy, iż pan ma lekkiego bzika na punkcie tego profesora. Interesowałem się nawet osobiście tą sprawą. To gość ze wszech

miar poważny, uczony i wielce utalentowany.

— Rad jestem, że się pan na nim poznał.

— Człowieku, jakżebym mógł się nie poznać! Gdy mi pan powiedział, co pan o nim myśli, postanowiłem do niego pójść. Pogadaliśmy o zaćmieniach. Nawet nie wiem, jak i kiedy — wyciągnął jakąś latarnię magiczną oraz globus i w mig wszystko jasno wyłożył. Pożyczył mi nawet książkę, ale nie wstydzę się przyznać, że jest dla mnie za mądra, mimo że chodziłem do dobrej szkoły w Aberdeen. Byłby niezłym księdzem — z tą pociągłą twarzą, siwą czupryną i uroczystym tonem. Kiedy przy pożegnaniu położył mi ręce na ramionach, zdawało się, że błogosławi syna wstępującego w nieczuły, okrutny świat. Holmes zachichotał i zatarł ręce.

— Nadzwyczajne! — rzekł. — Nadzwyczajne! Niech mi pan powie, drogi przyjacielu: ta wzruszająca rozmowa odbyła się, jak sędzę, w gabinecie profesora, co?

— Tak.

— To piękny pokój, nieprawda?

— Piękny, bardzo ładnie urządzone, istotnie.

— Siedział pan przed biurkiem?

— Tak.

— W słońcu, a on w cieniu?

— To było wieczorem, lecz przypominam sobie, że blask lampy padał na mnie.

— Jakże inaczej! A czy nie zwrócił pan uwagi na obraz nad głową profesora?

— Niewiele rzeczy umknie mojej uwagi. Może nauczyłem się tego od pana. Tak, widziałem ów obraz... młoda kobieta z głową wspartą na rękach i jakby spoglądająca na pana z ukosa.

— To obraz Jana Baptysty Greuze'a.

Inspektor próbował udać zaniepokojenie.

— Jan Baptysta Greuze — ciągnął Holmes stykając dłonie koniuszkami palców i odchylając się w fotelu — był francuskim malarzem i doszedł do najwyższego rozkwitu między rokiem 1750 i 1800. Oczywiście myślę o jego malarskiej karierze. Nowoczesna krytyka wyraża się o nim jeszcze pochlebniej niż jego współcześni.

Po oczach inspektora widać było, że nie słucha.

— Może lepiej powrócilibyśmy... — zaczął.

— Nic innego nie robimy — przerwał mu Holmes. Wszystko, co mówię, jak najściślej i bezpośrednio łączy się z tym, co pan nazywa „tajemnicą Birlstone”. W gruncie rzeczy można by to nazwać nawet jej sednem.

MacDonald uśmiechnął się blado i rzucił mi błagalne spojrzenie.

— Za szybko pan myśli jak dla mnie — rzekł, zwracając się do Holmesa. — Opuszcza pan jakieś jedno czy drugie ogniwo i tracę wątek. Jakiż, u Boga Ojca, związek może mieć zmarły malarz ze zbrodnią w Birlstone?

— Detektywowi przyda się każda wiadomość — sentencjonalnie zauważył Holmes. — Nawet taki trywialny fakt, że w roku 1856 obraz Greuze’a „Dziewczę z jagnięciem” osiągnął na aukcji u Portalisa cenę ni mniej, ni więcej, tylko czterech tysięcy funtów, może obudzić pewne refleksje w pańskim umyśle.

Obudził bez wątpienia, bo inspektor nagle zaczął zdradzać zainteresowanie.

— Chciałbym też panu przypomnieć — ciągnął Holmes — że w odpowiednich informatorach bez trudu można sprawdzić, jaką pensję pobiera profesor. A mianowicie siedemset funtów rocznie.

— No to jak mógł kupić...

— Ano właśnie. Jak mógł?

— O, to ciekawe — z zadumą stwierdził inspektor. — Niech pan mówi dalej, lubię pana słuchać. Naprawdę zadziwiająca są te pańskie wywody.

Holmes uśmiechnął się. Szczery podziw zawsze mile lechtał jego ambicję.

Charakterystyczna cecha prawdziwego artysty.

— Dobrze, ale co z Birlstone?

— Mamy czas — odparł inspektor, spojrzawszy na zegarek. — Dorożka czeka przed drzwiami. Najdalej w dwadzieścia minut zawiezie nas na stację Wiktorii. Ale w sprawie tego obrazu... Kiedyś mówił pan, że pan nigdy nie widział profesora Moriarty'ego...?

— Tak, nigdy go nie widziałem.

— Więc skąd pan zna wygląd jego mieszkania?

— To już inna sprawa. Byłem u niego trzy razy. Dwukrotnie pod różnymi pretekstami czekałem, aż przyjdzie, i wychodziłem, nim się zjawiał. Raz... nie powinienem właściwie przyznawać się do tego przed urzędowym detektywem. Ostatnim razem pozwoliłem sobie przejrzeć jego papiery... z całkiem niespodziewanym skutkiem.

— Znalazł pan coś obciążającego?

— Nic a nic. I to mnie ogromnie zdziwiło. Zna pan już cenę tego obrazu. Można by sądzić, że profesor to bogacz. Skąd doszedł do takiego majątku? Nie ożenił się, więc i nie wziął posagu. Jego młodszy brat jest zawiadowcą stacji gdzieś w zachodniej Anglii. Katedra przynosi siedemset funtów rocznie całego kramu. I z tym wszystkim profesor ma Greuze'a!

— No więc?

— Wniosek jasny.

— Myśli pan, że ciągnie duże dochody z podejrzanych źródeł?

— Tak. Oczywiście nie brak mi innych powodów, aby tak myśleć... Dziesiątki drobnych niteczek niepostrzeżenie biegną ku środkowi pajęczej sieci, gdzie nieruchomo czai się ten odrażający stwór. O obrazie Greuze'a wspomniałem tylko dlatego, że pan go sam widział.

— Dobrze, panie Holmes, przyznaję, że to bardzo ciekawe. Więcej nawet niż ciekawe, bo zadziwiające. Ale konkretnie biorąc, o co go pan podejrzewa: o fałszerstwo, podrabianie pieniędzy, włamania? Skąd czerpie

te zyski?

— Czytał pan kiedy o Jonathanie Wildzie?

— Coś mi się obilo o uszy. To jakiś powieściowy bohater, prawda? Nie wierzę w tych detektywów z powieści... zawsze im się wszystko udaje i nie wiadomo, jakim cudem. Natchnienie nimi kieruje, nic więcej.

— Jonathan Wild nie był ani detektywem, ani bohaterem powieści: był królem zbrodniarzy i żył w ubiegłym wieku... w 1750 roku czy coś około tego.

— Jak tak, to po co mam o nim wiedzieć? Ja jestem człowiek praktyczny.

— Drogi panie, nie może pan zrobić nic bardziej praktycznego w życiu, niż zamknąć się na trzy miesiące i całkowicie odgradzony od świata po dwanaście godzin na dobę czytać kroniki kryminalne. Wszystko się powtarza, nawet profesor Moriarty. Jonathan był szarą eminencją podziemnego świata Londynu, któremu służył swym genialnym umysłem i niezwykłym talentem organizacyjnym za piętnaście procent od przestępczych zysków. Nie ma i nic nowego nie będzie pod słońcem. W obracającym się bez przerwy kole wciąż migają nam te same szprychy. Powiem panu parę rzeczy o Moriartym, które mogą pana zaciekać.

— Słucham z zainteresowaniem.

— Przypadkiem wiem, kto jest pierwszym ogniwem w tym łańcuchu... łańcuchu z tym wykolejonym Napoleonem na jednym końcu oraz setką rozproszonych żołnierzy — kieszonkowców, szantażystów, szulerów i innych — na drugim. A łączą ich przeróżne zbrodnie. Jego szefem sztabu jest pułkownik Sebastian Moran, tak samo w cieniu i tak samo nieuchwytny dla prawa jak on. Jak pan myśli, ile Moriarty mu płaci?

— Ciekaw jestem.

— Sześć tysięcy funtów rocznie. Za pomysły. Na amerykańską modłę. O tym wszystkim dowiedziałem się przypadkiem. Premier tyle nie ma. Teraz widzi pan, jakie zyski ciągnie Moriarty i na jaką skalę pracuje. I jeszcze

coś. Zadałem sobie trud zbadania czeków wystawianych przez Moriarty'ego... zwykłych, niewinnych czeków, którymi pokrywa wydatki na dom. Wystawia je na sześć różnych banków. Co to panu mówi?

— Dziwne. Ale co pan o tym myśli?

— Że nie chce, aby gadano o jego bogactwie. Żadna żywa dusza nie powinna wiedzieć, ile ma pieniędzy. Głowę dam za to, że otworzył sobie konta w dwudziestu bankach... że gros swojej fortuny trzyma za granicą w Banku Niemieckim lub w Credit Lyonnais. Jeżeli będzie pan mógł kiedyś poświęcić tej sprawie rok czy dwa, radzę zająć się osobą profesora Moriarty'ego.

Ta rozmowa coraz bardziej pochłaniała inspektora MacDonalda. Zapomniał o bożym świecie. Ale nagle zbudził się w nim jego praktyczny, szkocki umysł.

— To sprawa niepilna — rzekł. — Swoimi ciekawymi opowiastkami zwekslował nas pan na boczny tor. Z tego, co pan mówił, ważne jest tylko istnienie jakiegoś związku między profesorem Moriartym i ostatnią zbrodnią. Dowiedział się pan o tym z ostrzeżenia nadesłanego przez tego Porlocka. Czy to się nam w ogóle na coś przyda?

— Pozwoli nam wytworzyć sobie pewien pogląd na motywy zbrodni. Z pańskich słów wynika, że są one niezrozumiałe lub niejasne. Zakładając więc, że znamy źródło przestępstwa, mamy też prawo założyć dwa różne jego powody. Po pierwsze, muszę panu powiedzieć, że profesor Moriarty trzyma swych ludzi żelazną ręką. Wprowadził drakońską dyscyplinę. Zna jedną jedyną karę: śmierć. Przypuśćmy więc, że zamordowany — ów Douglas, o którego bliskim już losie wiedział jeden z podkomendnych tego arcyzbrodniarza — w jakiś sposób zdradził swego szefa. Miał za to ponieść karę, o czym wszyscy inni członkowie szajki powinni byli wiedzieć dla samego przykładu.

— To jedno przypuszczenie, panie Holmes, a drugie?

— Że tę zbrodnię inspirował Moriarty w celu zwykłego rabunku. Czy go popełniono?

— Nic o tym nie wiem.

— Rabunek obalalby pierwszą hipotezę i przemawiałby za drugą. Moriarty mógłby ukartować zbrodnię za udział w rabunku albo pokierować nią za z góry ustaloną kwotę. Obie rzeczy są możliwe. Ale jedno czy drugie, czy nawet trzecie — w Birlstone musimy szukać rozwiązania. Za dobrze znam tego człowieka, abym przypuszczał, że zostawił nam tu jakiś kompromitujący ślad.

— No to jedźmy do Birlstone! — wykrzyknął MacDonald, zrywając się z miejsca. — O, do licha, jest później, niż myślałem. Macie, panowie, najwyżej pięć minut na przygotowanie się do drogi.

— Aż za wiele jak dla nas — rzekł Holmes, wstając z fotela, by zdjąć szlafrok i włożyć marynarkę. — Po drodze opowie pan nam wszystko, co pan wie o tej zbrodni.

To „wszystko” okazało się rozpaczliwie mało, a jednak dość, abyśmy nabrali przekonania, że oczekująca nas zagadka zasługuje na staranne i umiejętne zbadanie. Sherlock Holmes promieniał i zacierał kościste ręce, słuchając skąpych, ale jakże znaczących szczegółów zabójstwa. Mieliśmy za sobą długie i nudne tygodnie beczynności, a tu nareszcie znalazł się jakiś odpowiedni cel dla tych niezwykłych uzdolnień Holmesa, które — jak wszystkie rzadkie dary — ciążyły posiadaczowi, gdy leżały odłogiem. Ostry jak brzytwa umysł tępał i rdzewiał w beczynności. Teraz, na ten apel bojowy, oczy Holmesa zabłysły żywiej, krew nabiegła mu do policzków, a całe nerwowe i energiczne oblicze gorzało wewnętrznym światłem. Pochylony w dorożce uważnie słuchał krótkiej relacji MacDonalda o tym, co nas czeka w Sussex. MacDonald wyjaśnił, że wie tyle tylko, co wyczytał w pośpiesznie skreślonej notatce, przywiezionej mu o świcie przez konduktora pociągu dowożącego mleko do miasta. White Mason, miejscowy detektyw,

był przyjacielem MacDonalda, który dzięki temu dowiedział się o wszystkim szybciej niż w zwykłej drodze urzędowej, kiedy prowincjonalna policja zwraca się do Scotland Yardu o pomoc. Normalnie stołecznych detektywów wzywają już na zupełnie zimny ślad.

Drogi inspektorze — czytał nam MacDonald — oficjalne wezwanie znajdzie pan w załączonej kopercie. To, co tu piszę, piszę prywatnie. Proszę zatelegrafować, którym pociągiem przyjedzie pan do Birstone, to wyjdę na stację lub przyślę kogoś, gdybym był zbyt zajęty. Ta sprawa to sensacja. Niech pan nie traci ani chwili i zaraz przyjeżdża. Jeżeli pan może przywieźć Holmesa, niech go pan zabierze, bo to coś dla niego. Gdyby nie trup, rzekłoby się, że wszystko zostało obmyślane na teatralny efekt. Mówię panu, że to bomba!

— Pański przyjaciel zdaje się ma dobrze w głowie — zauważył Holmes.

— O tak, proszę pana, moim zdaniem White Mason to facet do rzeczy.

— Co pan wie jeszcze?

— Tyle, że reszty dowiemy się od niego na stacji.

— Więc na jakiej podstawie sądzi pan, że chodzi o Douglasa i o okrutne morderstwo?

— Z załączonego urzędowego raportu. Nie mówi się w nim „okrutne”. Tego określenia nie znamy w oficjalnej terminologii. Raport jednak wymienia nazwisko „John Douglas”. Podaje, że zmarł on na skutek postrzału z dubeltówki w głowę. Wymienia też godzinę, o której zawiadomiono policję: tuż przed dwunastą ubiegłej nocy. Precyzuje, że według wszelkiego prawdopodobieństwa chodzi tu o morderstwo, że nikogo jednak w związku z tym nie zatrzymano, że sprawa jest nader skomplikowana i niezwykle zawiła. To wszystko, panie Holmes. Już nic więcej nie wiem.

— A więc poprzestańmy chwilowo na tym. Nieszczęściem naszego zawodu jest skłonność do przedwczesnego wysnuwania teorii na podstawie niedostatecznych przesłanek. Na razie widzę przed sobą tylko dwie pewne rzeczy: genialny mózg w Londynie i trupa w Sussex. Musimy wykryć, co je łączy.

III

TRAGEDIA W BIRLSTONE

A teraz na chwilę pożegnajmy czytelników i wycofajmy się za kulisy moją skromną osobę, opiszę wypadki, które poprzedziły nasze wejście na scenę, tak jak dowiedzieliśmy się o nich później. Tylko w ten sposób czytelnicy zdołają ocenić ludzi zamieszanych w ów dramat i przedziwną scenerię, w której ich los się dopełnił.

Wieś Birlstone to grupka bardzo starych, półdrewnianych domków na północnej granicy hrabstwa Sussex. Od wieków nic się tu nie zmieniło i dopiero w ostatnich paru latach malowniczość i położenie tego zakątka zwróciły uwagę tutejszych zamożnych obywateli, których wille wyzierają z okolicznych lasów. Ogólnie uważa się tu, że owe lasy to obrzeże gęstych lasów Weald, które przerzedzając się stopniowo, dochodzą wreszcie aż do północnych kredowych wzgórz. W samym Birlstone powstało parę sklepów, aby zaspokoić potrzeby rosnącej liczby mieszkańców, tak że niebawem może ono ze starej wsi stać się nowoczesnym miasteczkiem. Zresztą poza nim na tym sporym kawałku hrabstwa nie ma żadnego większego centrum, albowiem Tunbridge Wells — najbliższe poważniejsze miasto — leży o dwanaście mil na wschód, już w granicach hrabstwa Kent.

O pół mili od Birlstone, w starym parku, słynnym z olbrzymich wiekowych buków, stoi antyczny dwór. Część tego szacownego budynku pochodzi jeszcze z okresu wypraw krzyżowych, kiedy to Hugo de Capus wznosił warowny gród w samym środku włości nadanych mu przez Czerwonego Króla. Gród ten spłonął w roku 1534, a za panowania króla Jakuba część jego osmalonych narożników posłużyła do wystawienia ceglanego dworu na ruinach dawnego feudalnego kasztelu. Ze swoimi szczytami i oknami o romboidalnych szybkach dwór ten pozostał takim,

jakim go zbudowano z początkiem siedemnastego wieku. Z dwóch fos, które ongiś chroniły jego znacznie bardziej wojowniczego właściciela, zewnętrzna zdążyła już wyschnąć i służyła tak prozaicznym celom jak ogród warzywny. Wewnętrzna natomiast pozostała i — szeroka na czterdzieści stóp, choć głęboka zaledwie na parę — otaczała budynek. Zasilalo ją nieduże źródelko, dzięki czemu woda w niej, mimo że mętna, nigdy nie przypominała stojącej i nie gnęła. Okna parteru wznosiły się zaledwie o stopę nad jej powierzchnią. Jedyne wejście do dworu wiodło przez zwodzony most, którego łańcuchy i kołowrót od dawna zardzewiały i popękały. Ostatni właściciel tego domostwa ze zgoła niezwykłą energią naprawił to wszystko i teraz most podnoszono co wieczór i opuszczano rankiem. Dzięki temu powrotowi do średniowiecznych zwyczajów, teren dworu na noc stawał się wyspą, co odegrało zasadniczą rolę w tajemnicy, która niebawem miała przykuć uwagę całej Anglii.

Dwór od lat stał nie zajęty i niebawem już groziło mu rozpadnięcie się w malownicze ruiny, gdy nabyli go Douglasowie. Ta rodzina składała się tylko z dwojga ludzi. Z Johna Douglasa i jego żony. Douglas był niezwykłym człowiekiem, zarówno z charakteru, jak i z wyglądu. Lat około pięćdziesięciu, o wyrobionych, mocnych zuchwach, grubych rysach, siwiejących wąsach, szczególnie żywym spojrzeniu szarych oczu i żyłastej, krzepkiej budowie, wciąż jeszcze sprawiał wrażenie młodzieńczo krzepkiego i energicznego. Na ogół pogodny i dobroduszny, był jednak trochę nieokrzesany, co kazało przypuszczać, że obracał się dotąd w sferach o wiele niższych niż obywatelskie, z którymi teraz przestawał w Sus — sex. Jednakże, choć traktowany z pewną rezerwą przez bardziej kulturalnych sąsiadów, szybko zdobył sobie wielką popularność we wsi, bo nie szczędził datków na żadne lokalne cele i chętnie uczestniczył we wszystkich amatorskich imprezach, które uświetniał swoim pięknym, (dźwięcznym tenorowym głosem. Wydawał się bardzo bogaty, a majątek zdobył podobno

w kalifornijskich kopalniach złota. Z jego własnych słów i z opowiadań żony jasno wynikało, że część życia spędził w Ameryce. Niepospolitą odwagą, nieogładaniem się na żadne niebezpieczeństwo pogłębił jeszcze to dodatnie wrażenie, jakie wywarł demokratycznymi manierami i szerokim gestem. Mimo że był złym jeźdźcem, nie opuścił żadnego polowania na lisy i z determinacją brał najbardziej strome wzniesienia, aby nie okazać się gorszym od najlepszych. A kiedy wybuchł pożar na plebanii, bez cienia lęku wynosił meble z płonącego budynku, choć miejscowa straż już zupełnie opuściła ręce. Tak więc w ciągu pięciu lat John Douglas zdobył sobie powszechne uznanie i szacunek całego Birlstone.

Jego żona też zyskała popularność u tych, którzy ją poznali, jakkolwiek według angielskiego zwyczaju mało kto i rzadko kiedy odwiedzał obcych, którzy bez żadnych rekomendacji osiedli w okolicy. Niewiele sobie jednak z tego robiła, bo z usposobienia była raczej odludkiem, i — sądząc z pozorów — zajmował ją całkowicie mąż i gospodarstwo. Wiedziano, że była Angielką i że swego obecnego męża poznała w Londynie już jako wdowca. O jakieś dwadzieścia lat młodsza od niego, była ładna, wysoka, ciemnowłosa, zgrabna, a różnica wieku nie zdawała się w niczym wpływać na jej małżeńskie pożycie. Jednak ci, którzy znali ich lepiej, mogli czasami zaobserwować brak całkowitej szczerości w tym stadle. Albo pani Douglas nie chciała mówić o tym czy owym z dawnego życia męża, albo też — co wydawało się bardziej prawdopodobne — nie zwierzył się on jej ze wszystkiego. Parę bystrzejszych osób zauważyło również i komentowało fakt, że pani Douglas zdradzała nieraz dość silne zdenerwowanie i wielki niepokój, gdy mąż spóźniał się do domu. Na spokojnej wsi, gdzie chętnie nadstawia się ucha na każdą plotkę, ta nerwowość właścicielki dworu Birlstone musiała rzucać się w oczy, a gdy zaszły wypadki, które nadały jej specyficzne znaczenie, natychmiast ożyła i urosła do niezwykłych rozmiarów w ludzkiej pamięci.

Był jeszcze ktoś, kto wprawdzie tylko przelotnie bawił pod dachem tego dworu, lecz czyja obecność podczas tajemniczych wydarzeń, które zaraz opowiem, rozgłosiła jego nazwisko. Chodzi o Cecila Jamesa Barkera z Hales Lodge, Hampstead.

Cecil Barker, mężczyzna słusznego wzrostu, wysportowany, był znaną postacią na głównej ulicy w Birlstone, bo często odwiedzał dwór. Tym bardziej zwracał uwagę, że w owym angielskim otoczeniu uchodził za jedynego przyjaciela Johna Douglasa z jego tajemniczego okresu życia. Barker bez wątpienia był Anglikiem, ale z rzucanych przez niego półsłówiek wynikało, że poznał Douglasa w Ameryce i że tam się też zaprzyjaźnili. Uchodził za bardzo bogatego kawalera. Młodszy od Douglasa, mógł mieć najwyżej czterdzieści pięć lat. Wysokiego wzrostu, szeroki w piersiach, trzymał się prosto. Twarz, typową twarz boksera, golił gładko. Brwi miał ciemne, gęste, spod których wyglądały czarne oczy o spojrzeniu tak władczy, że bez pomocy wprawnych w tym rąk torował sobie nimi drogę we wrogiej ciżbie. Nie jeździł konno, nie polował i od rana do nocy włóczył się po wsi z nieodłączną fajką w zębach. Czasem też jeździł po pięknej okolicy z gospodarzem lub — w razie jego nieobecności — z gospodynią. „Porządny facet i nieskąpy — rzekł o nim lokaj Ames — nie chciałbym jednak wejść mu w drogę”.

Z Douglasem łączyły Barkera kordialne stosunki. Z panią Douglas — niemniej przyjacielskie, co nieraz jakby irytowało jej męża i co nawet służba dostrzegła. Taka oto była trzecia osoba — na prawach najbliższego członka rodziny pod tym dachem — kiedy wydarzyło się nieszczęście. Jeśli chodzi o innych mieszkańców starego dworu, wystarczy wymienić spośród licznej służby bardzo sztywnego, czcigodnego i bystrego Amesa oraz panią Allen, wesołą i pulchną osobkę, która pomagała pani Douglas w gospodarstwie. Pozostała służba, w liczbie sześciu osób, nie mogła mieć żadnego związku z wypadkami, które się wydarzyły w nocy z piątego na

szósty stycznia.

O jedenastej czterdzieści pięć zaalarmowano mały miejscowy posterunek policji, którego szefem był sierżant Wilson. Cecil Barker przybiegł do drzwi i mocno podniecony, gorączkowo jął szarpać za dzwonek.

— Straszna tragedia wydarzyła się we dworze. Zamordowano pana Johna Douglasa! — Tyle zdołał z siebie wykrztusić i bez tchu popędził z powrotem do dworu.

Sierżant wybiegł w parę minut po nim i zjawił się na miejscu zbrodni nieco po dwunastej, uprzedziwszy jeszcze o tym niezwykłym wydarzeniu swoje władze.

Gdy zjawił się we dworze, zastał most spuszczone, okna oświetlone, a wszystkich domowników w stanie strasznego zdenerwowania. Pobladła służba skupiła się w sieni, a przerażony lokaj, załamując ręce, stał na progu. Tylko Cecil Barker wydawał się panować nad sobą. Otworzył najbliższe drzwi i skinął na sierżanta. W tej chwili przybył doktor Wood, zdolny i bystry lekarz ze wsi. We trzech weszli do fatalnego pokoju, a przerażony lokaj podążył za nimi i zamknął drzwi przed nosem pokojówek, by im oszczędzić strasznego widoku.

Zamordowany leżał pośrodku pokoju, na wznak, z rozkrzyżowanymi rękami i nogami. Ubrany był w pąsowy szlafrok wprost na nocną koszulę. Na nogach miał miękkie ranne pantofle. Doktor ukląkł przy zwłokach i oświetlił je lampą, którą wziął ze stołu. Od jednego rzutu oka poznał, że tu już nic po nim. Trup był straszliwie zmasakrowany. Na jego piersiach leżała dziwaczna broń: dubeltówka z lufą uciętą o jakąś stopę od obu spustów. Strzelano z niej z bardzo bliska i cały ładunek poszedł Douglasowi prosto w twarz, rozsadzając głowę. Spusty złączono drutem, by obu naraz wypalom nadać jeszcze większą morderczą moc. Zdenerwowany sierżant Wilson ogromnie się zaniepokoił odpowiedzialnością, która tak nagle na niego spadła.

— Nie wolno nic ruszać przed nadejściem władz — rzekł półgłosem, z przerażeniem patrząc na zdruzgotaną głowę trupa.

— Nic nie ruszaliśmy — powiedział Cecil Barker. — Własną głową rękę. Wszystko jest tak, jak było.

— Kiedy to się stało? — pytał sierżant, wyciągnąwszy notatnik z kieszeni.

— Zaraz po wpół do dwunastej. Jeszcze się nie zacząłem rozbierać i siedziałem przy kominku u siebie w sypialni, kiedy usłyszałem wystrzał. Niegłośny, jakby stłumiony. Zbiegłem na dół. Wpadłem tu chyba w pół minuty potem.

— Czy drzwi były otwarte?

— Tak, otwarte. Biedny Douglas leżał, jak go tu panowie widzicie. Na stole płonęła świeca. Tę lampę zapaliłem parę minut później.

— Nie widział pan nikogo?

— Nie. Słyszałem, że pani Douglas schodzi za mną po schodach, i wybiegłem, aby jej oszczędzić tego okropnego widoku. Pani Allen, gospodyni, zaraz się nią zaopiekowała. Ames też już nadbiegł i we dwóch wróciliśmy na miejsce zbrodni.

— Słyszałem jednak, że most zwodzony podnosi się na noc?

— Był podniesiony, dopiero ja go spuściłem.

— Jakże więc morderca zdołał się wydostać? Nie dałby rady. Douglas popełnił chyba samobójstwo.

— I myśmy tak myśleli w pierwszej chwili. Ale proszę spojrzeć — Barker odsunął zasłonę. Wielkie okno o romboidalnych szybkach było szeroko otwarte. — No, i jeszcze to! — zniżył lampę i ukazał ciemną krwawą plamę, jakby odcisk buta na drewnianym parapecie okna. — Ktoś tu stąpnął.

— Uważa pan, że zbrodniarz przebrnął fosę?

— Tak.

— A więc jeżeli pan nadbiegł w pół minuty po morderstwie, to zabójca akurat brnął przez wodę.

— Nie wątpię o tym ani chwili. Że też nie podbiegłem do okna! Ale jak panowie widzicie, zasłaniały je kotary i nie przyszło mi to na myśl. Potem usłyszałem kroki pani Douglas i nie mogłem pozwolić, by tu weszła. To byłby dla niej straszny wstrząs.

— Istotnie! — rzekł doktor, spoglądając na zmasakrowaną głowę w kałuży krwi. — Od czasu katastrofy kolejowej w Birlstone nie widziałem nic podobnego.

— Dobra — zauważył sierżant, który z uporem wolno myślącego, acz nie pozbawionego zdrowego rozsądku wieśniaka, medytował jeszcze nad zagadnieniem otwartego okna. — Dobra, mówicie panowie, że morderca zbiegł w bród przez fosę, ale jak — powiedzcie mi — jak się tutaj dostał, jeśli most był podniesiony?

— Hm, oto pytanie — zauważył Barker.

— O której go podniesiono?

— Koło szóstej — odparł Ames.

— Słyszałem, że zawsze zwodzono go o zachodzie słońca — znów zabrał głos sierżant. — O tej porze roku wypadłoby to o wpół do piątej, a nie o szóstej.

— Pani Douglas miała gości na herbacie — wyjaśnił Ames. — Mogłem więc podnieść most dopiero po ich wyjściu. I sam go podnosiłem.

— Ano, skoro tak — zaczął sierżant — to jeśli ktoś dostał się z zewnątrz, jeśli z zewnątrz, mówię, to wszedł mostem przed szóstą, gdzieś się tu ukrył i aż do jedenastej czekał na pana Douglasa.

— Niewątpliwie. Pan Douglas obchodził cały dom przed pójściem spać, bo chciał sam sprawdzić, czy wszystkie światła wygaszone. Dlatego też wszedł tutaj. Zabójca czekał i wtedy go zastrzelił. Potem uciekł oknem, zostawiając narzędzie zbrodni. Tak mi się wydaje, bo nic innego nie odpowiada faktom.

Sierżant podniósł kartkę, która leżała obok trupa. Widniały na niej

naskrobane atramentem litery D.V., a pod nimi cyfra 341.

— A to co takiego? — zapytał. Barker przyjrzał się kartce ciekawie.

— Nie wiem — rzekł — to chyba zostawił morderca.

— „D.V. 341”, nic z tego nie rozumiem. Sierżant obracał kartkę w grubych paluchach.

— Co za „D.V”, czyjeś inicjały chyba. A co pan tam znalazł, doktorze?

Był to ciężki młotek. Solidny, rzemieślniczy, leżał na dywaniku przed paleniskiem kominka. Cecil Barker wskazał na skrzynkę pełną gwoździ z miedzianymi łebkami, która stała na kominku.

— Pan Douglas przewieszał wczoraj obrazy — rzekł. — Widziałem go, jak stał na krzeselku i zawieszał obraz nad kominkiem. Stąd ten młotek.

— Połóżmy go lepiej tam, gdzie leżał — rzekł sierżant, drapiąc się w skołataną głowę. — Do tej zagadki trzeba tęgich mózgów. Ci z Londynu muszą się do tego zabrać. — Uniósł w górę latarkę i wolnym krokiem ruszył dokoła pokoju. — A to co? — Wykrzyknął podniecony, odsunawszy jeszcze jedną kotarę. — O której ta kotara została zasunięta?

— Po zapaleniu światła — rzekł lokaj. — Parę minut po czwartej.

— Ktoś się tu ukrywał, to widać — zniżył latarkę i oświetlił w kącie wyraźne ślady zabloconych butów. — Przyznaję, że to potwierdza pańską teorię, panie Barker. Ten człowiek najwidoczniej dostał się tutaj po czwartej, kiedy pozasłaniano okna, ale przed szóstą, nim podniesiono most. Wśliznął się do tego, pierwszego z brzegu, pokoju. Nie miał się gdzie w nim ukryć, więc stanął za kotarami. Chyba jasne. Być może miał jedynie grabież na celu, ale gdy pan Douglas przypadkiem wpadł na niego, zamordował go i uciekł.

— Mnie się też tak zdaje — rzekł Barker. — Ale czy nie szkoda czasu? Może byśmy przetrząsnęli okolice, zanim na dobre nam zwieje?

Sierżant zastanawiał się chwilę.

— Przed szóstą rano nie odchodzi żaden pociąg, nie ucieknie więc kolejną.

A jeżeli będzie szedł drogą w mokrym obuwiu i spodniach, z pewnością ktoś go zauważy. Ja w każdym razie nie mogę odejść, dopóki mnie nie zmienią. Myślę jednak, że i nikt z państwa nie powinien się stąd ruszać.

Doktor wziął lampę i zaczął uważnie oglądać zwłoki.

— Co to za znak? — zapytał po chwili. — Czy może mieć jakiś związek ze zbrodnią?

Prawa ręka trupa, obnażona po łokieć, wystawała z rękawa szlafroka. Na przedramieniu, mniej więcej w połowie, widniał dziwny brązowy rysunek: trójkąt w kole. Mocno odcinał się od żółtawego tła skóry.

— To nie tatuaż — mówił doktor, przyglądając się znakowi przez okulary. — Nigdy nie widziałem nic podobnego. Ten człowiek był kiedyś napiętnowany, tak jak piętnuje się bydło rozpalonym żelazem. Cóż to ma znaczyć?

— Przyznaję, że nie wiem — rzekł Cecil Barker. — Często jednak w ciągu tych dziesięciu lat widywałem u niego ten znak.

— I ja też — wtrącił się lokaj. — Nieraz, kiedy pan Douglas zakasał rękawy, uderzał mnie ten widok. Zastanawiałem się, co to być może.

— Nie sądzę, aby to miało jakiś związek z morderstwem — rzekł sierżant — jednak jest bardzo dziwne. Wszystko w tym jest dziwne. A to co za nowość?

Lokaj bowiem wykrzyknął ze zdziwienia i wskazał na wyciągniętą rękę trupa.

— Zdjęto mu obrączkę! — wyjąkał. — Co?!

— Tak! Pan stale nosił złotą obrączkę na małym palcu lewej ręki. O, ten pierścionek z samorodkiem złota zawsze ją przyciskał, a ten w kształcie węża był na trzecim palcu. Oba są, ale obrączka zniknęła.

— Racja — rzekł Barker.

— Mówi pan, że obrączkę nosił pod tamtym pierścionkiem? — zapytał sierżant.

— Stale!

— No to morderca, czy kto to tam był, najprzód zdjął mu z palca ten pierścionek z samorodkiem, jak go pan nazywa, potem ściągnął obrączkę i wcisnął z powrotem pierścionek.

— Ano właśnie.

Wielce czcigodny policjant wiejski potrząsnął głową.

— Myślę, że im prędzej ci z Londynu zabiorą się do tej sprawy, tym lepiej — rzekł. — White Mason to sprytny gość. Żadna prowincjonalna sprawa jeszcze nie była dla niego za trudna. I już pewnie niedługo przyjedzie. Ale coś mi się widzi, że bez tych z Londynu nie damy rady. Nie wstydę się przyznać, że dla takich jak ja to za twardy orzech.

IV

MROK

Na naglące wezwanie sierżanta Wilsona główny detektyw policji okręgu Sussex przypędził do Birlstone o trzeciej nad ranem w powoziku zaprzężonym w klusaka, z którego o mało tchu nie wyparł. Pociągiem odchodzącym o piątej czterdzieści wysłał swój pierwszy raport do Scotland Yardu, a o dwunastej w południe czekał na nas na stacji w Birlstone. Był to człowiek opanowany, spokojny, w luźnym tweedowym garniturze, rumiany, gładko wygolony, dość tęgi, o grubych, pałkowatych nogach przybranych w getry. Przypominał drobnego farmera, gajowego na emeryturze, słowem wszystko, co chcecie — tylko nie wielce obiecującego specjalistę z prowincjonalnej policji kryminalnej.

— Mówię panu, że to sensacja! — powtarzał ciągle. — Reporterzy zlecą się tutaj jak muchy do miodu, niech się tylko dowiedzą. Mam jednak nadzieję, że uporamy się ze wszystkim, nim nam tu zaczną wtykać nosy w każdy kąt i plątać ślady. Słowo daję, że czegoś takiego nie pamiętam. Jeśli się nie mylę, to i pan będzie miał czemu się dziwić, panie Holmes. I pan, panie doktorze Watson, bo lekarze też mają tu coś do powiedzenia. Zamówiłem panom pokoje w „Westville Arms”. To jedyny tutaj zajazd, ale czysty i porządny. Ten człowiek zajmie się rzeczami. Proszę panów za mną, jeśli łaska.

Detektyw z Sussex był niezwykle ruchliwym i serdecznie nastrojonym człowiekiem. Po dziesięciu minutach znaleźliśmy się w naszych pokojach, a po następnych dziesięciu siedzieliśmy wszyscy w bawialence gospody i słuchaliśmy krótkiej i szybkiej relacji z wypadków opisanych w poprzednim rozdziale. MacDonald od czasu do czasu rzucał jakąś aktualną uwagę. Holmes zaś siedział zasluchany, z miną wniebowziętą i zdumioną,

niby jakiś przyrodnik, który ogląda rzadki i niezwykły kwiat.

— Cudowne! — rzekł, gdy White Mason skończył. — Nadzwyczajne! Nie przypominam sobie chyba bardziej zadziwiającego wypadku.

— Spodziewałem się, że pan tak powie — nie kryjąc zadowolenia rzekł White Mason. — My tu w Sussex staramy się nadążyć za postępem. Opowiedziałem panom, jak sprawy stały do momentu mojego przyjazdu, kiedy to między trzecią i czwartą przejąłem śledztwo od sierżanta Wilsona. Mówię panom, że wydusiłem z mojej starej klaczy, co się dało! Ale niepotrzebny był ten pośpiech, bo jak się okazało, i tak nie mogłem natychmiast niczego przedsięwziąć. Sierżant Wilson już zebrał wszystkie fakty. Zważyłem je, namyśliłem się nad nimi i chyba dodałem jeszcze parę.

— Jakich? — żywo zainteresował się Holmes.

— Po pierwsze, przy pomocy doktora Wooda dokładnie obejrzałem młotek. Nie dojrzeliśmy na nim żadnych śladów walki. Przypuszczałem bowiem, proszę panów, że Douglas mógł się bronić i zdążył jeszcze kropnąć młotkiem mordercę. Ale nie wykryliśmy żadnych plam na żelazie.

— To niczego nie dowodzi — zauważył inspektor MacDonald. — Już niejedno morderstwo popełniono młotkiem, nie zostawiając na nim żadnych śladów.

— Zgadza się. To wcale nie świadczy, że młotek nie był użyty. Mógł jednak zostać splamiony, a to by już nam coś dało. Ale nie było na nim żadnych śladów krwi. Potem zbadalem dubeltówkę. Posłużono się grubym śrutem, spusty zaś, jak już zauważył sierżant Wilson, były połączone drutem. Jeżeli się więc pociągnęło za jeden, automatycznie padał strzał i z drugiej lufy. Sprawca postanowił za żadne skarby nie chybić ofiary. Ucięta strzelba ma najwyżej dwie stopy długości. Łatwo ją schować pod paltem. Znaku wytwórni brak, lecz w rowku między lufami widać jeszcze trzy litery Pen, reszta słowa została na uciętym kawałku.

— Duże P z zakrętasem nad nim, a e i n mniejsze, co? — zapytał Holmes.

— Zgadza się.

— Pensylwania Small Arms Company, bardzo znana amerykańska wytwórnia broni — wyjaśnił Holmes.

White Mason spojrział na Holmesa wzrokiem, jakim wiejski lekarz patrzy na znanego londyńskiego specjalistę, który jednym słowem może rozwiązać trapiące go wątpliwości.

— Bardzo ważny szczegół, panie Holmes. Bez wątpienia ma pan rację. To wspaniale, wspaniale! Zna pań na pamięć wszystkie marki broni na całym świecie?

Holmes ruchem ręki przerwał rozmowę na ten temat.

— Niewątpliwie to amerykańska dubeltówka — ciągnął White Mason. — Chyba gdzieś czytałem, że w jakiejś części Ameryki ludzie chętnie posługują się uciętymi strzelbami. Wpadłem już na to, nim wynikła ta sprawa z napisem na broni. Mamy więc wskazówkę, że człowiek, który wszedł do dworu i zabił Douglasa, był Amerykaninem.

MacDonald potrząsnął głową.

— Wolnego, nie tak szybko — rzekł. — Nie widzę jeszcze żadnego dowodu na to, że ktoś obcy dostał się do domu.

— A otwarte okno, krew na parapecie, dziwaczna kartka, ślady stóp, ucięta strzelba?

— Wszystko to można zaaranżować. Douglas był Amerykaninem albo przynajmniej długo mieszkał w Ameryce. Barker też. Nie potrzeba, wcale dodatkowo importować Amerykanina, aby to usprawiedliwić.

— Ames, lokaj...

— Co pan o nim wie? Czy to człowiek pewny?

— Dziesięć lat służył u sir Charlesa Chandosa... wzór solidności. U Douglasa jest od kupna majątku, od pięciu lat. Mówi, że nigdy nie widział w domu podobnej strzelby.

— Bo jest tak spreparowana, żeby ją łatwo było schować. Po to właśnie

ucięto lufy. Zmieściłaby się do każdego pudełka. Skąd więc może zaręczyć, że nie było jej w domu?

— Dobrze, ale mówi, że jej nie widział.

MacDonald pokiwał swoim upartym szkockim łbem.

— A jednak wcale nie jestem przekonany, że ktoś obcy wszedł do domu — obstawał przy swoim. — Niechże pan zważy — w miarę argumentowania bezwiednie nabierał coraz bardziej aberdeńskiego akcentu. — Niechże pan zważy, co z tego wyniknie, jeżeli przyjmiemy, że broń przyniesiono z zewnątrz i że tych wszystkich dziwacznych czynów dokonała obca osoba. Człowieku, toż to absurd. Nielogiczne. Panie Holmes, niech pan sam osądzi, czy to możliwe.

— Chciałbym usłyszeć uzasadnienie pańskiego poglądu — odparł Holmes jak najbardziej urzędowym tonem.

— Otóż ten facet, jeżeli w ogóle istniał, nie był rabusiem. Historia z obrączką i kartka wskazują na dokonane z premedytacją morderstwo z osobistych powodów. Świetnie. A więc do domu dostaje się niepostrzeżenie człowiek po to, by zabić. Wie, jeżeli ma rozum w głowie, że trudno mu będzie uciec, bo dom jest otoczony wodą. Jakąż broń wybierze? Powiecie panowie: najcichszą. Wtedy bowiem może liczyć na to, że po zabójstwie wyśliznie się szybko przez okno, przebrnie fosę i spokojnie wydostanie się na zewnątrz. To chyba zrozumiałe. Ale niezrozumiałe jest, czemu wziął najhalaśliwszą broń ze wszystkich, taką, o której wiedział, że podniesie cały dom na nogi; że gdy jej użyje, ludzie natychmiast zlecą się na miejsce zbrodni i nakryją go, nim zdąży przejść fosę. Czy to wiarygodne, panie Holmes?

— Nie ma co, przytoczył pan mocne argumenty — z namysłem odparł Holmes. — Tak, tak, oczywiście, trzeba by to uzasadnić. Wolno zapytać, panie Mason, czy pan zaraz obejrzał przeciwległy brzeg fosy? Nie ma tam żadnych śladów wskazujących, że ktoś wychodził z wody?

— Nie ma. Ale skąd mogą być, jeżeli brzeg jest wyłożony kamieniem?

— A więc żadnych śladów, nic?

— Nic.

— Ha! Czy moglibyśmy pójść teraz na miejsce zbrodni? Może znajdziemy jeszcze jakiś drobiazg, który nam podsunie nową myśl.

— Właśnie chciałem to zaproponować, ale uważałem, że przedtem należy wtajemniczyć panów w szczegóły. Sądzę, że jeśli pan wpadnie na coś ciekawego... — White Mason z zakłopotaniem patrzył na detektywa-amatora.

— Pracowałem już z panem Holmesem — odezwał się MacDonald. — Zawsze był lojalny.

— Przynajmniej w moim pojęciu — uśmiechnął się Holmes. — Jeśli zajmuję się jakąś sprawą, to po to, aby pomóc policji i aby sprawiedliwości stało się zadość. A jeżeli kiedykolwiek doszło do jakiegoś rozdzźwięku między nami, to zawsze z winy oficjalnych czynników. Nigdy ich kosztem nie dążyłem do sukcesów. Ale jednocześnie, panie Mason, rezerwuję sobie prawo chodzenia własnymi drogami i podawania osiągniętych wyników wtedy, kiedy uznam za stosowne, i w całości, nie fragmentarycznie.

— Pańska pomoc niewątpliwie przynosi nam tylko zaszczyt. Oczywiście nie będziemy robili przed panem żadnych tajemnic — kordialnie rzekł White Mason. — Panie doktorze Watson, prosimy z nami. I na pewno nie omieszka pan kiedyś wspomnieć o nas w swojej książce, prawda?

Ruszyliśmy staroświecką wiejską uliczką, obrzeżoną przyciętymi wiązami. Doprowadziła nas do dwóch kamiennych słupów nadgryzionych zębem czasu i omszałych tu i ówdzie. Na ich szczytach stały bezkształtne już figury, które ongiś przedstawiały wspięte na tylnych łapach lwy Capusów z Birlstone. Szliśmy teraz jakiś czas krętą aleją wiodącą przez trawnik z dębami, jakie widuje się tylko w rolniczych częściach Anglii. A potem, za zakrętem, w staromodnym ogrodzie, spośród równo przyciętych cisów

wyłonił się nagle szerniały, długi, niski, z czasów króla Jakuba, dwór z ciemnoczerwonej cegły. Kiedy podeszliśmy bliżej, ujrzeliśmy drewniany zwodzony most i piękną, szeroką fosę z wodą tak spokojną i błyszczącą w zimnym słonecznym świetle jak żywe srebro. Trzy wieki minęły, a ten dwór ciągle stał: wieki narodzin, powrotów, kontredansów i pogoni za lisem. Dziwne, że teraz, w tak późnej starości, ponura tajemnica omroczyła te szacowne mury. A jednak owe dziwacznie spadziste dachy i ich osobiwe szczyty doskonale nadawały się na schronienie dla ponurej i strasznej tajemnicy. Patrząc na wnęki okien i ciemny, rozłożysty, wyszlifowany deszczami fronton tego budynku, czułem, że trudno o lepszą scenę dla podobnej tragedii.

— To to okno — rzekł White Mason. — Zaraz na prawo od zwodzonego mostu. Pozostało otwarte, jak ubiegłej nocy.

— Trochę za wąskie. Mężczyzna się nie przecisnie.

— Musiał być szczupły. Nie trzeba pańskiej dedukcji, panie Holmes, żeby wpaść na ten wniosek. Pan czy ja przecisniemy się z łatwością.

Holmes stanął nad fosą i spojrział na przeciwległy brzeg. Potem uważnie przyjrzał się kamiennemu obrzeżu i trawnikowi za nim.

— Ja już wszystko obejrzałem — rzekł White Mason. Nic pan nie znajdzie. Ani śladu, że ktoś wychodził. Zresztą czemu miałby zostawić ślad?

— Słusznie. Czemu? Czy woda w tej fosie zawsze jest taka mętna?

— Mniej więcej. Strumień niesie glinę.

— A czy głęboka?

— U brzegów na dwie stopy, a pośrodku na trzy najwyżej.

— Możemy więc sobie darować przypuszczenie, że ten ktoś utonął podczas przechodzenia.

— Dziecko by tu nie utonęło.

Przeszliśmy most i powitał nas dziwaczny, kościsty, wysuszony mężczyzna, lokaj Ames. Biedak był blady jak ściana i chwiał się na nogach

ze wzruszenia. Miejscowy policjant, wysoki, służbisty i melancholijny, wciąż trwał na posterunku na miejscu zbrodni. Doktor już odjechał.

— Czy jest co nowego, sierżancie? — zapytał White Mason.

— Nic, proszę pana.

— No, to możecie iść do domu. Już zrobiliście swoje. Przyślemy po was, gdyby zaszła potrzeba. Lokaj niech lepiej poczeka w sieni. Powiedzcie mu, aby zawiadomił pana Barkera, panią Douglas i gospodynię, że będziemy chcieli z nimi pomówić. A teraz, pozwólcie panowie, że przedstawię wam swój pogląd, który sobie wyrobiłem podczas pierwszego badania, potem zaś będziecie mogli sformować sobie swój własny.

Ten prowincjonalny specjalista robił na mnie jak najlepsze wrażenie. Logicznie ujmował wszystkie fakty, rozumował chłodno, jasno i sensownie. Wróżyło mu to karierę. Holmes słuchał go uważnie, nie zdradzając ani śladu zniecierpliwienia, jakie tak często budzą wypowiedzi oficjalnych przedstawicieli władzy.

— Czy to samobójstwo, czy morderstwo? Oto pierwsze pytanie, na które winniśmy sobie odpowiedzieć. Czy nie mam racji, panowie? Gdyby to miało być samobójstwo, to musielibyśmy uwierzyć, że denat najprzód zdjął i ukrył obrączkę, potem w szlafroku zszedł tutaj, naniósł błota w kąt okna dla stworzenia pozorów, że ktoś tam czyhał na niego, otworzył okno, nakapał krwi...

— Możemy odrzucić tę hipotezę — przerwał MacDonald.

— Ja też tak myślę. Samobójstwo nie wchodzi w rachubę. A więc morderstwo. Musimy się teraz zastanowić, czy popełnił je ktoś z domowników, czy ktoś z zewnątrz.

— Proszę, niech pan mówi.

— Obie możliwości trudno sobie wytłumaczyć, a przecież jedną z nich trzeba przyjąć. Załóżmy więc najprzód, że zabójcą jest jakaś osoba lub osoby spośród domowników. Zwabili Douglasa tutaj, kiedy już wszyscy się

położyli, a nikt jeszcze nie zasnął. Potem zabili go najdziwaczniejszą i najgłośniejszą ze wszystkich broni, tak aby poruszyć cały dom. Broni tej nikt z mieszkańców dworu przedtem nie widział. To będzie dobre na początek śledztwa, prawda?

— Tak, istotnie.

— Wszyscy też, nie tylko pan Barker, który mówi, że był pierwszy, ale Ames i inni, twierdzą zgodnie, że przybiegli najwyżej w minutę po wystrzale. Czy powiecie mi panowie, że zabójca zdążył w tym czasie porobić ślady stóp, otworzyć okno, poznać krwią parapet, zdjąć trupowi obrączkę z palca i tak dalej? Toż to niemożliwe!

— Bardzo logiczne rozumowanie — rzekł Holmes. — Gotów jestem zgodzić się z panem.

— Musimy więc wrócić do przypuszczenia, że zabójstwa dokonał ktoś z zewnątrz. Oczywiście i to założenie nasuwa wiele wątpliwości, ale nie jest niemożliwe. Zabójca dostał się do domu między godziną 16.30 a i 18... to znaczy o zmroku, lecz nim podniesiono most. We dworze bawił jakiś gość, drzwi były otwarte, bez trudu więc wśliznął się do środka. Mógł to być zwykły rzezimieszek lub jakiś wróg Douglasa. Zważywszy, że Douglas przez długi czas przebywał w Ameryce i że broń, którą go zabito, jest amerykańskiego pochodzenia, należy przypuścić, iż chodzi raczej o zemstę. Wśliznął się do tego pokoju, pierwszego z brzegu, i ukrył się za kotarą. Przesiedział tam aż do parę minut po jedenastej. W tym czasie do pokoju wszedł Douglas. Doszło do krótkiej rozmowy, jeżeli w ogóle do niej doszło, bo pani Douglas mówi, że już w parę minut po rozstaniu z mężem usłyszała strzał.

— Zresztą widzimy to po świecy — wtrącił Holmes.

— Tak. Świeca całkiem świeża, wypaliła się najwyżej na pół cala. Douglas postawił ją pewnie na stole, nim go napadnięto, bo inaczej upadłaby razem z nim. To dowód, że nie zaatakowano go zaraz po wejściu. Kiedy pan

Barker przybiegł, zapalono lampę i zgaszono świecę.

— To jasne.

— Teraz więc mamy taki obraz: Douglas wchodzi do pokoju. Stawia świecę. Zza kotary wyskakuje ktoś uzbrojony w tę dubeltówkę. Żąda oddania obrączki, Bóg wie po co. Ale tak pewnie było. Douglas ustępuje. Potem, albo na chłodno, albo w czasie walki — Douglas bowiem mógł porwać za młotek, który znaleziono na dywanie — ów człowiek zastrzelił go w straszliwy sposób. Następnie upuścił broń i tę tajemniczą kartkę z napisem „D.V.341”, która nie wiadomo, co znaczy, uciekł przez okno i przebrnął fosę akurat w momencie, kiedy Cecil Barker wpadł tu i zobaczył trupa. Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

— Bardzo ciekawe, tylko niezbyt przekonujące.

— Człowieku, to jedyna możliwa koncepcja! Każda inna hipoteza to już czysty nonsens! — wykrzyknął MacDonald. — Douglasa ktoś zabił, a mogę panu udowodnić — obojętne, kim był morderca — że powinien był to zrobić w inny sposób. Jak mógł pozwolić na odcięcie sobie odwrotu? Jak mógł użyć broni palnej, kiedy tylko ciche zabójstwo dawało mu szansę ucieczki? No, panie Holmes, słuchamy. Jeżeli pan kwestionuje teorię pana White’a Masona, to niechże pan nam wyłoży swój pogląd.

W czasie tej długiej rozmowy Holmes siedział, nie opuszczając z niej żadnego słowa, i czujnie obserwował wszystko. Co chwila rzucał spojrzenie bystrych oczu to na prawo, to na lewo, a jego czoło poryły zmarszczki.

— Chciałbym zebrać jeszcze parę faktów, zanim wysunę własną teorię — rzekł, klękając przy trupie. — O, to naprawdę straszliwa rana. Czy można by przywołać na chwilę lokaja... Panie Ames, mówiono mi, że pan często widywał ten niezwykle znak — wypalony trójkąt w kole — na przedramieniu pana Douglasa?

— Tak, często, proszę pana.

— Nigdy nie obilo się panu o uszy, skąd to piętno?

— Nie, proszę pana.

— Musiało bardzo boleć, kiedy je wypalano, bo niewątpliwie jest wypalone. A teraz widzę, panie Ames, mały plasterek na podbródku nieboszczyka. Nie wie pan, czy był tam za życia Douglasa?

— Tak. Wczoraj rano mój pan zaciął się przy goleniu.

— Czy często się zacinał?

— Pierwszy raz od bardzo dawna, proszę pana.

— Bardzo interesujące! — rzekł Holmes. — Może to być czysty przypadek, ale może też dowodzić pewnej nerwowości, co wskazywałoby na jakieś przeczucie niebezpieczeństwa. Czy pan wczoraj nie zauważył nic dziwnego w postępowaniu pana Douglasa, panie Ames?

— Uderzyło mnie, że był trochę niespokojny i podniecony.

— Hm, więc ten napad mógł być spodziewany. Zdaje się, że się trochę posuwamy naprzód, prawda? A może pan wolałby wypytywać pana Amesa, panie Mac?

— Nie, pan to zrobi lepiej.

— Dobrze, przejdźmy więc do tej kartki „D.V. 341”. To najzwyklejszy kartonik. Czy macie taki w domu?

— Chyba nie.

Holmes szybkimi krokami przemierzył pokój, podszedł do biurka i z obu kałamarzy kapnął po kropli atramentu na bibułę.

— Tego nie pisano w tym pokoju — rzekł. — To jest czarny atrament, a tamten czerwonawy. Kartkę pisano tępą stalówką, te zaś są ostre. Tak, z całą pewnością kartkę napisano gdzie indziej. Czy pan, panie Ames, rozumie, co ona znaczy?

— Nie, proszę pana. Zupełnie nie rozumiem.

— A co pan sądzi, panie Mac?

— Nasuwa to myśl o jakiejś tajnej organizacji. Znak na ramieniu potwierdzałby to przypuszczenie.

— Zgadzam się z tym — odezwał się White Mason.

— Dobrze. Wyjdźmy więc z tego założenia i zobaczmy, czy nam się wszystko zgodzi. Któryś z członków tego stowarzyszenia dostał się do domu, zaczął się na Douglasa, o mało mu nie odstrzelił głowy i uciekł przez fosę, zostawiwszy kartkę obok trupa. Pozostali członkowie stowarzyszenia dowiedzieliby się z gazet o dokonanej zemście. Dotąd wszystko jakoś się trzyma kupy. Ale czemu wybrano właśnie ten rodzaj strzelby?

— Tak, czemu?

— Jak wytłumaczyć sprawę obrączki?

— Istotnie.

— 1 czemu nie aresztowano jeszcze zbrodniarza? Jest już po drugiej. Na pewno każdy policjant w promieniu czterdziestu mil wypatruje jakiegoś mokrego faceta.

— Oczywiście, panie Holmes.

— A więc, jeżeli zabójca nie ma tu gdzieś w pobliżu kryjówki albo nie dysponował ubraniami na zmianę, to chyba go już złapano. A jednak go nie złapano. — Holmes podszedł do okna i przez powiększające szkło przyjrzał się krwawej plamie na parapecie. — Niezawodnie to odcisk buta. Jest szeroki, rozkładany, wygląda jakby go zostawił ktoś, kto cierpi na płatfus. Dziwne, bo jeżeli w ogóle można się dopatrzeć śladu stopy w tym zabłoconym kącie, to ten ślad powinien być znacznie foremniejszy. A jednak jest bardzo niewyraźny. Zaraz, co to tam leży pod tym bocznym stolikiem?

— Hantle pana Douglasa — odparł Ames.

— Hantle... widzę tylko jedną. Gdzie druga?

— Nie wiem, proszę pana. Może była tylko jedna. Nie widziałem ich już od paru miesięcy.

— Hantle... tylko jedna... — zaczął Holmes poważnym tonem, ale przerwało mu ostre pukanie do drzwi. Uchyłono je po chwili i do pokoju

zajrzał wysoki, ogorzały, gładko ogolony mężczyzna o inteligentnym obliczu. Od razu domyśliłem się, że to Cecil Barker, o którym nam opowiadano. Władczym spojrzeniem pytająco przesunął po naszych twarzach.

— Przepraszam, że przerywam panom naradę — rzekł — ale przynoszę ostatnią nowinę.

— Aresztowano kogo?

— Niestety nie. Ale znaleziono rower mordercy. Porzucił go. Niech panowie zobaczą. Leży o jakieś sto jardów od wejścia.

W alei ujrzelśmy kilku stajennych i gapiów przyglądających się rowerowi, który wyciągnięto z ukrycia w kępie krzaków. Był to już dobrze wysłużony Rudge–Whitworth, ochlapany błotem jak po długiej drodze. Miał torebkę z narzędziami, płaskim kluczem i oliwiarką, ale żadnego znaku, który by wskazywał na właściciela.

— Byłby bardzo cenną wskazówką dla policji — rzekł inspektor — gdyby był rejestrowany i miał numer. Dziękujmy jednak Bogu i za to. Jeżeli nie wiemy bowiem, dokąd zbrodniarz uciekł, może się dowiemy przynajmniej, skąd przyjechał. Ale czemu, u licha, ten drab porzucił rower? I jak uciekł bez niego? Nie widać tu żadnego światełka w tym mroku.

— Nie widać? — z zadumą powtórzył mój przyjaciel. — Czyżby!?

Czy chcieliby panowie coś jeszcze zobaczyć na miejscu zbrodni? — zapytał White Mason, kiedy wróciliśmy do domu.

— Na razie nie — rzekł inspektor, a Holmes przytaknął ruchem głowy.

— To może życzą sobie panowie przesłuchać mieszkańców dworu? Przejdziemy chyba do jadalni, panie Ames. Proszę, niech pan zeznaje pierwszy.

Zeznania lokaja były proste, jasne i wiarygodne. Na służbę wstąpił pięć lat temu, kiedy Douglas przybył do Birlstone. Jego zdaniem Douglas był bogatym człowiekiem, a majątku dorobił się w Ameryce. Był dobrym panem, grzecznym i wyrozumiałym, choć niezupełnie takim, do jakich Ames przywykł. Nie można jednak mieć wszystkiego. Nigdy się niczego nie lękał. Ames nawet nie znał odważniejszego człowieka. Kazał podnosić zwodzony most co wieczór, bo taki zwyczaj panował w tym starym dworze, a on cenił tradycje. Rzadko kiedy wyjeżdżał do Londynu lub opuszczał Birlstone, ale w przeddzień tragicznej śmierci czynił zakupy w Tunbridge Wells. Tego dnia Ames zauważył u niego pewien niepokój: był podniecony, niecierpliwił się, co było całkiem niezwykłym zjawiskiem. W wieczór zabójstwa Ames jeszcze się nie położył, układał srebro w kredensowym pokoju, kiedy zadzwoniono gwałtownie. Wystrzału nie słyszał, ale nie mógłby nawet słyszeć, bo pokój kredensowy i kuchnia są z tyłu domu, odgródzone długim korytarzem i wieloma parami drzwi. Gospodyni wyszła od siebie zaniepokojona gorączkowym dzwonieniem. Razem udali się do frontowych pokojów. Już u stóp schodów ujrzeli schodzącą na dół panią Douglas. Nie, nie śpieszyła się... Nie wydało mu się też, żeby była zdenerwowana. Kiedy zeszła, z gabinetu wybiegł pan Barker. Zatrzymał ją

i błagał, aby zawróciła. „Na miłość boską, niech pani wraca do siebie! — krzyczał. — Biedny Jack nie żyje! Nic tu po pani. Niech pani wraca, na miłość boską!”

Po chwili perswazji pani Douglas wróciła do swojego pokoju. Nie płakała. Nie wydała żadnego okrzyku. Pani Allen, gospodyni, poprowadziła ją na górę i została przy niej w sypialni. Ames zaś i pan Barker poszli do gabinetu, gdzie wszystko zastali tak, jak zobaczyła to policja. Świeca już była zgaszona, ale lampa się paliła. Wyjrzeni przez okno, noc jednak była ciemna — nic nie widzieli ani nie słyszeli. Potem wybiegli do sieni i Ames za pomocą kołowrotu opuścił most. Wtedy pan Barker pobiegł po policję.

Tak w głównym zarysie wyglądały zeznania lokaja.

Relacja gospodyni, pani Allen, właściwie była potwierdzeniem relacji lokaja. Gospodyni zajmowała pokój położony trochę bliżej frontowych pokoi niż bufetowy, w którym krzątał się Ames. Szykowała się do snu, kiedy usłyszała głośnie i natarczywe dzwonienie. Była głuchawa, być może dlatego nie doszedł jej huk wystrzału. W każdym razie od niej do gabinetu jest dość daleko. Przypomina sobie jakieś stuknięcie, jakby ktoś drzwiami trzasnął. Ale to było dużo wcześniej... przynajmniej na pół godziny przed tym dzwonkiem. Kiedy Ames pobiegł do pokoju, pośpieszyła za nim. Widziała, jak pan Barker bardzo blady i zdenerwowany wyszedł z gabinetu. Zastąpił drogę pani Douglas, która schodziła ze schodów. Błagał, aby wróciła do siebie. Coś mu odparła, czego jednak pani Allen nie dosłyszała.

„Niech ją pani zabierze do sypialni! I niech pani przy niej zostanie!” — polecił jej pan Barker. Zaprowadziła więc swoją panią do sypialni i starała się ją pocieszyć, jak mogła. Pani Douglas była szalenie podniecona. Trzęsła się jak w gorączce, ale już nie próbowała zejść na dół. Siedziała przed płonącym kominkiem, ukrywając twarz w dłoniach. Pani Allen czuwała przy niej większą część nocy. Reszta służby wcześniej pokładła się spać i dopiero

zbudziło ją przybycie policji. Mają sypialnie na odległych tyłach domu i zapewne nic nie słyszeli.

Tyle powiedziała gospodyni i w krzyżowym ogniu pytań dodała do tego jedynie lamenty i parę okrzyków zdziwienia.

Po pani Allen składał zeznania Cecil Barker. W sprawie wypadków ubiegłej nocy niewiele mógł dodać do tego, co już uprzednio zeznał. Osobiście był przekonany, że morderca uciekł przez okno. Krwawy ślad, jego zdaniem, dowodził tego nieodparcie. Zresztą skoro most był podniesiony, nie było innej drogi. Nie umiał wytłumaczyć, co się stało z zabójcą, albo czemu nie skorzystał z roweru, jeśli to był jego rower. Ten człowiek nie mógł przecież utonąć w fosie, która w najgłębszym miejscu miała trzy stopy, nie więcej.

On sam wyrobił już sobie zdanie o tym morderstwie. Douglas miał skrytą naturę. W jego życiu były rozdziały, o których nigdy nie wspominał. W bardzo młodym wieku wyemigrował z Irlandii do Ameryki. Poszczyliło mu się tam. Barkera poznał w Kalifornii, gdzie do spółki kopali złoto w miejscowości zwanej Benito Canyon. Szło im wspaniale, gdy nagle Douglas sprzedał swój udział i wyjechał do Anglii. W tym czasie był wdowcem. Barker też niebawem sprzedał swoją część kopalni i osiedlił się w Londynie. Tak przyszło do odnowienia dawnej znajomości. Douglas sprawiał wrażenie, jakby się czegoś bał, toteż Barker tej obawie przed jakimś niebezpieczeństwem, wiszącym mu nad głową, zawsze przypisywał jego nagły wyjazd z Kalifornii i zamieszkanie w cichym i ustronnym zakątku Anglii. Sądził, że jakieś tajne stowarzyszenie, jakaś nieubłagana organizacja depta Douglasowi po piętach i że nie spocznie, póki się z nim nie rozprawi. Przypuszczał tak na podstawie pewnych słów Douglasa, choć ten mu nic nie mówił ani o jakie stowarzyszenie chodzi, ani czym mu się naraził. Uważa też, że litery na kartce wiążą się właśnie z tym tajnym stowarzyszeniem.

— Jak długo byli panowie razem w Kalifornii? — zapytał inspektor MacDonald.

— Pięć lat.

— I mówi pan, że Douglas był kawalerem?

— Wdowcem.

— Czy nie wie pan, skąd pochodziła jego pierwsza żona?

— Nie, coś kiedyś mówił, że była Szwedką. I widziałem też jej portret. Bardzo piękna. Umarła na tyfus, na rok przed naszym poznaniem się.

— Czy nie wie pan czasem, gdzie przedtem Douglas bawił w Ameryce?

— Często wspominał Chicago. Świetnie znał to miasto i nawet tam pracował. Nieraz opowiadał o zagłębiu węglowym i stalowym. Wiele podróżował za młodu.

— Czy zajmował się polityką? Czy to tajemne stowarzyszenie ma coś z nią wspólnego?

— Nie. Polityka nic go nie obchodziła.

— Nie sądzi pan, że to mogła być jakaś przestępcza organizacja?

— Nigdy w życiu! Douglas był najuczciwszym człowiekiem, jakiego znałem.

— A czy w czasie pobytu w Kalifornii nie zauważył pan czegoś dziwnego w jego trybie życia?

— Najchętniej siedział w górach i pracował w naszej kopalni. Jak mógł, unikał innych ludzi i to właśnie wzbudziło moje podejrzenie, że ktoś na niego nastaje. A kiedy nagle i niespodziewanie wyniósł się do Europy, nabrałem pewności, że tak jest. Musiał chyba dostać jakieś ostrzeżenie. Przez tydzień po jego wyjeździe pytało o niego z pół tuzina osób.

— Cóż to byli za ludzie?

— Draby, z którymi lepiej żyć w zgodzie. Przychodzili do kopalni i dopytywali się o Douglasa. Mówiłem, że wyjechał do Europy, ale dokładnie nie wiem dokąd. Łatwo było poznać, że mają go na oku.

— Czy to byli Amerykanie, Kalifornijczycy?

— Amerykanie niewątpliwie. Czy Kalifornijczycy — trudno mi powiedzieć. Ale z pewnością nie górnicy. Nie wiem, kim byli, lecz cieszyłem się na widok ich pleców.

— I to było sześć lat temu?

— Prawie siedem.

— Wtedy już od pięciu lat byliście panowie w Kalifornii, więc jest to jakaś historia przynajmniej sprzed jedenastu lat. — Tak.

— Z tego wynika, że chodzi tu o jakąś wielką nienawiść, jeżeli przetrwała tyle czasu, i to z taką mocą. I musiała wyniknąć z nie lada powodu.

— Wydaje mi się, że omroczyła mu całe życie. Nigdy nie mógł o niej zapomnieć.

— Czy nie sądzi pan jednak, że gdy człowiekowi coś grozi i on o tym wie, to powinien się zwrócić do policji o pomoc?

— Może przed tym niebezpieczeństwem nikt nie mógłby go ustrzec. Trzeba panu wiedzieć, że Douglas nigdy nie chodził bez broni. Stale nosił rewolwer w kieszeni. Tym razem jednak pech chciał, że był w szlafroku i zostawił rewolwer w sypialni. Chyba czuł się bezpieczny, bo most był podniesiony.

— Chciałbym jeszcze powrócić do sprawy dat — rzekł MacDonald. — Douglas wyjechał z Kalifornii przed sześciu laty, a pan zaraz następnego roku, tak?

— Tak.

— A zatem musiał pan przyjechać do Anglii mniej więcej w czasie, kiedy on się żenił, albowiem ożenił się pięć lat temu.

— Przyjechałem na miesiąc przed ślubem i byłem jego drużbą.

— Czy znał pan panią Douglas, gdy była panną?

— Nie, nie znałem. Dziesięć lat spędziłem poza Anglią.

— A potem często się pan z nią widywał?

Barker surowym wzrokiem spojrzal na detektywa.

— Często potem widywałem się z nim — odparł. — Jeżeli widywałem się z nią, to dlatego, że trudno odwiedzać męża i nie widywać żony. Jeżeli pan przypuszcza, że istnieje jakiś związek...

— Nic nie przypuszczam, panie Barker. Moim obowiązkiem jest pytać o wszystko, co może naprowadzić nas na ślad zbrodni. Ale nie chciałem pana niczym obrazić.

— Niektóre pytania są obraźliwe — gniewnie rzekł Barker.

— Nam chodzi tylko o fakty. W naszym interesie, w interesie nas wszystkich leży, aby wyjaśnić najdrobniejsze szczegóły. Czy Douglasa nie denerwowała pańska przyjaźń z jego żoną?

Barker pobladł i zacisnął pięści.

— Pan nie ma prawa zadawać mi takich pytań! — wykrzyknął. — Co to ma do śledztwa?

— Proszę mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Odmawiam odpowiedzi.

— Może pan nie odpowiadać, ale musi pan zrozumieć, że sama odmowa już jest odpowiedzią, bo gdyby pan nie miał nic do ukrycia, to by pan odpowiedział.

Barker zadumał się i przez chwilę stał zasepiony, mocno zmarszczywszy czarne, grube brwi. A potem spojrzal na nas i uśmiechnął się.

— No cóż, panowie spełniacie tylko swój obowiązek i mimo wszystko powinienem panom w tym pomóc. Proszę tylko, nie męczcie pani Douglas. Dość już się na nią zważyło. Muszę panom powiedzieć, że poczciwy Douglas miał tylko jedną wadę: był cholernie zazdrosny. Lubił mnie... trudno bardziej lubić przyjaciela. I był przywiązany do żony. Lubił moje towarzystwo i często po mnie posyłał. Ale gdy spostrzegł, że za długo rozmawiam z jego żoną lub gdy wydało mu się, że łączy nas jakaś sympatia, stawał się zazdrosny, szal go ogarniał i plótł, co mu ślina na język

przyniosła. Dlatego nieraz już przysięgałem sobie, że przestanę u niego bywać, ale pisał takie błagalne listy, że trudno mu było odmówić. I proszę panów, niech tu skonam, jeżeli pani Douglas nie była najbardziej kochającą, najwierniejszą żoną... a mogę też powiedzieć, że nie miał lojalniejszego ode mnie przyjaciela.

Mówił z ferworem i głębokim przekonaniem, jednak inspektor MacDonald nie dał się odwieść od tematu.

— Wie pan, że zabitemu zdjęto z palca obrączkę?

— Tak wygląda.

— Co pan ma na myśli, mówiąc, że „tak wygląda”? Przecież to fakt.

Barker speszył się i widocznie nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

— Mówiąc „tak wygląda” sądziłem, że mógł przecież sam ją zdjąć.

— Obojętne, czy mu ją zdjęto, czy sam ją zdjął, ale fakt, że jej nie ma na palcu, każe przypuszczać, iż to zabójstwo ma jakiś związek z małżeństwem.

Barker wzruszył barczystymi ramionami.

— Nie wiem, dlaczego każe to panu przypuszczać... rzekł — ale jeżeli pan sądzi, że w jakiś sposób rzuca to cień na panią Douglas... — oczy mu zabłyśły, lecz po chwili zapanował nad wzburzeniem — to jest pan na złym tropie. To wszystko.

— Nie mam na razie żadnych pytań do pana — chłodno zauważył MacDonald.

— Jeszcze chwilkę — wtrącił się Sherlock Holmes. — Czy kiedy pan wszedł do pokoju, paliła się tylko świeca na stole?

— Tak, tylko świeca.

— I przy jej świetle zobaczył pan tę straszną scenę?

— Tak.

— I zaraz zadzwonił pan na służbę?

— Tak.

— Przybiegli szybko?

— Po minucie chyba.

— A jednak kiedy przybiegli, świeczka już była zgaszona i paliła się lampa. To bardzo osobliwe.

Barker znów wydawał się zmieszany.

— Dlaczego osobliwe? — rzekł po chwili. — Świeca rzucała mdłe światło, toteż od razu pomyślałem, że warto zapalić lampę. A że stała na stole, więc ją zapaliłem.

— I zdmuchnął pan świecę?

— Oczywiście.

Holmes nie stawiał już dalszych pytań i Barker, obdarzywszy nas kolejno uważnym spojrzeniem, nawet z lekka wyzywającym, jak mi się zdawało, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Inspektor MacDonald kartką przez służącego zawiadomił panią Douglas, że zaraz zjawi się u niej, aby ją przesłuchać. Odpowiedziała jednak, że zejdzie do jadalni. Teraz weszła, wysoka i bardzo ładna. W wieku około lat trzydziestu, poważna i niezwykle spokojna, ani nie zrozpaczona, ani nie tragiczna, jak ją sobie wyobrażałem. Prawda, że twarz miała bladą i wykrzywioną bólem, jak po wielkim wstrząsie, jednak niczym nie zdradzała niepokoju, a jej kształtna ręka, którą oparła o brzeg stołu, była tak pewna jak moja. Smutnym, błagalnym, dziwnie badawczym spojrzeniem wodziła od jednego z nas do drugiego, aż nagle to spojrzenie znalazło wyraz w pytaniu:

— Czy panowie już coś wykryli?

Może mi się tylko zdawało, ale w tych słowach wyczułem nie nadzieję, lecz utajony lęk.

— Nie zaniedbaliśmy niczego — odparł inspektor. — Może pani być pewna, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— Proszę nie żałować pieniędzy — odparła martwym, równym głosem.
— Pragnęłabym, aby panowie nie szczydzili wysiłków.

— Czy mogłaby nam pani coś powiedzieć, co rzuciłoby trochę światła na tę tragiczną sprawę?

— Nie sędzę, ale powiem panom wszystko, co wiem.

— Pan Barker mówił nam, że pani nie widziała... to znaczy, że pani nie wchodziła do pokoju, w którym wydarzyła się ta tragedia...

— Nie, nie wchodziłam. Pan Barker zatrzymał mnie na schodach. Błagał, abym wróciła do sypialni.

— Tak jest. Usłyszała pani wystrzał i zaraz zeszła pani na dół.

— Narzuciłam szlafrok i zeszłam.

— W jaki czas po usłyszeniu wystrzału zatrzymał panią na schodach pan Barker?

— Najwyżej w parę minut. W takich chwilach człowiek nie zdaje sobie sprawy z upływu czasu. Błagał, żebym nie wchodziła. Zapewniał, że na nic się tam nie przydam. A potem pani Allen zaprowadziła mnie na górę.

Wszystko to było jak jakiś koszmarny sen.

— Czy mogłaby nam pani powiedzieć, jak długo mąż bawił na dole, nim pani usłyszała strzał?

— Nie, nie potrafię. Nawet nie wiem, kiedy wyszedł z ubieralni. Co wieczór obchodził dom z obawy przed zaproszeniem ognia. To była jedyna rzecz, której się obawiał.

— O to mi właśnie chodzi. Pani poznała swojego męża dopiero w Anglii, prawda?

— Tak, pobraliśmy się pięć lat temu.

— Czy mówił pani kiedyś o czymś, co wydarzyło się w Ameryce i co grozi mu poważnymi konsekwencjami?

Pani Douglas zastanowiła się chwilę, nim odpowiedziała.

— Tak — rzekła w końcu. — Stale czułam, że wisi nad nim jakieś niebezpieczeństwo. Ale nie chciał ze mną o tym mówić. Nie z braku zaufania; kochaliśmy się bardzo i ufaliśmy sobie nawzajem, lecz dlatego, by

mi oszczędzić niepokoju. Bał się, że będę ciągle nad tym rozmyślała, i wolał milczeć.

— Więc skąd pani wiedziała?

Przelotny uśmiech rozjaśnił oblicze pani Douglas.

— Czyż mężczyzna może długo zachować tajemnicę przed domyślnością kochającej go kobiety? Dowiadywałam się różnymi drogami. Stąd, że nie chciał mówić o pewnych wydarzeniach ze swojego pobytu w Ameryce; z wielu przedsięwziętych ostrożności; ze słów, które mu się nieopatrznie wymykały; z nieufnego spojrzenia, jakim obrzucał obcych ludzi. Byłam pewna, że ma potężnych wrogów, że sądzi, iż go wytropili, i że stąd ta jego wieczna czujność. Tak byłam pewna, że zawsze strach mnie ogarniał, gdy się spóźniał do domu.

— Czy mogę zapytać — odezwał się Holmes — jakie to słowa zwróciły pani uwagę?

— „Dolina Trwogi” — odparła. — Tak odpowiadał na moje pytania. „Byłem w Dolinie Trwogi. I jeszcze się z niej nie wyrwałem”. — „Czy nigdy się nie wyrwiesz z Doliny Trwogi?” — pytałam, gdy był bardziej zasepiony niż zwykle. „Czasami zdaje mi się, że nigdy” — mówił.

— Z pewnością pytała pani, co to jest ta Dolina Trwogi?

— Tak. Ale wtedy marszczył brwi i potrząsał głową. „Dość, że już jedno z nas żyje w jej cieniu” — odpowiadał. „Niech Bóg broni, by ów cień padł i na ciebie”. To była prawdziwa dolina, w której kiedyś żył i gdzie spotkało go coś strasznego. Tego jestem pewna, ale nic więcej nie umiem powiedzieć.

— Czy nigdy nie wymieniał żadnych nazwisk?

— Owszem. Trzy lata temu bredził po wypadku na polowaniu. Pamiętam, że wtedy jedno nazwisko nie schodziło mu z ust. Wymawiał je z gniewem i nawet z pewnego rodzaju przerażeniem. „McGinty, brat McGinty” — powtarzał. Gdy ozdrowiał, zapytałam, kto to jest ten McGinty i czyim był bratem. „Dzięki Bogu, nie moim” — odrzekł ze śmiechem i już

nic więcej nie powiedział. Między Doliną Trwogi a tym człowiekiem jest jakaś łączność.

— I jeszcze coś — rzekł inspektor MacDonald. — Pana Douglasa poznała pani w londyńskim pensjonacie i w jakiś czas potem zaręczyła się pani z nim, prawda? Czy to była miłość romantyczna, tajemnicza?

— Tak, to była romantyczna miłość. Miłość i romantyzm zawsze idą w parze. Ale nie było w niej nic tajemniczego.

— Pan Douglas nie miał rywala?

— Nie, nie byłam z nikim związana.

— Pani pewnie słyszała, że z ręki pani nieboszczyka męża zniknęła obrączka. Czy to pani nic nie mówi? Przypuśćmy, że jakiś dawny wróg wyszedł pani męża i zamordował go, po co jednak zabrał mu obrączkę?

Przysięgłbym, że dostrzegłem lekki, ledwie uchwytny uśmiech na jej ustach.

— Nie wiem, naprawdę nie umiem tego wyjaśnić. To ogromnie dziwne.

— Nie będziemy już dłużej pani zatrzymywać. Bardzo nam przykro, że musieliśmy panią niepokoić w takiej chwili — rzekł inspektor. — Z pewnością wyłonią się jeszcze jakieś kwestie, ale zwrócimy się z nimi do pani później.

Pani Douglas wstała i zauważyłem, że znów obrzuciła nas tym dziwnym pytającym spojrzeniem. „Jakie wrażenie wywarły na was moje zeznania?” — równie dobrze mogłaby zapytać. Potem lekko kiwnęła nam głową i wyszła z pokoju.

— To piękna kobieta, bardzo piękna — z namysłem rzekł MacDonald, gdy drzwi się za nią zamknęły. Ten Barker z pewnością od dawna już tu siedzi. Może się podobać kobietom. Sam mówi, że Douglas był zazdrosny, i kto wie, czy nie lepiej niż inni zna powody tej zazdrości. No, a potem ta obrączka. Tego nie można pominąć. Zabójca, który ściąga obrączkę z palca ofiary... Co pan o tym myśli, panie Holmes?

Holmes, podparłszy głowę rękami, zatonął w zadumie.

Nagle wstał i zadzwonił.

— Gdzie jest pan Barker? — zapytał, gdy wszedł Ames.

— Zaraz zobaczę, proszę pana.

Wrócił po chwili z wiadomością, że Barker jest w ogrodzie.

— Czy pan pamięta, co pan Barker miał na nogach ubiegłej nocy, kiedy pan wbiegł do gabinetu? — zapytał go Holmes.

— Tak, proszę pana. Był w rannych pantoflach. Przyniosłem mu buty, gdy szedł po policję.

— Gdzie teraz są te pantofle?

— Stoją jeszcze pod krzesłem w sieni.

— Dziękuję. Ważne jest, byśmy potrafili odróżnić ślady pana Barkera od śladów kogoś obcego.

— Rozumiem, proszę pana. Pozwolę sobie jeszcze zauważyć, że pantofle pana Barkera były okrwawione... jak i moje zresztą.

— To zupełnie naturalne, zważywszy stan pokoju, w którym dokonano morderstwa. Dziękuję panu. Zadzwonimy, gdybyśmy jeszcze czegoś potrzebowali.

W parę chwil potem znów byliśmy w gabinecie. Holmes przyniósł z sieni pantofle Barkera. Tak jak Ames mówił, obie podeszwy były okrwawione.

— Dziwne — mruczał Holmes, stojąc przy oknie i uważnie oglądając pantofle. — Bardzo dziwne, istotnie!

Jednym z tych swoich raptownych, kocich ruchów przyłożył pantofel do krwawego śladu na parapecie okna. Pasował doskonale. Wtedy Holmes bez słowa uśmiechnął się do swoich kolegów.

Inspektor tak się przejął, że aż się zmienił na twarzy. Jego szkocki akcent zabrzmiał, jakby kto kijem wodził po sztachetach.

— Człowieku! — wykrzyknął. — Toż to jasne. Barker sam odcisnął ten ślad. Żaden but nie jest aż tak szeroki. Pamiętam, powiedział pan, że to

platfus. Teraz mamy wytłumaczenie. Ale o co tu chodzi, panie Holmes... o co chodzi?

— Tak, o co chodzi... — z namysłem powtórzył mój przyjaciel.

White Mason zachichotał i zatarł pulchne dłonie z iście zawodową satysfakcją.

— A mówilem, że to sensacja! — wykrzyknął. — I rzeczywiście sensacja!

VI

PIERWSZY PROMYK ŚWIATŁA

Trzej detektywi mieli jeszcze sporo do zbadania, postanowiłem więc wrócić do naszej skromnej siedziby w oberży. Przedtem jednak chciałem się przejść po otaczającym dwór, interesującym, starym ogrodzie. Opasywały go wiekowe cisy strzyżone w dziwaczne kształty. Między nimi rozpościerał się trawnik z antycznym słonecznym zegarem na środku. Wszystko razem działało tak kojąco, że wydawało mi się, iż znajdę tu wytchnienie dla moich napiętych nerwów. W tej spokojnej atmosferze można było zupełnie zapomnieć o mrocznym gabinecie z rozkrzyżowanym, okrwawionym trupem na podłodze albo uważać to tylko za fantastyczny, koszmarny sen. A jednak kiedy się tak przechadzałem, pojąć duszę ożywczym balsamem, wydarzyło się coś dziwnego, co przypomniało mi o niedawnej tragedii i wywarło na mnie niezwykle przykre wrażenie.

Wspomniałem już, że malowniczo przycięte cisy opasywały ogród. W najdalszym kącie drzewa gęstniały, przechodząc w żywopłot. Po jego drugiej stronie, zakryta przed wzrokiem kogoś nadchodzącego od dworu, stała kamienna ławka. Zbliżając się do niej, usłyszałem jakąś rozmowę: uwagi rzucane męskim basowym głosem i cichy kobiecy śmiech. Po chwili wyszedłem zza żywopłotu i ujrzałem panią Douglas i Barkera, nim jeszcze zdążyli mnie dostrzec. Uderzył mnie wygląd pani Douglas. W jadalni była tragicznie opanowana i poważna, teraz zaś nie zdradzała najmniejszego smutku. Oczy płonęły jej radością życia, a na ustach wciąż jeszcze drgał uśmiech, wywołany jakąś uwagą rozmówcy. On zaś splótł dłonie, wsparł się rękami na kolanach i siedział pochylony w przód. Odwrócił ku niej śmiałą, przystojną twarz i uśmiechem odpowiedział na jej uśmiech. Ujrzawszy mnie, w mgnieniu oka — lecz o to mgnienie za późno — przybrali dawne

poważne oblicza. Szybko wymienili parę słów między sobą, po czym Barker wstał i ruszył ku mnie.

— Przepraszam pana — rzekł — czy mam przyjemność z doktorem Watsonem?

Skłoniłem się z chłodem, który — jak sędzę — wyraźnie zdradził, co o nich myślę.

— Przypuszczaliśmy, że to pan, bo pańska przyjaźń z panem Sherlockiem Holmesem jest ogólnie znana. Czy nie chciałby pan zamienić paru słów z panią Douglas?

Szedłem za nim z kwaśną miną. Zbyt wyraźnie widziałem jeszcze zmasakrowane zwłoki rozciągnięte na podłodze. Tu zaś, za żywopłotem ogrodu, który należał do tego nieszczęśnika, jego żona i serdeczny przyjaciel śmiali się beztrosko. Z największą rezerwą przywitałem panią Douglas. W jadalni głęboko jej współczułem w cierpieniu. Teraz obojętnym spojrzeniem odpowiedziałem na jej błagalny wzrok.

— Obawiam się, że pan uważa mnie za bezduszną i nieczułą — powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

— To nie moja sprawa — odparłem.

— Może jednak któregoś dnia pomyśli pan inaczej. Gdyby pan tylko wiedział...

— Po co doktor Watson miałby wiedzieć — szybko przerwał jej Barker.
— Sam przyznał, że go to nie obchodzi.

— Tak jest. Jeśli więc państwo pozwolą, podejmę swój spacer.

— Chwileczkę, panie doktorze! — błagalnym tonem wykrzyknęła pani Douglas. — Na jedno pytanie może mi pan odpowiedzieć, tak jak nikt inny na świecie, a ta odpowiedź będzie miała dla mnie kolosalną wagę. Pan najlepiej wie, jakie stosunki łączą pana Holmesa z policją. Powiedzmy, że dowie się o czymś pod sekretem, czy będzie musiał powiedzieć to

detektywom?

— Tak, tak — z zapalem wtrącił Barker. — Czy działa na własną rękę, czy wspólnie z nimi?

— Nie wiem doprawdy, czy mam prawo mówić na ten temat.

— Proszę pana, błagam, niech pan powie. Zapewniam, że pan nam pomoże... Ogromnie mi pan pomoże tą wskazówką.

Mówiła tak szczerze, że na chwilę zapomniałem o jej płochości i uległem prośbie.

— Sherlock Holmes jest zupełnie niezależnym detektywem — wyjaśniłem. — Robi, co chce, i postępuje zgodnie z własnym sumieniem. Obowiązuje go jednak pewna lojalność w stosunku do kolegów — zawodowców, którzy zajmują się tą sprawą. Nie ukryje więc przed nimi niczego, co by pomogło oddać przestępcę w ręce sprawiedliwości. Tyle tylko mogę powiedzieć i najlepiej będzie, jeśli z dalszymi pytaniami zwrócicie się państwo wprost do pana Holmesa.

Z tymi słowami uchyliłem kapelusza i ruszyłem w swoją drogę, zostawiając tę parę na ławeczce ukrytej za żywopłotem. Skręcając znów za róg, zobaczyłem, że wciąż żywo o czymś dyskutują, a że jednocześnie spoglądali za mną, domyśliłem się, że o naszej rozmowie.

— Nie chcę żadnych ich zwierzeń — rzekł Holmes, kiedy zdałem mu relację z tej rozmowy. Całe popołudnie zeszło mu we dworze na naradach z dwoma kolegami. Na naszą kwaterę wrócił dopiero koło piątej i z wilczym apetytem zasiadł do herbaty, którą dla niego zamówiłem. — Żadnych zwierzeń, mój drogi, bo diabelnie komplikują sprawę, gdy dochodzi do aresztowania pod zarzutem spisku i morderstwa.

— Sądzisz, że na to się zanosi?

Holmes był w jednym ze swoich dobrotliwych i pogodnych nastrojów.

— Drogi przyjacielu, po spalaszowaniu tego czwartego jajka gotów będę wtajemniczyć cię w sytuację. Nie powiem, że zgłębiliśmy tajemnicę, o nie,

ale kiedy znajdziemy brakującą hantlę...

— Hantlę?

— Na Boga, czyżbyś naprawdę nie rozumiał, że wszystko obraca się koło tej brakującej hantli? No, nie martw się, bo między nami mówiąc, zdaje mi się, że ani inspektor MacDonald, ani ten wspaniały miejscowy specjalista nie pojęli całej wagi wspomnianego faktu. Hantla, mój drogi! Pomyśl o atlecie z jedną tylko hantlą. Wyobraź sobie jednostronny rozwój mięśni... nieuniknione skrzywienie kręgosłupa... Straszne, mój drogi, straszne!

Żując grzanekę, z pełnymi ustami, filuternym wzrokiem przyglądał się mojemu zmieszaniu. Sam jego wspaniały apetyt wskazywał na to, że był już na właściwym tropie. Doskonale pamiętam dni, kiedy z jeszcze bardziej zaostrozonymi, ascetycznymi rysami, zaciekle głowiąc się nad jakimś zawilym problemem i poświęcając mu całą uwagę, nawet nie pomyślał o jedzeniu. Wreszcie zapalił fajeczkę i siedząc przed kominkiem starej oberży, mówił wolno, trochę chaotycznie, jak ktoś, kto po prostu głośno myśli.

— Kłamstwo, mój drogi... jedno wielkie, oczywiste, bezczelne kłamstwo nie do przyjęcia. Oto z czym spotkaliśmy się już na samym wstępie. Od tego się zaczyna. Całe opowiadanie Barkera to czyste łgarstwo. Ale opracowane w porozumieniu z panią Douglas. A zatem ona też kłamie. Łżą oboje, i to w ścisłym porozumieniu. Teraz więc zagadnienie sprowadza się do pytania: po co kłamią i jak wygląda prawda, którą wszelkimi siłami usiłują ukryć? Spróbujmy więc, mój drogi, wspólnymi siłami przejrzeć to kłamstwo i dogrzebać się prawdy.

Skąd wiem, że kłamią? Stąd, że to jest niezręczne łgarstwo, które po prostu nie może być prawdą. Zważ bowiem tylko. Zgodnie z ich opowiadaniem morderca po dokonaniu zbrodni nie miał nawet minuty na zdjęcie z palca swojej ofiary obrączki, do tego jeszcze przyciśniętej pierścionkiem, na włożenie go z powrotem na palec — czego by z pewnością

nie robił — i na zostawienie obok trupa tajemniczej karteczki. Przecież to niemożliwe. Mógłbyś powiedzieć — za wysoko jednak cenię na to twój rozum — że obrączkę zdjęto mu przed zabójstwem. Fakt, iż świeca jest ledwie nadpalona, wskazuje, że ci dwaj ludzie nie rozmawiali długo. Czy Douglas, z tego, co słyszeliśmy o jego kolosalnej odwadze, wygląda na człowieka, który oddałby obrączkę na pierwsze wezwanie, i czy w ogóle byłby skłonny ją oddać? Nie, nie, drogi przyjacielu. Zabójca przez dłuższy czas znajdował się sam na sam ze swoją ofiarą przy zapalanej lampie. O tym ani chwili nie wątpię. Ale śmierć nastąpiła widocznie na skutek postrzału z dubeltówki. Zatem i wystrzał musiał paść o wiele wcześniej, niż nam mówią. To zupełnie pewne. Stoimy wobec tego przed rozmyślnym spiskiem dwojga ludzi, którzy słyszeli strzał, przed znową Barkera i pani Douglas. Jeżeli na ukoronowanie tego dodam jeszcze, że jak dowiodłem, ślad na parapecie został celowo zrobiony przez Barkera, by zmylić policję, przyznasz chyba, że w tej całej sprawie odgrywa on bardzo podejrzaną rolę.

Teraz powinniśmy zadać sobie pytanie, o której godzinie właściwie zamordowano Douglasa. Na pewno nie przed wpół do jedenastej, bo do tego czasu służba kręciła się po domu. Za kwadrans jedenasta wszyscy poszli spać, oprócz Amesa, który był w pokoju bufetowym. Po twoim wyjściu zrobiłem kilka prób i stwierdziłem, że przy wszystkich drzwiach zamkniętych żaden hałas, który mógłby zrobić Douglas, nie dotarłby do bufetowego. Inaczej jednak sprawa wygląda z pokojem gospodyni. Nie jest tak oddalony i stamtąd podniesiony głos docierał do moich uszu. Huk broni palnej, przy wystrzale oddanym z małej odległości, jak to niewątpliwie było w tym wypadku, z reguły jest stłumiony. Nie był głośny, ale w nocnej ciszy musiał dotrzeć do pokoju pani Allen. Powiedziała nam wprawdzie, że jest głuchawa, niemniej jednak przyznała, że na pół godziny przed ogólnym alarmem doszło ją coś jak trzaśnięcie drzwiami. A te pół godziny cofa nas

do za kwadrans jedenasta. Nie wątpię, że to, co słyszała, było wystrzałem, toteż właśnie tę godzinę przyjmuję za istotną godzinę zbrodni. Skoro tak, to musimy wyjaśnić, co Barker z panią Douglas — zakładając, że nie oni są mordercami — mogli robić od za kwadrans jedenasta, gdy ściągnął ich na dół huk wystrzału, do kwadrans po jedenastej, kiedy gwałtowne dzwonicie zaalarmowało służbę. Co robili i czemu od razu nie podnieśli całego domu na nogi? Oto pytanie, na które powinniśmy sobie odpowiedzieć, bo wtedy z pewnością znacznie posuniemy się naprzód.

— Jestem pewien — powiedziałem — że między tą parą istnieje jakieś porozumienie. To musi być bezduszna istota, jeżeli może śmiać się z jakiegoś żartu w parę godzin po zamordowaniu jej męża.

— Słusznie. Nawet w swej własnej relacji z tego, co zaszło, nie wygląda na wzór żony. Jak wiesz, mój drogi, nie jestem wielbicielem kobiet w ogóle, ale doświadczenie uczy mnie, że mało która żona dałaby się odwieść od trupa męża czymś naleganiom. Gdybym się kiedy ożenił, z pewnością potrafiłbym obudzić w swojej żonie tyle uczucia do siebie, że nie pozwoliłaby się uprowadzić gospodyni od moich zwłok leżących o parę kroków dalej. Kiepsko to zostało wyreżyserowane, albowiem nawet zupełnie nie wyrobionego detektywa musi uderzyć w tym wszystkim brak zwykłych kobiecych łez. Już samo to wystarcza, abym podejrzewał jakiś spisek.

— Sądziś więc, że Douglasa zamordowała jego żona i Barker?

— Doprawdy, przerażasz mnie bezpośredniością swoich pytań — odparł Holmes, grożąc mi fajką. — Strzelasz nimi we mnie jak z karabinu. Gdybyś mnie zapytał, czy pani Douglas i Barker znają prawdę i czy wspólnie ją ukrywają, mógłbym ci odpowiedzieć bez ogródek: jasne, że tak. Ale to twoje zabójcze przypuszczenie budzi już pewne wątpliwości. Rozważmy je więc spokojnie.

Zalóżmy, że tych dwoje łączy grzeszna miłość i że postanowili uwolnić się

od człowieka, który im stoi na drodze. To jest tylko luźne przypuszczenie, którego nie potwierdziło ani dyskretne badanie służby, ani żadne inne informacje. Odwrotnie, wiele rzeczy wskazuje na to, że Douglasowie byli bardzo kochającym się małżeństwem.

— To z pewnością blaga — powiedziałem, przypomniawszy sobie piękną roześmianą twarzyczkę, niedawno widzianą w ogrodzie.

— Dobrze, ale przynajmniej robili takie wrażenie. Mimo wszystko założmy, że ta grzeszna para była niezwykle przebiegła, że potrafiła zwieść wszystkich i uplanowała morderstwo męża, który im zawadzał. A tak się złożyło, że jakieś niebezpieczeństwo na niego czyhało...

— To oni tak twierdzą.

Holmes zamyślił się.

— Rozumiem, mój drogi. Według twojej teorii ta para kłamie od początku do końca. Uważasz, że Douglasowi nigdy nic nie groziło, że nie istniało żadne tajne stowarzyszenie, żadna Dolina Trwogi czy jakiś tam brat McGinty. Cóż, to dobre uogólnienie. Zobaczmy, do czego nas doprowadzi. A więc wymyślili tę całą historię, by ukryć zbrodnię. Chcąc jej nadać jeszcze większe prawdopodobieństwo, podrzucili w parku rower na dowód istnienia w tej całej historii kogoś obcego, z zewnątrz. Ślad na parapecie miał to samo zadanie. A także i kartka przy trupie, napisana pewnie w domu. Wszystko to pasuje do twojej hipotezy. Ale teraz natykamy się na paskudnie kanciasty klocek, który ani rusz nie da się wsadzić w tę łamigłówkę. Czemu ze wszystkich możliwych broni wybrali uciętą strzelbę, i to w dodatku z amerykańskiej fabryki? Skąd pewność, że huk wystrzału nie ściągnie kogoś, zanim się zdążą ukryć? Tylko dziwnym trafem pani Allen nie zainteresowała się bliżej tym trzaśnięciem drzwiami. Po cóż, mój złoty, ta grzeszna para robiłaby to wszystko?

— Przyznaję, że tego nie potrafię wytłumaczyć.

— I znów: jeżeli żona z kochankiem chcą zamordować rogowca męża, to

po co ściągaliby na siebie uwagę przez zdjęcie mu z palca obrączki? Czy uważasz to za prawdopodobne?

— Nie, bynajmniej.

— No, a jeżeli pomyślisz o ukrytym rowerze, czy ten podstęp wyda ci się rozsądny? Przecież największy tępak wśród detektywów od razu powie, że to zawracanie głowy, bo żaden zbrodniarz nie porzuci roweru, który mu „ułatwia ucieczkę.

— Nie znajduję wytłumaczenia.

— A jednak nie powinno być takiej kombinacji wypadków, dla której umysł ludzki nie potrafiłby znaleźć wytłumaczenia. Pozwolisz, że po prostu dla wprawy, nie sprzecząc się, że mam rację, pokuszę się o rozwiązanie zagadki. Zaznaczam, że to tylko czysta fantazja, ale jakże często fantazja jest matką prawdy.

Zalóżmy, że w życiu Douglasa była jakaś brzemienna w skutki, hańbiąca tajemnica. Wtedy logiczne będzie, że zamordował go ktoś — powiedzmy jakiś mściciel — z zewnątrz. Ten mściciel z powodów, których, przyznaję, nie mogę się domyślić, zdjął zabitemu obrączkę z palca. Wspomniana wendeta może się datować jeszcze z czasów pierwszego małżeństwa Douglasa i z nią też może się łączyć owo zdjęcie obrączki. Barker i pani Douglas wpadli do pokoju, nim jeszcze mściciel zdążył umknąć. Przekonał ich, że gdyby go aresztowano, wyszedłby na jaw jakiś obrzydliwy skandal. Uwierzyli i pozwolili mu uciec. W tym celu pewnie opuścili i podnieśli most, co nie wywołuje hałasu. Zbrodniarz ulotnił się, z jakichś powodów przypuszczając, że łatwiej mu się to uda piechotą niż na rowerze. Oto czemu ukrył rower tak, aby go odnaleziono, gdy już będzie dość daleko. To wszystko jeszcze jest możliwe, prawda?

— Owszem, możliwe — zauważyłem z pewną rezerwą.

— Pamiętajmy, że bez względu na to, co się tam stało, stało się coś niezwykłego. Jedźmy dalej: owa para niekoniecznie kochanków — po

ucieczce mordercy zdała sobie sprawę, że mimo woli znalazła się w sytuacji, w której trudno jej będzie udowodnić, że nie popełniła tej zbrodni lub że nie przyłożyła do niej ręki. Zareagowali więc szybko, ale niezręcznie. Barker odcisnął swój okrwawiony pantofel na parapecie, aby zasugerować policji, którędy uciekł zbrodniarz. Oboje najwidoczniej usłyszeli strzał, toteż narobili hałasu, tak jak trzeba, ale w dobre pół godziny później.

— Jak chcesz tego dowieść?

— Jeżeli zabójcą był ktoś obcy, to go pewnie złapią. To byłby najlepszy dowód ze wszystkich. Ale jeżeli nie... nie wyczerpaliśmy jeszcze naszych naukowych możliwości. Myślę, że jeden wieczór spędzony samotnie na miejscu zbrodni bardzo mi pomoże.

— Wieczór spędzony samotnie!

— Zamierzam pójść tam zaraz. Umówiłem się już z czcigodnym Amesem, który wcale nie jest przyjaźnie usposobiony do Barkera. Zasiądę w owym gabinecie i zobaczymy, czy jego atmosfera nie natchnie mnie jakąś myślą. Wierzę w *genius loci*. Uśmiechasz się, drogi przyjacielu? No, więc przekonamy się. Zobaczymy, zobaczymy. Ale, ale, czy przypadkiem nie wzięłeś swojego wielkiego parasola?

— Wziąłem.

— Pożyczę go od ciebie, jeśli można.

— Ależ oczywiście... tylko że to żadna broń! Jeżeli ci coś grozi...

— Nic poważnego, bo inaczej prosiłbym cię, abyś mi towarzyszył. Wezmę jednak ten parasol. Czekam jeszcze tylko na powrót naszych kolegów z Tunbridge Wells, gdzie starają się odszukać właściciela roweru.

Inspektor MacDonald i White Mason wrócili dopiero przed wieczorem i promieniejąc z radości, oznajmili o wielkim postępie w naszym śledztwie.

— Człowieku! Przyznaję, że nie wierzyłem, aby tę zbrodnię popełnił ktoś spoza domu — mówił MacDonald. — Ale teraz trudno mi się przy tym upierać. Zidentyfikowaliśmy właściciela roweru, wiemy, jak wygląda, a tym

samym znacznie przybliżyliśmy się do celu.

— To mi się wydaje początkiem końca — odparł Holmes. — Winszuję panom z całego serca.

— Wyszedłem z faktu, że Douglas był jakiś niespokojny już poprzedniego dnia, po powrocie z Tunbridge Wells. A więc tam zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Z drugiej strony jasne było, że jeżeli ktoś przyjechał na rowerze, to najprawdopodobniej z Tunbridge Wells. Zabraliśmy rower i pokazaliśmy go tam w hotelu. Kierownik „Eagle Commercial” od razu poznał, że rower należy do człowieka nazwiskiem Hargrave, który dwa dni temu zatrzymał się u nich. Za cały bagaż miał ten rower i małą walizeczkę. Mówił, że przyjeżdża z Londynu, ale nie podał adresu. Walizka była londyńskiego pochodzenia, tak jak i jej zawartość, ale gość bez wątpienia był Amerykaninem.

— Świetnie, świetnie — wesóło stwierdził Holmes. — Odwaliliście panowie kawał roboty, gdy ja siedziałem tutaj, snując z moim przyjacielem najrozmaitsze teorie. Cudowna nauczka, że nie należy bujać w obłokach.

— Tak, tak, panie Holmes — nie bez satysfakcji zauważył inspektor.

— To wszystko zgadza się doskonale z twoimi przypuszczeniami — zauważyłem.

— Zgadza się albo i nie. Posłuchajmy jednak do końca. Panie Mac, czy nie było tam nic, co by nam pozwoliło zidentyfikować tego człowieka?

— Tak mało, że niewątpliwie bał się zdradzić jakimś szczegółem. Ani papierów, ani listów, ani nawet znaków na ubraniu. Na nocnym stoliku zostawił rozłożoną mapę okolicy. Wczoraj po śniadaniu wyjechał z hotelu na rowerze i odtąd ślad po nim zaginął.

— To mnie właśnie niepokoi, panie Holmes — odezwał się White Mason. — Ten facet powinien był wrócić i pozostać w hotelu w roli spokojnego turysty, jeżeli oczywiście nie chciał budzić podejrzeń i wywoływać hałasu koło swojej osoby. W tym stanie rzeczy jednak musiał wiedzieć, że dyrektor

hotelu da znać policji o jego zniknięciu i że to natychmiast zostanie skojarzone z morderstwem.

— Tak można by sądzić. Ale przynajmniej, jak dotychczas, okazał się dość mądry, skoro go jeszcze nie ujęto. Czy macie panowie jego rysopis.

MacDonald zajrzał do swojego notatnika.

— Zanotowałem, co mi w hotelu potrafili powiedzieć. Nie przyglądali mi się zbyt uważnie, jednak zeznania portiera, urzędnika i służącej zgadzają się w pewnych szczegółach. A więc był to mężczyzna około pięćdziesiątki, wysoki na mniej więcej pięć stóp i dziewięć cali, szpakowaty, z siwym wąsikiem i orlim nosem, o obliczu dzikim i odpychającym, jak to zgodnie określają.

— Cóż, gdyby nie ten wyraz twarzy, byłby to niemal rysopis Douglasa — rzekł Holmes. — Ten też ma po pięćdziesiątkę, jest szpakowaty i nosi siwawy wąsik. Nawet wzrost się zgadza. Macie panowie jeszcze co?

— Ubrany był w gruby, szary dwurzędowy garnitur, krótkie, piaskowe palto i cyklistówkę.

— A jak ze strzelbą?

— Nie ma nawet dwóch stóp. Łatwo zmieści się do walizki. Mógł też bez trudu nosić ją pod paltem.

— Jakże się to panu układa w całość?

— Zaraz to wyjaśnię — rzekł MacDonald — a kiedy złapiemy tego człowieka (może pan być pewny, że już w pięć minut po zebraniu tych informacji przetelegrafowałem wszędzie jego rysopis), będziemy mogli wprowadzić pewną korektę. Ale nawet tak jak teraz sprawa stoi, zrobiliśmy olbrzymi krok naprzód. Wiemy więc, że pewien Amerykanin nazwiskiem Hargrave dwa dni temu przybył do Tunbridge Wells z walizką i rowerem. W walizce miał uciętą dwururkę, sprowadził go zatem oczywisty zamiar morderstwa. Wczoraj rano wyjechał rowerem, ukrywając broń pod paltem. Nikt go tutaj nie widział, ale nie potrzebował przejeżdżać przez wieś, żeby

się dostać do bramy parku, na szosie zaś nie brak rowerzystów. Prawdopodobnie od razu ukrył rower w laurowych krzakach, gdzie go znaleziono, i pewnie sam tam przesiedział, nie spuszczać dworu z oka i czekając na wyjście Douglasa. Dubeltówka to broń nie nadająca się do użycia wewnątrz domu, ale on chciał z niej skorzystać na powietrzu. W tym wypadku byłaby bardzo dogodna, trudno bowiem z niej chybić, a huk wystrzału nie zwróciłby niczyjej uwagi w okolicy, gdzie ludzie często polują.

— Tak, to bardzo logiczne — zauważył Holmes.

— Douglas jednak się nie zjawił. Cóż więc miał robić zabójca? O zmroku zostawił rower i zbliżył się do domu. Most był spuszczone, a wokół — żywego ducha. Skorzystał z tego, obmyśliwszy sobie jakieś wytłumaczenie na wypadek, gdyby go ktoś zatrzymał. Nie spotkał jednak nikogo. Wśliznął się do pierwszego lepszego pokoju i ukrył za kotarą. Stamtąd zobaczył, jak podnoszono most, i zrozumiał, że jedyna droga odwrotu wiedzie teraz przez fosę. Czekał aż do kwadrans po jedenastej, kiedy to Douglas w czasie swego wieczornego obchodu wszedł do gabinetu. Zastrzelił go wtedy i uciekł, tak jak zamierzał. Zdawał sobie sprawę, że służba hotelowa rozpozna rower i że to się zwróci przeciwko niemu. Zostawił go więc w krzakach i w ten czy inny sposób dostał się do Londynu lub do jakiejś kryjówki, którą sobie z góry upatrzył. No, i co pan na to, panie Holmes?

— Cóż, panie Mac, to bardzo logiczne, ma nawet ręce i nogi. Taką pan sobie wykoncypował wersję, ja natomiast uważam, że morderstwo popełniono o pół godziny wcześniej, niż nam mówią, że pani Douglas i Barker działają w porozumieniu, aby coś ukryć, że pomogli zbrodniarzowi w ucieczce albo przynajmniej weszli do gabinetu, nim uciekł, i że sfabrykowali dowody, mające świadczyć, iż umknął oknem, gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa sami opuścili mu most. Tak przynajmniej ja widzę pierwszą część tej historii.

Obaj detektywi z niedowierzaniem potrząsnęli głowami.

— W takim razie brnęlibyśmy z jednej tajemnicy w drugą — zauważył inspektor.

— I pod pewnym względem w jeszcze gorszą — dorzucił White Mason. — Pani Douglas nigdy nie była w Ameryce. Cóż więc mogłoby ją łączyć z tym Amerykaninem mordercą, by go miała ukrywać?

— Przyznaję, że są to sprawy jeszcze niejasne — rzekł Holmes. — Chcę więc dziś w nocy osobiście przeprowadzić małe śledztwo, które, kto wie, czy nie okaże się korzystne w naszej wspólnej sprawie.

— Czy możemy panu w czymś pomóc?

— Nie, nie, dziękuję! Wystarczy mi ciemność i parasol doktora Watsona. Mam skromne wymagania. Ames zaś, wierny Ames, będzie dla mnie pobłażliwy. Cały tok mojego rozumowania niezmiennie sprowadza się do jednej, zasadniczej kwestii: czemu mężczyzna, chcąc utrzymać się w formie, posługuje się tak dziwnym narzędziem jak pojedyncza hantla?

Ze swej samotnej wyprawy Holmes wrócił bardzo późno. Mieliśmy wspólny, dwuosobowy pokój, bo ten był najlepszy w naszej wiejskiej gospodzie. Wejście Holmesa zbudziło mnie z pierwszego snu.

— No i co — zapytałem — wykryłeś coś?

Stał nade mną w milczeniu, ze świecą w ręku. Po chwili jego szczupła, wysoka postać pochyliła się nad moim łóżkiem.

— Powiedz — szepnął — czy nie boisz się spać w jednym pokoju z półgłówkiem, z człowiekiem cierpiącym na rozmiękczenie mózgu, z idiotą, co postradał rozum?

— Ani trochę — odparłem zdumiony.

— To bardzo szczęśliwie — rzekł i już ani słowem nie odezwał się aż do rana.

VII

ROZWIĄZANIE

Nazajutrz po śniadaniu spotkaliśmy się z inspektorem Mac — Donaldem i z White'em Masonem, którzy w małej bawialence gospody naradzali się nad czymś z miejscowym sierżantem policji. Na stole przed nimi piętrzyła się góra depesz i listów, które pilnie sortowali i rejestrowali. Trzy leżały odłożone na bok.

— Ciągłe szukacie panowie zaginionego rowerzysty? — pogodnie zapytał Holmes. — Cóż meldują o tym brutalu?

MacDonald z posępną miną wskazał na stos korespondencji.

— Donoszą o nim z Leicester, Nottingham, Southampton, Derby, East Ham, Richmond i z czternastu innych miejscowości. W trzech — East Ham, Leicester i Liverpool — rozpoznano go bezapelacyjnie i aresztowano. Cała Anglia pełna jest zbiegów w piaskowych paltach.

— A niechże to! — ze współczuciem wykrzyknął Holmes.

— Posłuchajcie, panowie. Z całą powagą chciałbym wam udzielić pewnej rady. Zabierając się do tej sprawy razem z panami, postawiłem warunek, że nie zdradzę się z żadnym połowicznym wnioskiem, że będę szedł własną drogą, dopóki nie przekonam się o swojej racji. Dlatego też nie powiem panom, do jakich rezultatów doszedłem. Z drugiej strony jednak zobowiązałem się do lojalnego postępowania, toteż uważam, że źle bym zrobił, pozwalając panom niepotrzebnie marnować czas i energię. Przychodzę więc dziś rano, by panom coś doradzić, a moją radę można zamknąć w trzech słowach: dajcie temu spokój.

MacDonald i White Mason ze zdumieniem patrzyli na swojego słynnego kolegę.

— Uważa pan, że to beznadziejna sprawa? — wykrzyknął wreszcie

inspektor.

— Uważam, że wasza sprawa jest beznadziejna. Ale nie uważam, abyśmy nie mogli dojść prawdy.

— Dobrze, lecz rowerzystą... Toż to nie wymysł. Znamy jego wygląd, jest ta walizka, rower... Facet musi gdzieś być. Czemu nie mielibyśmy go złapać?

— Tak, oczywiście musi gdzieś być i oczywiście musimy go złapać, ale nie traćcie panowie energii na Liverpool czy East Ham. Myślę, że złapiemy go znacznie bliżej.

— Pan coś ukrywa. To nieładnie, panie Holmes — inspektor był wyraźnie zły.

— Pan przecież zna moją metodę pracy. Ale postaram się nie przedłużać tajemnicy. Chcę tylko w pewien sposób sprawdzić swoje wiadomości, co zrobię bardzo szybko. Potem — kłaniam się pięknie i wracam do domu, a panowie wykorzystajcie moje wyniki, jak chcecie. Zrobię tak, bo zbyt wiele jestem wam winien. W całej swojej praktyce nie pamiętam bowiem sprawy ciekawszej i bardziej oryginalnej.

— Nic nie rozumiem. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy z panem po powrocie z Tunbridge Wells i na ogół zgadzał się pan z nami. Co się potem stało, że pan tak radykalnie zmienił zdanie?

— Odpowiem, skoro mnie pan pyta: jak panów uprzedzałem, wczoraj w nocy spędziłem parę godzin we dworze.

— I co?

— Na razie mogę panom odpowiedzieć tylko bardzo ogólnikowo. Nawiasem mówiąc, przeczytałem krótki, lecz jasny i ciekawy opis starego dworu. Za skromną kwotę jednego pensa można nabyć tę broszurę w miejscowym sklepie z tytoniem. — Z tymi słowami Holmes wyciągnął z kieszeni małą książeczkę z dość prymitywnym szkicem starego budynku. — Człowiek nabiera smaku do śledztwa, mój drogi inspektorze, jeżeli

nasiąknie historyczną atmosferą otoczenia. Niech się pan tak nie złości, bo zapewniam pana, że nawet równie skąpy opis jak ten potrafi przenieść nas wyobraźnią w przeszłość. Zaraz panu dowiodę: ...*Wzniesiony w piątym roku panowania króla Jakuba I na miejscu o wiele starszego budynku, dwór w Birlstone jest jednym z najpiękniejszych okazów otoczonych fosą rezydencji z owej epoki, jakie dotrwały do naszych czasów...*

— Niech pan z nas nie robi wariatów, panie Holmes!

— Sza, sza! Panie Mac! Po raz pierwszy widzę u pana taki brak opanowania. Skoro to pana denerwuje, nie będę czytał. Ale gdy powiem, że w tej broszurce znajdzie pan opis zajęcia dworu w roku 1644 przez jakiegoś pułkownika działającego z ramienia Parlamentu, wzmiankę o ukrywaniu się przez parę dni w okresie wojny domowej w jego murach króla Karola i w końcu o tym, że bawił tam Jerzy II, przyzna pan, że ów stary budynek pod wieloma względami jest bardzo interesujący.

— Wierzę, panie Holmes, ale co to nas obchodzi!

— Nie obchodzi? Naprawdę? Odrobinę szerszy horyzont, drogi inspektorze, to rzecz podstawowa w naszym zawodzie. Oddziaływanie na siebie pomysłów i pośrednie wykorzystywanie wiadomości to rzecz czasami godna uwagi. Z pewnością wybaczy pan te słowa komuś, kto będąc zwykłym sobie znawcą kryminalistyki, jest jednak starszy od pana i może nawet bardziej doświadczony.

— Chętnie to przyznam — szczerze rzekł inspektor. — W pełni zasłużył pan na sławę, a jednak zawsze dochodzi pan do swoich wyników — powiedziałbym — jakoś z za węgla.

— Dobrze więc. Dajmy spokój przeszłości i wróćmy do terażniejszości. Jak już powiedziałem, wczoraj w nocy byłem we dworze. Nie widziałem się ani z Barkerem, ani z panią Douglas. Po co miałbym ich fatygować? Z przyjemnością jednak wysłuchałem wiadomości, że pani Douglas bynajmniej nie rozpacza i że z wielkim apetytem zjadła znakomity obiad.

Wybrałem się specjalnie do pocziwego Amesa. Wymieniliśmy kilka uprzejmych słów i w rezultacie, bez uciekania się do niczyjej zgody, pozwolił mi spędzić samemu jakiś czas w gabinecie.

— Jak to! Z tym trupem?! — wykrzyknąłem.

— Nie, nie, już go zabrano. Podobno za pańskim zezwoleniem, panie Mac. Pokój wygląda zupełnie normalnie i spędziłem w nim bardzo pouczający kwadrans.

— Po co?

— Nie będę robił tajemnicy z tak prostej sprawy: szukałem brakującej hantli. W mojej ocenie tego wypadku zajmuje ona poczesne miejsce. I znalazłem ją wreszcie.

— Gdzie?

— Aha, wchodzimy na nieznany teren. Pozwólcie mi, panowie, posunąć się odrobinę dalej, o krok, a obiecuję podzielić się wszystkimi moimi wiadomościami.

— Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak przystać na pańskie warunki — rzekł inspektor. — Ale jeżeli pan nam mówi, abyśmy zaniechali sprawy... Czemu, u licha, mielibyśmy jej zaniechać?

— Z tego prostego powodu, drogi inspektorze, że panowie nie wiecie, czego szukacie.

— Szukamy mordercy pana Johna Douglasa z Birlstone.

— Oczywiście. Słusznie. Ale nie szukajcie tajemniczego rowerzysty. Zapewniam panów, że to nic nie da.

— Więc co pan nam radzi robić?

— Powiem panom, jeżeli to zrobicie.

— Cóż, muszę przyznać, że mimo pańskich dziwacznych metod zawsze miał pan rację. Zrobię, jak pan poradzi.

— A pan, panie Mason?

Prowincjonalny detektyw bezradnie patrzył to na jednego, to na drugiego

rozmówcę. Holmes i jego metody były mu zupełnie obce. — To, co dobre dla inspektora, dobre i dla mnie — powiedział wreszcie.

— Znakomicie! — rzekł Holmes. — A więc zalecam panom mały, przyjemny spacer po okolicy. Mówiono mi, że z Birlstone Ridge roztacza się piękny widok na Weald. Pyszne drugie śniadanie z pewnością dostaniecie panowie w jakiejś oberży, choć nieznaną tutaj stroną nie pozwala mi panom żadnej rekomendować. Wieczorem zmęczeni, lecz zadowoleni...

— Człowieku, to już przechodzi wszelkie granice! — wykrzyknął MacDonald, zrywając się z miejsca.

— No to spędźcie ten dzień, jak wam się podoba. Holmes dobrotliwie poklepał go po ramieniu. — Róbcie, co chcecie, idźcie, gdzie chcecie, ale koniecznie zobaczcie się ze mną przed wieczorem... ale to koniecznie, panie Mac.

— To już brzmi trochę sensowniej.

— Rady są doskonałe, ale nie nalegam, zależy mi tylko na tym, abyście panowie byli na miejscu, kiedy was będę potrzebował. A teraz, nim się rozstaniemy, chciałbym, aby pan napisał do Barkera.

— Co?

— Podyktuję panu, jeśli pan pozwoli. Można już? *Szanowny Panie, przyszło mi na myśl, że powinniśmy spuścić wodę z fosy, bo może uda nam się znaleźć coś...*

— Nigdy w życiu, już to zbadalem.

— Sza, łaskawy panie, niech pan robi, o co proszę.

— Dobrze, jedźmy dalej.

— *...znaleźć coś, co nam pomoże w śledztwie. Wydałem już potrzebne zarządzenia i robotnicy od jutra rana zaczną odwracać bieg strumyka...* — Niemożliwe!

— *...odwracać bieg strumyka. Uważałem więc, że należy pana o tym uprzedzić zawczasu. Teraz jeszcze podpis. Niech pan to wyśle przez posłańca*

tak koło czwartej. I o tej też godzinie spotkamy się tu w pokoju. A teraz możemy robić, co nam się żywnie podoba, albowiem zapewniam pana, że na tych kilka godzin musimy przerwać śledztwo.

Wieczór nadchodził, kiedy zebraliśmy się znowu. Holmes był bardzo poważny i skupiony, ja nie mogłem ukryć ciekawości, a obaj detektywi — niedowierzania i gniewu.

— A więc — zaczął Holmes uroczyście — zapraszam panów na wspólną próbę, po czym będziecie mogli powiedzieć, czy moje obserwacje potwierdzają wniosek, do którego doszedłem. Wieczór jest chłodny, ubierzcie się więc ciepło, bo nie wiem, jak długo będziemy poza domem. Musimy znaleźć się na miejscu, nim mrok zapadnie, toteż jeżeli panowie pozwolą, wyruszmy zaraz. — Poszliśmy skrajem parku i przez dziurę w ogrodzeniu dostaliśmy się na jego teren. W gęstniejących ciemnościach zawiódł nas Holmes do kępy krzaków niemal na wprost wejścia do dworu i zwodzonego mostu, którego jeszcze nie podniesiono. Tu przykucnął za laurowymi krzakami, a my poszliśmy za jego przykładem.

— No i co mamy robić? — zirytowanym tonem zapytał MacDonald.

— Zdobyć się na cierpliwość i wystrzegać się hałasu.

— Po cośmy tu przyszli? Naprawdę już dość tej tajemniczości.

Holmes roześmiał się.

— Doktor Watson twierdzi, że lubuję się w dramatycznych sytuacjach — rzekł. — Istotnie mam w sobie żyłkę artysty, która dopomina się o dobrze wyreżyserowane przedstawienie. Zapewniam pana, że nasz zawód byłby czasem bardzo ponury i bezbarwny, gdybyśmy go nie przyozdobili malowniczą dekoracją w celu uświetnienia odnoszonych przez nas sukcesów. Brutalne oskarżenia, gruboskórne kładzenie ręki na ramieniu... cóż można zrobić z takiego finału? Ale błyskotliwy wywód, subtelna pułapka, rozsądne przewidywanie, tryumfalne urzeczywistnienie najśmielszej teorii... czyż nie stanowią dumy i usprawiedliwienia naszego

powołania? Czyż ta chwila nie napawa pana rozkosznym dreszczem? Czyż nie czuje się pan jak myśliwy? Co by się stało z tym dreszczem, gdybym był tak suchy i lakoniczny jak rozkład jazdy? Proszę tylko o odrobinę cierpliwości, a zrozumie pan wszystko.

— Dobrze, ale mam nadzieję, że ta duma i usprawiedliwienie nadejdą, nim pomrzemy z chłodu — z komiczną rezygnacją oznajmił inspektor.

Mieliśmy słuszny powód, aby się przyłączyć do tego życzenia, bo czatowaliśmy długo i w przykrych warunkach. Z wolna posępna fasada starego dworu zapadała w coraz gęstszy mrok. Od fosy ciągnęło wilgotnym, przejmującym do szpiku kości chłodem, który nas zmuszał do szcękania zębami. Nad wejściem do dworu paliła się samotna lampa, a w feralnym gabinecie płonęła równo kula światła. Poza tym było ciemno i cicho.

— Długo jeszcze? — zapytał nagle inspektor. — I na co właściwie czekamy?

— Ja również nie mam najmniejszego pojęcia, jak długo to potrwa — cierpko odrzekł Holmes. — Oczywiście, że byłoby wygodniej dla nas, gdyby przestępcy poruszali się z regularnością pociągów. A jeśli panu chodzi o to, na co czekamy... to na to...

Gdy wypowiadał te słowa, przed jasnym światłem w gabinecie przesunął się jakiś cień. Krzaki laurowe, za którymi przykucnęliśmy, rosły akurat na wprost tego okna, mniej więcej o sto stóp od niego. Nagle okno otworzyło się z piskiem zawiasów i dojrzeliliśmy mglisty zarys męskiej głowy i ramion wychylających się w mrok. Przez kilka minut człowiek ten wyglądał ukradkiem, jakby się chciał przekonać, czy go nikt nie podpatruje. A potem pochylił się w przód i w głuchej ciszy usłyszeliśmy lekki plusk wody. Zdawało się, że czymś w niej miesza. I nagle zaczął ciągnąć, niby rybak złowioną rybę, jakiś wielki, okrągły przedmiot, który wciągany przez okno, przysłonił blask lampy.

— Teraz! — krzyknął Holmes — za mną, panowie! Zerwaliśmy się i na

zesztywniałych nogach pobiegliśmy za moim przyjacielem, on zaś w jednym z tych nagłych przyływów energii, które w razie potrzeby potrafiły zeń zrobić najbardziej czynnego i najsilniejszego człowieka, jakiego znałem, pędził co tchu przez most i dopadłszy wejścia, począł gwałtownie dzwonić. Zgrzytnęły zasuwki i zdumiony Ames stanął w drzwiach. Holmes, nie tracąc czasu, odepchnął go na bok i wpadł do pokoju, w którym widzieliśmy z naszej zasadzki tajemniczego mężczyznę.

Świetlna kula była naftową lampą stojącą na stole. Barker trzymał ją teraz w wyciągniętej ku nam ręce. Blask padał na jego surową, stanowczą, gładko wygoloną twarz i groźnie spoglądające oczy.

— Co to ma znaczyć, u diabła?! — ryknął. — Czego tu panowie szukacie?

Holmes szybko rozejrzał się po gabinecie, a potem skoczył do ociekającego wodą, owiązanego sznurkami tłumoka, który leżał ciśnięty pod biurko.

— Właśnie tego szukamy, panie Barker. Tego tłumoka obciążonego jedną hantlą, który pan tylko co wyciągnął z dna fosy.

Barker ze zdumioną miną patrzył na Holmesa.

— Jakim cudem, u licha, dowiedział się pan o jego istnieniu? — zapytał.

— Po prostu dlatego, że ja go tam umieściłem.

— Pan go umieścił!? Pan!

— Może powinienem był powiedzieć „umieściłem z powrotem” — poprawił się Holmes. — Chyba pan pamięta, inspektorze MacDonald, że uderzył mnie brak tej hantli. Zwróciłem panu na to uwagę, ale pod presją innych faktów nie miał pan czasu zastanowić się nad tym, co z pewnością naprowadziłoby pana na właściwy tok rozumowania. W wypadkach, kiedy woda jest tuż, a stwierdzamy brak jakiegoś ciężaru, można słusznie założyć, iż coś zostało zatopione. Rzecz warta była sprawdzenia, wczorajszej nocy więc z pomocą Amesa, który mnie wpuścił do gabinetu, i zagiętej rączki

parasola, pożyczonego od doktora Watsona, wyłowilem ten tłumok i przejrzałem jego zawartość. Niesłuchanie ważne było jednak, abyśmy z całą pewnością ustalili, kto go zatopił w fosie. Udało się to dzięki podstępowi z tym listem, który zapowiadał jej osuszenie jutro rano. Jasne było, że ten, kto tłumok zatopił, postara się wyciągnąć go dziś jeszcze i oczywiście o zmroku. Mamy aż czterech świadków na dowód, że z tej okazji skorzystał pan Barker, i sądzę, iż zechce on teraz udzielić nam wyjaśnień.

Położył na stole mokry tłumok i rozwiązał opasujący go sznur. Wyciągnął ze środka hantlę, którą cisnął w kąt. Następnie wyjął z tłumoka parę butów — „amerykańskie, jak panowie widzą” — zauważył, wskazując na czubki. Potem wydobył na stół długi, śmiercionośny nóż w pochwie i wreszcie — kłęb odzieży składający się z bielizny, skarpetek, szarego tweedowego ubrania i krótkiego, piaskowego płaszcza.

— Ubranie najzwyklejsze w świecie — rzekł — jedynie płaszcz jest bardzo oryginalny.

Ostrożnie rozpostarł go pod światło i długim, szczupłym palcem jął wskazywać:

— Tu, jak panowie widzicie, mamy wewnętrzną wydłużoną kieszeń, tak aby się w niej zmieściła ucięta dubeltówka. Znak firmy krawieckiej przy kołnierzu: „Neale, Vermissa, USA”. Spędziłem pracowite popołudnie w bibliotece i rozszerzyłem swoją wiedzę o wiadomość, że Vermissa to kwitnące małe miasteczko w górze jednej z bardziej znanych dolin w Stanach Zjednoczonych, bogatej w węgiel i żelazo. Przypominam sobie, panie Barker, że jakieś zagłębienie węglowe łączył pan z pierwszą żoną pana Douglasa. I nie myślę się chyba, wnioskując, że litery „D.V.” na kartce zostawionej przy trupie mogą oznaczać „Dolina Vermissy” czyli dolina, z której wyszli mściciele. Być może jest to ta właśnie Dolina Trwogi, o której słyszeliśmy, ale zdaje się, że teraz już bym tylko przeszkadzał panu, panie Barker, w udzielaniu nam wyjaśnień.

Warto było zobaczyć wyrazistą twarz Barkera podczas tego wykładu słynnego detektywa. Kolejno malowały się na niej — gniew, zdumienie, konsternacja i wahanie. W końcu poszukał ratunku w cierpkiej ironii.

— Pan już tyle wie, panie Holmes, że może niech pan sam opowie — szydził.

— Z pewnością, panie Barker, mógłbym powiedzieć znacznie więcej, ale w pańskich ustach to zabrzmiałoby naturalniej.

— Pan tak sądzi? Doprawdy? A więc mogę najwyżej powiedzieć, że to nie jest moja tajemnica, jeżeli w ogóle jest tajemnicą, i że ja jej nie wydam.

— Skoro pan stoi na tym stanowisku — spokojnie oznajmił inspektor — to będziemy mieli pana na oku do czasu nadejścia nakazu aresztowania.

— Możecie sobie panowie robić, co wam się podoba — wyzywającym tonem rzucił Barker.

Zdawało się, że na tym utknęliśmy ostatecznie, bo dość było spojrzeć na jego uparte oblicze, aby zrozumieć, że nie ma takiej siły ani mąk, które by go zmusiły do mówienia. Jednakże kobiecy głos wyprowadził nas z tej ślepej zdawałoby się uliczki. Pani Douglas, która niepostrzeżenie stanęła w uchylonych drzwiach i przysłuchiwała się wszystkiemu, teraz weszła do pokoju.

— Dostyc już zrobiłeś dla nas, Cecylu — rzekła. — Tak czy owak, zrobiłeś dostyc.

— Dostyc i nawet więcej niż dostyc — poważnie stwierdził Holmes. — Mam dla pani wiele życzeń, toteż usilnie proszę o wykazanie wiary w zdrowy rozum naszych sądów i o całkowite zaufanie do policji. Może zawiniłem, nie usłuchawszy pani prośby przekazanej mi przez mojego przyjaciela doktora Watsona, ale wówczas miałem powody, by przypuszczać, że pani jest zamieszana w tę zbrodnię. Teraz wiem, że tak nie jest. Wiele rzeczy pozostaje jednak wciąż niejasnych i dlatego dobrze byłoby poprosić pana Douglasa, aby nam opowiedział swoją historię.

Przy tych słowach pani Douglas krzyknęła ze zdumienia. Ja i obaj detektywi również nie mogliśmy powstrzymać okrzyku, widząc, że z ciemnego kąta, niby wprost ze ściany, wylania się i idzie ku nam jakiś mężczyzna. Pani Douglas odwróciła się i w mgnieniu oka zarzuciła mu ramiona na szyję. Barker schwycił go za wyciągniętą rękę.

— Tak będzie lepiej, Jack — rzekła pani Douglas. — Z pewnością tak będzie lepiej.

— Oczywiście, panie Douglas — rzekł Holmes. — Tak będzie lepiej dla pana.

Mężczyzna stał i patrzył na nas spod zmrużonych powiek, jak ktoś, kto z ciemności wyszedł na światło. Miał niepospolitą twarz, śmiałe, szare oczy, gęste, krótko przycięte, siwawe wąsiki, kwadratową, wystającą brodę i usta składające się do uśmiechu. Przyjrzał nam się dobrze, a potem, ku memu zdumieniu, podszedł do mnie i podał mi zwitek papieru.

— Słyszałem o panu — powiedział z przyjemnym dla ucha akcentem na pół angielskim, na pół amerykańskim. — Pan jest kronikarzem tego towarzystwa. Mówię panu, doktorze, i stawiam na to ostatniego dolara, że nigdy jeszcze nie miał pan w rękach takiej historii jak ta. Może pan ją opisać, jak pan chce, ale to czysta prawda i musi się ludziom spodobać. Dwa dni siedziałem zamknięty i spisałem to wszystko przy świetle dziennym — kiedy w ogóle jakieś światło dochodziło do tej łapki na szczury. Czytajcie sobie na zdrowie — pan i pańscy czytelnicy. To historia Doliny Trwogi.

— Stare dzieje, panie Douglas — spokojnie zauważył Holmes — my zaś chcielibyśmy usłyszeć o tych nowych.

— Zgoda — odparł Douglas — ale czy mogę przy tym zapalić? Dziękuję panu, panie Holmes. Pan sam pali, o ile dobrze wiem, więc zrozumie pan, co to znaczy siedzieć w zamknięciu z paczką tytoniu w kieszeni i bać się zapalić, żeby dym człowieka nie zdradził. — Oparł się o kominek i zaciągnął cygarem, które Holmes mu podał. Wiele o panu słyszałem, lecz

nie przypuszczałem, że nasze drogi się zejdą. Z pewnością jeszcze przed zapoznaniem się z tym — wskazał ręką podane mi papiery — przyzna pan, że zawdzięcza mi pan coś całkiem wyjątkowego.

Inspektor MacDonald patrzył na tę nową postać z ogromnym zdziwieniem.

— To przechodzi ludzkie pojęcie! — wykrzyknął wreszcie. — Jeżeli pan jest Johnem Douglassiem z Birlstone, nad którego zabójstwem od dwóch dni łamiemy sobie głowę, to skądże się pan tu wziął, u licha, wyskoczył pan niby diabeł z pudełka!

— Ach, panie Mac — rzekł Holmes, grożąc mu palcem. Nie czytał pan w przewodniku wzmianki o ukrywaniu się króla Karola. W tamtych czasach ludzie nie poprzestawali na byle jakich kryjówkach... które mogą być przecież po wielokroć używane. Przewidziałem, że znajdziemy pana Douglasa pod tym dachem.

— Jak długo grał pan z nami w tę ciuciubabkę, panie Holmes? — gniewnie zapytał inspektor. — Jak długo pozwolił nam pan marnować czas na poszukiwania, o których pan wiedział, że są absurdalne?

— Ani chwili, drogi inspektorze. Dopiero wczoraj w nocy wyrobiłem sobie jasny pogląd na tę sprawę. A że dopiero dziś wieczór mógłbym się przekonać, czy mam rację, zaproponowałem obu panom małą przechadzkę po okolicy. Przyzna pan, że nic więcej nie mogłem zrobić. Kiedy znalazłem ubranie zatopione w fosie, od razu zrozumiałem, że zwłoki znalezione w gabinecie nie mogą być zwłokami Johna Douglasa i że musi to być ów rowerzysta z Tunbridge Wells. Tylko to jedno było możliwe. Należało więc ustalić, gdzie jest pan Douglas, a wszystko wskazywało, że z pomocą żony i przyjaciela ukrył się w domu, który posiadał dogodną kryjówkę, i że czeka, aż się wszystko uspokoi, aby ostatecznie uciec.

— Wnioskował pan prawie bezbłędnie — z aprobatą przyznał Douglas. — Chciałem kiwnąć wasze brytyjskie prawo, bo nie wiedziałem, jak będę

odpowiadał za swój czyn, a z drugiej strony pragnąłem ostatecznie zamydlić oczy tym tropiącym mnie psom. Zrozumcie, panowie, że od początku do końca nie potrzebuję się za nic rumienić i że nie zrobiłem też nic, czego bym nie mógł zrobić po raz drugi. Sami jednak się przekonacie, kiedy wam opowiem historię mojego życia. Nie potrzebuje mnie pan uprzedzać, panie inspektorze, że to, co powiem, może być wykorzystane przeciwko mnie. Za prawdę dam sobie łeb uciąć.

Nie będę zaczynał od początku. Wszystko znajdziecie panowie tam — znów wskazał na zwitek papieru w moich rękach. — To dziwaczna historia. A sprowadza się do tego, że są ludzie, którzy mają powody, by mnie nienawidzić, i daliby ostatniego dolara, żeby mnie dostać w swoje łapy. Dopóki oni żyją, nie ma dla mnie bezpiecznego miejsca na świecie. Gonili za mną z Chicago do Kalifornii, wyszczuli mnie z Ameryki, ale kiedy ożeniłem się i osiadłem w tym cichym kącie, sądziłem, że będę miał spokój do końca życia. Żonie nigdy nic nie mówiłem. Po co miałbym ją wtajemniczać? Nie zaznałaby chwili spokoju i żyłaby pod wiecznym strachem. Wiem jednak, że czegoś się domyślała; mogło mi się przecież czasem wymknąć jakieś niebaczne słowo... jednak dopiero wczoraj, już po zobaczeniu się z panami, poznała całą prawdę. Powiedziała panom, co wiedziała, i Barker też, bo w nocy, kiedy się to stało, nie było czasu na wyjaśnienia. Teraz już wie wszystko i mądrzej bym zrobił, gdybym ją wcześniej wtajemniczył. Ale to nie było łatwe, najdroższa... — na chwilę ujął jej rękę w swoją dłoń — a chciałem jak najlepiej.

A więc, moi panowie, w przeddzień tych wypadków wybrałem się do Tunbridge Wells i tam nagle dostrzegłem na ulicy pewnego człowieka. Zobaczyłem go tylko w przelocie, lecz moje wyrobione oko od razu go poznało. To był mój najgorszy wróg, ktoś, kto mnie tropił przez te lata niby głodny wilk — karibu. Zrozumiałem, że niebezpieczeństwo nadchodzi, i po powrocie do domu poczyniłem odpowiednie kroki. Przypuszczałem, że nic

mi się nie stanie. Przecież moje szczęście było kiedyś przysłowiowe w całej Ameryce Północnej. Ciągle wierzyłem, że mnie nie opuściło.

Nazajutrz pilnowałem się przez cały dzień, nie wychodziłem do parku. I dobrze — zastrzelilby mnie z tej swojej fuzji, nim zdążyłbym się złożyć do niego. Gdy most podniesiono — zawsze czułem się spokojniejszy wieczorem po podniesieniu mostu — zapomniałem o wszystkim. Nie wyobrażałem sobie, że się dostanie do środka i zaczai na mnie. Ale kiedy wieczorem, już w szlafroku, obchodząc jak zwykle dom, przekroczyłem próg gabinetu, poczułem, że coś mi grozi. Myślę, że jeżeli człowiek spotkał się w życiu z wieloma niebezpieczeństwami — jak ja na przykład — to wyrabia mu się niby szósty zmysł, który zawsze daje znak ostrzegawczy. Wyraźnie dostrzegłem ten znak, choć nie wiedziałem, skąd się wziął. A potem od razu zrozumiałem, bo pod kotarą dostrzegłem czubek buta.

Mogłem zdmuchnąć świecę, którą trzymałem w ręku, ale przez otwarte drzwi wpadało światło lampy z sieni. Postawiłem więc świecę i skoczyłem po młotek, który zostawiłem na kominku. W tej samej chwili tamten człowiek rzucił się na mnie. Zobaczyłem błysk noża, więc na chybił trafił trzasnąłem napastnika młotkiem. Musiał dostać, bo nóż z brzękiem upadł na podłogę, a on jak węgorz wśliznął się za stół i błyskawicznie wyciągnął strzelbę spod palta. Słyszałem, że odwodzi kurki, ale zdążyłem złapać za lufy, nim wypalił. Trzymałem mocno. Parę chwil wydzieraliśmy sobie broń. Ten, który by ją wypuścił, zginąłby niechybnie. Mój przeciwnik wprawdzie trzymał ją dość mocno, ale przez mgnienie oka — zbyt nisko. Może to ja pociągnąłem za spust. A może broń sama wypaliła w czasie walki. Dość, że dostał prosto w twarz z obu luf. Stałem więc i patrzyłem na to, co ongiś było Tedem Baldwinem. Poznałem go w mieście i później, kiedy się rzucił na mnie, lecz teraz rodzona matka by go nie poznała. Takie widoki to dla mnie nie pierwszozna, ale niedobrze mi się zrobiło.

Stałem bez sił, oparty o stół, kiedy wpadł Barker. Słyszałem, że żona

nadchodzi. Podbiegłem więc do drzwi, żeby ją zatrzymać; to nie był widok dla kobiety. Obiecałem, że za chwilę przyjdę do niej. Powiedziałem słówko czy dwa Barkerowi — pojął wszystko od pierwszego spojrzenia — i czekaliśmy aż się ludzie zlecą. Ale nikt nie nadchodził. Zrozumieliśmy, że nie słyszeli wystrzału i że tylko my wiemy, co się stało.

I wtedy wpadłem na ów pomysł. Olśnił mnie swoją genialnością. Rękaw trupa zadarł się nieco, odsłaniając wypalony znak łoży na przedramieniu. Spójrzcie panowie.

Człowiek, którego nazywaliśmy Douglasem, podciągnął mankiet koszuli i pokazał nam brązowy trójkąt w kole, taki sam, jaki widzieliśmy niedawno na zwłokach.

— To podsunęło mi pewną myśl. Zdawało mi się, że obejmuję wszystko jednym rzutem oka. Taki sam wzrost i włosy, prawie taka sama budowa. Biedak, z twarzy nikt by go już nie poznał! Zniosłem na dół swoje rzeczy i przebrałem się w kwadrans. We dwóch z Barkerem ustroiliśmy zwłoki w szlafrok. Leżały tak, jak je panowie zobaczyli. Ubranie związaliśmy w tłumok, który obciążylem tym, co mi wpadło pod rękę, i zatopiłem w fosie. Kartka, którą Ted zamierzał położyć przy moich zwłokach, została przy jego ciele. Wcisnęliśmy mu moje pierścionki na palce, ale kiedy przyszło do obrączki — wyciągnął ku nam muskularną rękę — widzicie panowie, nie dałem rady. Nie zdejmowałem jej od dnia ślubu i trzeba by ją teraz przepiłować. Nie wiem, czy zgodziłbym się z nią rozstać, ale nawet gdyby, to i tak bym nie mógł. Musieliśmy zatem dać temu spokój, bo trzeba było pomyśleć o własnej skórze. Przyniosłem jednak kawałek plasterka i nalepiłem go trupowi w tym samym miejscu, w którym sam go ostatnio nosiłem. I tu się pan naciął, panie Holmes, choć pan taki mądry, bo gdyby pan zdjął plaster, przekonałby się pan, że skóra pod nim jest cała i zdrowa.

Tak więc to wyglądało. Gdybym na jakiś czas zdołał się ukryć, a potem gdzieś umknąć, dokąd by i żona przyjechała, moglibyśmy do końca naszych

dni żyć spokojnie i bezpiecznie. Ci ludzie ścigaliby mnie do śmierci.

Ale gdyby przeczytali w gazetach, że Baldwin dopadł mnie nareszcie — skończyłyby się moje kłopoty. Nie miałem czasu na tłumaczenie wszystkiego Barkerowi i żonie, ale dość wiedzieli, aby mi pomóc. Znałem tę skrytkę. Ames też o niej wiedział, lecz jakoś jej nie powiązał z całą historią. Ukryłem się tam, a Barker załatwił resztę.

Sami panowie możecie sobie chyba odpowiedzieć na pytanie, co zrobił. Otworzył okno i odcisnął ślad buta na parapecie, aby stworzyć pozory, że zbrodniarz uciekł tamtędy. Nie uważam tego za genialny pomysł, ale cóż miał zrobić, skoro most był podniesiony. Potem, kiedy już wszystko było gotowe, zadzwonił gwałtownie. Dalsze wypadki już panowie znacie i możecie robić, co wam się podoba. Przysięgam jednak, że opowiedziałem wam całą prawdę i szczerą prawdę! Chciałbym, żebyście mi tylko wyjaśnili, jak wyglądam w oczach angielskiego prawa.

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero Sherlock Holmes.

— Angielskie prawo w zasadzie jest sprawiedliwe. Wyrok będzie taki, na jaki pan zasłużył. Może mi pan jednak powie, skąd ten człowiek wiedział, że pan tu mieszka, jak się dostać do dworu i gdzie na pana czyhać?

— Tego nie wiem.

Holmes był bardzo poważny i blady.

— Obawiam się, że ta historia jeszcze nie jest skończona — rzekł. — Mogą pana czekać o wiele groźniejsze niebezpieczeństwa niż angielska sprawiedliwość, a nawet niż pańscy wrogowie z Ameryki. Lękam się o pana. Niech pan posłucha mojej rady i bardzo się strzeże.

A teraz, moi cierpliwi czytelnicy, proszę was, przenieście się razem ze mną na jakiś czas daleko od Sussex i dworu w Birlstone, a także od owego roku pańskiego, w którym odbyliśmy tę pełną wrażeń podróż, zakończoną dziwną historią człowieka znanego jako John Douglas. Chcę, żebyście się w czasie cofnęli o jakieś dwadzieścia lat, a w przestrzeni odjechali o kilka

tysięcy kilometrów na zachód, bym mógł ukazać wam niezwykłą i straszną historię, tak niezwykłą i straszną, że trudno nawet w nią uwierzyć, choć ją wiernie opowiem. Nie myślcie, że zaczynam drugą opowieść, nie skończywszy pierwszej. W miarę czytania przekonacie się, że tak nie jest. A kiedy już szczegółowo opiszę te odległe wydarzenia i odsłoni się przed wami dawna tajemnica, spotkamy się raz jeszcze w owym mieszkaniu na Baker Street, gdzie te wypadki, jak wiele innych, znajdą swój finał.

CZEŚĆ DRUGA

ZŁOCZYŃCY

I

CZELADNIK

Był 4 lutego 1875 roku. W wąwozach gór Gilmerton leżał głęboki śnieg, bo zima była surowa. Plug parowy oczyścił jednak tor, toteż nocny pociąg, łączący długi rząd górniczych i hutniczych osad, ciężko sapiąc i dysząc, wolno pełził w górę stromego spadku, z równinnego Stagville do Vermissy, głównego miasta u szczytu doliny o tejże nazwie. Stąd tor schodził już w dół ku Barton's Crossing, Helmdale i do czysto rolniczego okręgu Merton. Była to jednotorowa linia, lecz na każdej bocznicy, a naliczyłoby się ich sporo, stały szeregi wagonów z węglem i rudą. Świadczyły one o olbrzymim, ukrytym w łonie ziemi bogactwie, które ściągnęło tutaj twardych, zahartowanych ludzi i tchnęło bujne życie w ten zapadły kąt Ameryki Północnej.

Bo rzeczywiście był zapadły. Pierwszym pionierom, którzy przebyli tę dolinę, nawet przez myśl nie przeszło, że najpiękniejsze prerie i najbardziej soczyste pastwiska nie były nic warte wobec tej ponurej krainy mrocznych skał i gęstych lasów. Nagie, poszarpane i ośnieżone szczyty piętrzyły się ponad ciemnymi, często nieprzebytymi lasami na stokach gór, między którymi wiała się w dole kręta, długa dolina. Po niej wolno piał się teraz krótki pociąg.

W pierwszym, osobowym wagonie, długim, odrapanym i nędznym, z dwudziestoma lub najwyżej trzydziestoma pasażerami, właśnie zapalono naftowe lampy. Wśród podróżnych przeważali robotnicy, którzy po całodziennej ciężkiej pracy w dolinie powracali do domu. Przynajmniej w jednej trzeciej — sądząc po brudnych twarzach i specjalnych lampkach — byli to górnicy. Siedzieli w osobnej grupce, kurzyli tytoń i rozmawiali półszepem, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na dwóch ludzi w przeciwnym kącie wagonu. Jak wynikało z mundurów i przypiętych

znaków, byli to policjanci. Reszta pasażerów składała się z kilku robotnic i paru mężczyzn, zapewne miejscowych sklepikarzy. Prócz tego był tam jeszcze jakiś młodzieniec, samotnie siedzący w kącie. Nim się właśnie bliżej zajmiemy. Przyjrzyjcie mu się dobrze, bo wart tego.

Zdrowy, średniego wzrostu, mógł mieć najwyżej koło trzydziestki. Oczy miał duże, szare, sprytne i wesole. Od czasu do czasu błyskały ciekawie spod okularów, gdy rozglądał się po współpasażerach. Łatwo było zgadnąć, że jest towarzyski, bezpośredni i prosty, gotów zaprzyjaźnić się z całym światem. Każdy od razu dostrzegał, że lgnął do ludzi, lubił pogadać, że umysł miał bystry, a usposobienie — wesole. Jednak gdyby mu się kto przyjrzał bliżej, zobaczyłby, że jego szczeka zdradza stanowczość, a wąskie, zaciśnięte usta — zawziętość. Było to ostrzeżenie, że za pozorną pustotą kryje się coś głębszego i że ten miły, młody Irlandczyk o ciemnoblonde włosach wyciśnie jakieś piętno, złe czy dobre, na każdym środowisku, w które się dostanie. Po daremnych próbach nawiązania rozmowy z najbliższym siedzącym górnikiem, zbyty krótkim burknięciem, młodzieniec zdecydował się na niemiłe mu milczenie i posępnie zaczął patrzeć przez okno na uciekający w tył krajobraz. Nie był to krzepiący widok. Na zboczach gór, w gęstniejącym mroku pulsowały krwawe rozbłyski hutniczych pieców. Hałdy szlaki i stosy popiołu majaczyły po obu stronach toru, a ponad nimi czerniały wyloty górniczych szybów. Tu i tam przy linii kolejowej można było dostrzec małe skupiska nędznych, drewnianych domeczków. Ich okna zaczynały się już odcinać blaskiem światła od otaczających je ciemności. Na często spotykanych stacyjkach tłumy czarnoliczych mieszkańców owych domostw czekały na pociąg. Górniczy okrąg Vermissy z pewnością nie był świątynią lenistwa i kultury. Wszędzie widziało się oznaki zaciętej walki o byt, ciężkiej fizycznej pracy oraz ludzi prostych, silnych, którzy się nią trudnili.

Młody podróżny patrzył na ten ponury kraj z zacięciem

połączonym z wyraźną niechęcią, z czego wynikało, że był to dla niego całkiem nowy widok. Od czasu do czasu wyciągał z kieszeni gruby list, zaglądał do niego i coś sobie notował na marginesach. W pewnym momencie z bocznej kieszeni marynarki wydobyl przedmiot, o którego posiadanie trudno by posądzić tak milego młodzieńca. Był to rewolwer dużego kalibru. Gdy go trochę odwrócił do światła, błysnęły miedziane łuski w bębenku, a zatem broń była nabita. Po chwili szybko wsunął rewolwer do kieszeni, ale siedzący obok robotnik zdążył go zauważyć.

— Oho, przyjacielu — rzekł. — Widzę, żeś się dobrze uzbroił i przygotował.

Młodzieniec uśmiechnął się zaambarasowany.

— Tak — odparł. — Czasem bywałem nam potrzebny, tam, skąd przybywam.

— A skąd to?

— Ostatnio z Chicago.

— Po raz pierwszy jesteś w tych stronach?

— Tak.

— Tu też się przyda — zawyrokował robotnik.

— Doprawdy? — wyraźnie zainteresował się młodzieniec.

— To nie słyszałeś, co się tu dzieje?

— Nic niepokojącego.

— Jak to? Myślałem, że o niczym innym się nie mówi w całym kraju. Niebawem już usłyszysz. Po coś tu przyjechał?

— Mówiono mi, że tu łatwo o pracę dla chętnych.

— Należysz do Związku?

— Oczywiście.

— No to dostaniesz pracę. A masz przyjaciół i znajomych?

— Nie, ale łatwo ich sobie zdobędę.

— Jakże to?

— Należę do Pradawnego Zakonu Braci Wolnych, a w każdym mieście jest przecież jakaś łoża. Gdzie zaś łoża, tam i przyjaciele.

Ta uwaga wywarła szczególne wrażenie na robotniku. Podejrzliwie rozejrzał się wkoło, czy ich kto nie słyszy. Górnicy jednak wciąż szeptali ze sobą, a policjanci drzemali. Wtedy przysiadł się bliżej do młodzieńca i wyciągnął doń rękę.

— Podaj mi swoją — rzekł.

Zamienili znaczący uścisk.

— Widzę, że nie kłamiesz. Ale sprawdzić nie zawadzi. Przyłożył prawą rękę do prawej brwi, na co młodzieniec natychmiast dotknął lewą ręką lewej brwi.

— Ciemne noce są przykre — rzekł robotnik.

— Tak, zwłaszcza dla obcych w podróży — odparł Irlandczyk.

— Dobrze. Wystarczy. Jestem brat Scanlan, łoża 341, Dolina Vermissy. Rad cię tu widzę, bracie.

— Dziękuję. A ja jestem brat John McMurdo, łoża 29, Chicago. Naszym mistrzem jest J. H. Scott. Cieszę się, że już na samym wstępie spotkałem brata.

— Pełno tu nas. W całych Stanach nie znajdziesz bardziej kwitnącej łoży niż nasza w Dolinie Vermissy. Tacy jak ty jednak bardzo nam się tu przydadzą. Ale że też podobny zuch, i to ze Związku, nie znalazł pracy w Chicago?

— Pracy mi nie brakło.

— To czemuś wyjechał?

McMurdo wskazał głową policjantów i uśmiechnął się.

— Myślę, że oni też chcieliby się dowiedzieć.

Scanlan uśmiechnął się życzliwie.

— Coś poważnego? — szepnął. — 1 to bardzo.

— Rabunek?

— Żeby tylko.

— Morderstwo?

— Za wcześnie jeszcze na taką rozmowę — rzekł McMurdo z miną człowieka, który czuje, że niepotrzebnie się wygadał. — Woląłem opuścić Chicago i niech ci to wystarczy, przyjacielu. Jakim prawem pytasz o te rzeczy?

Jego szare oczy gniewnie i groźnie błysnęły zza okularów.

— Dobra już, dobra. Nie złość się. Choćbyś tam nie wiem co miał na sumieniu, nasi chłopcy przyjmą cię z otwartymi rękami. Dokąd jedziesz?

— Do Vermissy.

— To wysiądziesz na trzecim przystanku. Gdzie się zatrzymasz?

McMurdo wyjął kopertę i przysunął ją do wątego płomyka lampy.

— Tu jest adres: Jakub Shafter, Sheridan Street. To pensjonat zalecony mi przez znajomego z Chicago.

— Nie znam. Ale Vermissa to nie moje podwórko. Mieszkam w Hobson's Patch i właśnie tam dojeżdżamy. Posłuchaj, dam ci jeszcze małą radę na pożegnanie: gdybyś miał jakie kłopoty w Vermissie, idź prosto do Domu Związkowego i zobacz się z McGintym. Jest mistrzem miejscowej łązy i bez jego wiedzy nic się tu nie dzieje. No, to bywaj. Może któregoś wieczoru spotkamy się na zebraniu łązy. Ale pamiętaj, co ci powiedziałem: gdybyś miał jakie kłopoty, wal zaraz do McGinty'ego.

Scanlan wysiadł, a McMurdo pozostał sam ze swoimi myślami. Noc już zapadła i płomienie z gęsto rozsianych pieców hutniczych raz po raz z hukiem strzelały w górę, rozdzierając mrok. Na ich groźnym tle jakieś ciemne postacie, niby korowody maszyn, chyliły się i prostowały, kręciły się i obracały w rytm bezustannego gwaru i łoskotu.

— Piekło chyba tak wygląda — rozległ się czyjś głos.

McMurdo odwrócił się i zobaczył, że jeden z policjantów patrzy teraz w ognistą przestrzeń za oknem.

— Jeśli już o to chodzi — rzekł jego towarzysz — myślę, że piekło musi być do tego podobne. Nie sądzę, aby były w nim gorsze diabły niż te, których nazwiska możemy wymienić. Zdaje mi się, że pan jest przyjezdny, młodzieńcze?

— No to co? — cierpko zapytał McMurdo.

— A to, mój panie, że doradzałbym ostrożność w doborze przyjaciół. Na pańskim miejscu nie szukałbym znajomości z Mike’iem Scanlanem i jego bandą.

— Co pana obchodzi, z kim się przyjaźnię? — ryknął McMurdo tak groźnie, że wszyscy w wagonie zwrócili głowy ku niemu, aby nic nie stracić z szykującej się awantury.

— Czy pytam o radę? A może pan mnie bierze za dziecko, które na każdym kroku potrzebuje opieki? Niech się pan nie odzywa, póki nie zapytam, a długo pan na to poczeka.

Zwrócił twarz ku policjantom i wyszczerzył zęby niby warczący pies.

Ich zaś, dobrodusznych i niezdarnych pocziwców, zaskoczyła niezwykła zapalczywość, z jaką odrzucił tę radę.

— Nie ma o co się gniewać — odezwał się jeden z nich. — Radziliśmy z życzliwości, bo przecież pan wcale nie ukrywa, że pan tu obcy.

— Jestem tu obcy, ale wy i tacy jak wy nie jesteście mi obcy — z furią w głosie krzyczał McMurdo. — Wszyscyście jednacy, tu czy gdzie indziej. Zawsze nieproszeni pchacie się z radami.

— Oho! Zdaje się, że niedługo będziemy czekali na bliższą znajomość — z uśmiechem zauważył jeden z policjantów. — Jeśli się nie mylę, to ładny z ciebie ptaszek, bratku.

— I mnie się też tak zdaje — rzekł drugi. — Pewnie niebawem znów się spotkamy.

— Myślicie, że się was boję! — wrzasnął McMurdo. — Nazywam się McMurdo, słyszycie? I znajdziecie mnie u Jakuba Shaftera na Sheridan

Street w Vermissie. Nie myślę się ukrywać. Każdemu z was i o każdej porze mogę spojrzeć prosto w oczy. Zapamiętajcie to sobie, ale dobrze!

Górnicy pomrukiem zadowolenia i sympatii powitali tę nieustraszoną postawę przybysza, a policjanci wzruszyli tylko ramionami i zaczęli rozmawiać ze sobą. W kilka minut potem pociąg wtoczył się na mroczną stację i wszyscy zaczęli wychodzić, bo Vermissa była największą stacją na tej linii. McMurdo chwycił swoją walizeczkę i już chciał ruszyć w rozpościerający się przed nim mrok, kiedy zaczepił go jeden z górników.

— Słowo daję, potrafisz rozmawiać z łapsami — powiedział z bogobojnym zachwytem. — Warto było tego posłuchać. Daj, to ci poniosę walizkę i wskażę, jak iść. Mam po drodze.

A gdy zeszli z peronu, inni górnicy pożegnali ich chóralnym życzeniem dobrej nocy.

Wojowniczy McMurdo już stał się kimś, nim zdążył mocno postawić nogę w Vermissie.

Cała dolina budziła lęk i odrazę, ale to jej centralne miasteczko działało jeszcze bardziej deprymująco. Dolina miała przynajmniej jakąś posępną wielkość bijącą z gigantycznych ogni i chmur dymu, potęga przemysłu i człowieka wyrażała się w monumentach usypisk, które wznosił obok swoich olbrzymich wykopów. Ale miasto przedstawiało istny obraz nędzy i rozpacz. Na głównej ulicy koła pojazdów rozmiesiły śnieg w brudne, wilgotne, wstrętne blocko i wyżłobiły głębokie koleiny. Chodniki były wąskie i dziurawe. Liczne lampy gazowe stały tylko po to, aby oświetlać długi szereg zapuszczonych i brudnych drewnianych domków z werandami wychodzącymi na ulicę. Bliżej ku środkowi miasta scenę tę rozjaśniały dodatkowo witryny sklepów, a przede wszystkim blask idący od zbiorowiska knajp i domów gry, w których górnicy przepuszczali swoje ciężko zapracowane, ale wysokie zarobki.

— Oto Dom Związkowy — rzekł przewodnik młodego Irlandczyka,

wskazując na jedną z knajp urastającą niemal do godności hotelu. — Tu rządzi Jack McGinty.

— Co to za człowiek? — zapytał McMurdo.

— Jak to? Nigdy nie slyszales, o Szeffie?

— Jak moglem slyszec, przeciez wiesz, ze jestem tu obcy?

— Myslalem, ze znaja go w calym Związku. Gazety dosc czesto o nim pisaly.

— Z jakiej racji?

— No... — górnik ściszył głos — z powodu tych afer.

— Jakich znowu afer?

— Wielki Boże, człowieku, ale z ciebie cudak, pozwól sobie rzec bez obrazy. Tu zdarzają się tylko jedne afery, o innych nie uslyszysz. Chodzi o zloczynców.

— Zdaje mi się, że coś mi o nich opowiadano w Chicago. Banda morderców, prawda?

— Cicho, na miłość boską! — wykrzyknął górnik, przystając z przerażenia i ze zdumieniem patrząc na swojego towarzysza. — Człowieku, niedługo pochodzisz po świecie, jeżeli w ten sposób będziesz gadał na środku ulicy. Wielu już pożegnało się z życiem za mniejsze rzeczy.

— Cóż, nic o nich nie wiem. Tyle tylko, co czytałem.

— Nie mówię, że nie czytałeś prawdy — górnik rozejrzał się niespokojnie, wpatrując się w ciemność, jak by tam czyhało jakieś niebezpieczeństwo. — Jeżeli zabijanie jest morderstwem, to tego tu nie brak, lecz w związku z tym nie wolno ci nawet szepnąć nazwiska McGinty'ego, bo wszystko mu powtórzą, a on nie jest z tych, co by to puścili płazem. Oto i dom, którego szukasz... o, ten z dala od ulicy. Stary Jakub Shafter to najuczciwszy z tutejszych ludzi.

— Dziękuję — rzekł McMurdo i uściskawszy dłoń górnikowi, z walizką w ręku poczłapał dróżką, która wiodła ku wskazanemu domowi.

Stanąwszy przed drzwiami, zastukał mocno. Otworzył mu natychmiast ktoś, kogo się najmniej spodziewał ujrzyć.

Była to dziewczyna młoda i niezwykle ładna. W typie Szwedki, jasna blondynka, a jej czarne oczy pikantnie kontrastowały z tymi włosami. Zdumiona, lecz mile zaskoczona — co nawet wywołało rumieniec na jej białych policzkach — patrzyła teraz na obcego człowieka. Jemu zaś, gdy tak stała w smudze światła padającego z otwartych drzwi, wydało się, że nigdy jeszcze nie widział cudniejszego obrazu, jeszcze bardziej pociągającego przez kontrast z ponurym i surowym otoczeniem. Piękny fiołek kwitnący na tych czarnych hałdach górniczych nie mógłby obudzić większego zdumienia. McMurdo był tak oczarowany, że zastygł w milczeniu, które dopiero ona przerwała.

— Myślałam, że to ojciec — powiedziała z miłym szwedzkim akcentem.
— Przyszedł pan do niego? Jest w mieście, ale powinien zaraz wrócić.

McMurdo patrzył na nią z niemym podziwem, aż wreszcie zmieszana spuściła wzrok przed tak pewnym siebie przybyszem.

— Nie, panienko — rzekł wreszcie. — Wcale mi nie zależy na szybkim zobaczeniu się z pani ojcem. Polecono mi jednak ten dom, gdybym szukał mieszkania. Miałem nadzieję, że mi się u was spodoba, a teraz jestem tego pewien.

— Prędko się pan decyduje — zauważyła z uśmiechem.

— Tylko ślepy by się nie zdecydował — odparł bez namysłu. Śmiechem odpowiedziała na ten komplement.

— Proszę, niech pan wejdzie — rzekła. — Nazywam się Ettie Shafter. Moja matka nie żyje i ja prowadzę gospodarstwo. Proszę siąść w bawialni przy kominku i poczekać na ojca. Ale oto i on. Będzie pan mógł zaraz omówić warunki. Ścieżką szedł ociężały, starszy już mężczyzna. McMurdo w paru słowach powiedział, o co chodzi. Pewien człowiek nazwiskiem Murphy dał mu ten adres w Chicago. Sam miał go od kogoś innego. Shafter

nie robił trudności, Mc Murdo zaś nie targował się i od razu przystał na podane warunki. Pieniądzy zdaje się miał dosyć. Za dwanaście dolarów płatnych z góry dostał pokój z pełnym utrzymaniem. W taki to sposób McMurdo — według własnych słów zbieg przed prawem — znalazł przytułek pod dachem Shafterów, co dało początek długiemu cyklowi ponurych wydarzeń, które zakończyły się dopiero w dalekim kraju.

II

MISTRZ

McMurdo należał do ludzi, którzy prędko zdobywają popularność. W każdym otoczeniu od razu przekonywano się o tym. W ciągu tygodnia stał się najważniejszym lokatorem u Shafterów. Tych lokatorów było z dziesięciu, poczciwych sztygarów lub zwykłych subiektów sklepowych, pod żadnym względem nie dorównujących młodemu Irlandczykowi. Wieczorem, kiedy zbierali się razem, jego żarty były najdowcipniejsze, jego rozmowy najbardziej inteligentne, a śpiew — najładniejszy. Był urodzonym bratem łąką, tak promieniującym wesołością, że nikt nie potrafił się jej oprzeć.

A jednak raz po raz miewał napady szalonego gniewu, czego dał dowód w pociągu. Budziły one jednak respekt w otoczeniu i nawet lęk. Również dla prawa i jego przedstawicieli zdradzał głęboką pogardę, czym zachwycał jednych, a przerażał innych współlokatorów.

Od pierwszej chwili swym nie skrywanym zachwytem dał dowód, że zadurzył się w pięknej i wdzięcznej córce Shaftera. Nie należał do wstydliwych wielbicieli. Już drugiego dnia wyznał jej miłość i odtąd powtarzał to stale i uparcie, nie oglądając się na odpowiedź.

— Ktoś inny! — wykrzykiwał. — Tym gorzej dla niego! Niech się strzeże! Miałbym dla kogoś zrezygnować z jedyne szczęścia w życiu i z największego marzenia! Może pani sobie powtarzać to „nie”, Ettie! Przyjdzie kiedyś dzień, kiedy powie pani „tak”. Jestem młody, mogę czekać.

Trudno mu się było oprzeć przy tym jego obrotnym irlandzkim języku i ujmujących, miłych manierach. Otaczał go też urok romantycznych przeżyć i tajemniczości, co zawsze robi wrażenie na kobietach i budzi ich miłość. Dużo opowiadał o cudnych dolinach hrabstwa Monagham, z

którego pochodził, o dalekiej, wspaniałej wyspie, o pagórkach i zielonych łąkach, które widziane w wyobraźni na tle tej pępnej krainy śniegu, wydawały się jeszcze piękniejsze. Znał też dobrze życie miast na północy Stanów — na przykład Detroit, osad drwali w Michigan, Buffalo i wreszcie Chicago, gdzie pracował w tartaku. A przy tym jakiś romantyzm, jakieś aluzje do historii, która przytrafiła mu się w tym wielkim mieście, historii tak dziwnej i tajemniczej, iż nie można było nawet o niej mówić. Z zadumą opowiadał o nagłym wyjeździe, zerwaniu wszystkich więzów, o ucieczce w obce strony, zakończonej przybyciem do tej rozpaczliwie smutnej doliny. Ettie słuchała go, a jej czarne oczy aż błyszczały ze współczucia i sympatii — tych dwóch uczuć, które tak szybko i naturalnie potrafią przerodzić się w miłość.

McMurdo znalazł sobie „na razie posadę księgowego, bo był człowiekiem wykształconym. To zajęcie prawie przez cały dzień trzymało go poza domem, toteż nie miał czasu ani okazji, by zameldować się u mistrza łoża Pradawnego Zakonu Braci Wolnych. Wytknął mu to Mikę Scanlan, spotkany w pociągu współbrat, który go odwiedził pewnego wieczoru. Niski, nerwowy, o ostrych rysach i czarnych oczach, Scanlan rad odnowił znajomość z McMurdo. Po jednej czy dwóch szklankach whisky nawiązał do celu swojej wizyty.

— Słuchaj no — rzekł. — Przypomniał mi się twój adres i pozwoliłem sobie przyjść. Dziwne, żeś jeszcze nie był u mistrza. Czemuś nie poszedł do Szefa?

— Szukałem pracy. Nie miałem czasu.

— Dla Szefa musisz mieć czas, nawet gdybyś nie miał na nic innego. Co ty sobie myślisz, u licha!?! Nie być w Domu Związku, nie zarejestrować się zaraz pierwszego dnia po przyjeździe! Jeżeli nie chcesz go sobie zrazić... nie, nie, krótko mówiąc — musisz to zrobić!

McMurdo zdziwił się naiwnie:

— Od dwóch lat jestem już wolnomularzem, ale nie slyszałem, aby to była taka pilna sprawa.

— Może w Chicago!

— Dobrze, ale to ten sam zakon.

— Naprawdę? — Scanlan przyglądał mu się długo i uważnie. W jego spojrzeniu było coś ponurego.

— No a jak?

— Pomówimy o tym za miesiąc. Slyszałem, że miałeś starcie z policjantami po moim wyjściu z pociągu.

— Skąd wiesz?

— Takie rzeczy u nas się rozchodzą... na złe albo na dobre, ale się rozchodzą.

— No więc powiedziałem tym lajdakom, co o nich myślę.

— Słowo daję, przypadniesz do serca Szefowi.

— Co? To i on nienawidzi policji?

Scanlan wybuchnął śmiechem.

— Idź i zobacz się z nim — rzekł na pożegnanie. — Ciebie znienawidzi, nie policję, jeśli nie pójdiesz. Posłuchaj przyjacielskiej rady i idź zaraz!

Tak się złożyło, że tegoż wieczora McMurdo miał jeszcze jedną, bardziej nagłą rozmowę w tej samej sprawie. Być może jego nadskakowanie Ettie stało się bardziej widoczne albo dotarło nareszcie do świadomości ospale myślącego Szweda, właściciela pensjonatu. Dość, że skinął palcem na młodzieńca i wywoławszy go do prywatnego pokoju, bez ogródek przystąpił do rzeczy:

— Zdaje się — rzekł — że pan się zaleca do mojej Ettie. Czyżbym się mylił?

— Nie, nie myli się pan — odparł McMurdo.

— No to dowiedz się pan, że to ci się na nic nie zda. Już cię ktoś wyprzedził.

— Mówiła mi o tym.

— To możesz być pewien, że nie skłamała. Ale czy powiedziała, kto to taki?

— Nie. Pytałem, nie chciała jednak powiedzieć.

— A to dopiero dzierlatka! Może nie chciała pana nastraszyć.

— Nastraszyć! Mnie! — W mgnieniu oka wybuchnął McMurdo.

— Ano tak, mój przyjacielu! Nie potrzebujesz się pan wstydzić tego lęku. Toć chodzi o Teddy'ego Baldwina.

— A któż to, u licha?

— Jeden z szefów tych złoczyńców.

— Złoczyńców! Już mi o nich mówiono. Złoczyńcy tu, złoczyńcy tam, a zawsze tylko szeptem! Czego się ich boicie? Kimże oni są?

Pocziwy Szwed mimo woli zniżył głos, jak każdy, kto mówił o tym okropnym stowarzyszeniu.

— Złoczyńcy — rzekł — to Pradawny Zakon Braci Wolnych.

McMurdo oniemiał.

— Jak to!?! — zawołał po chwili — przecież należę do tego zakonu.

— Pan? Nigdy bym cię przez próg nie przepuścił, gdybym wiedział... nawet za sto dolarów tygodniowo.

— A cóż to złego ten zakon? Ma na celu miłosierdzie i koleżeństwo. Tak głosi statut.

— Może gdzie indziej, ale nie tu!

— Czymże jest tu?

— Bandą morderców, ot czym jest.

McMurdo roześmiał się niedowierzająco.

— Jak pan tego dowiedzie? — zapytał.

— Jak dowiodę! A te pięćdziesiąt morderstw to nie dowód? Co pan powiesz na Milmana i van Shorsta. I na rodzinę Nicholsona, na starego Hyama i małego Billy, Jamesa? Dowieść! Czy w tej dolinie jest bodaj jeden

człowiek — mężczyzna lub kobieta — który by tego nie wiedział?

— Niech pan posłucha! — z naciskiem rzekł McMurdo. — Albo pan cofnie, co pan powiedział, albo pan to uzasadni. Jedno lub drugie, bo nie ruszę się z pokoju. Jakże by pan postąpił na moim miejscu. Jestem obcy w mieście, należę do stowarzyszenia, o którym wiem, że jest zupełnie niewinną organizacją. Znajdzie ją pan wszędzie jak Stany długie i szerokie i zawsze — niewinną. A teraz, kiedy chcę do niej tu przystąpić, mówi mi pan, że jest ona bandą morderców. Myślę, że powinien mnie pan albo przeprosić, albo wytłumaczyć się przede mną.

— Mogę tylko powiedzieć to, co wie cały świat. Szefowie jednej organizacji są też szefami drugiej. Gdy się z tą zadrze, tamta się zemści. Aż za często mogliśmy to sprawdzić.

— Babskie gadanie, nic więcej. Niech mi pan tego dowiedzie! — upierał się McMurdo.

— Sam pan się przekonasz, jak tu dłużej pomieszkasz. Ale zapomniałem, że jesteś jednym z nich. Niebawem staniesz się do nich podobny. Nie mogę dłużej trzymać pana pod moim dachem. Dość już, że taki jeden kręci się koło Ettie i że boję się go wyrzucić za drzwi. Miałbym trzymać jeszcze drugiego? Nie, mój panie, na jutro znajdź już pan sobie inny nocleg!

Tak więc McMurdo spotkała podwójna kara: wypędzono go z wygodnej kwatery i odmówiono mu ręki ukochanej dziewczyny.

Tegoż jeszcze wieczoru, kiedy ją zastał samą w bawialni, zwierzył się ze swych zmartwień.

— Pani ojciec, Ettie, wymówił mi mieszkanie — rzekł. — Nic bym sobie z tego nie robił, gdyby szło tylko o pokój. Ale przysięgam, że choć znamy się dopiero od tygodnia, nie mogę już żyć bez pani.

— Cicho, cicho! Niech pan tak nie mówi! — odparła. — Czyż nie powiedziałam, że zjawił się pan za późno? Mam już innego starającego i choć nie obiecywałam zaraz za niego wyjść, nie mogę wyjść za nikogo

innego.

— Założmy, Ettie, że to ja byłbym tym pierwszym, czy mógłbym wtedy mieć nadzieję?

Ukryła twarz w dłoniach.

— Ach, czemu pan nie był pierwszy! — załkała. McMurdo w mgnieniu oka padł przed nią na kolana.

— Ettie, błagam cię, zgódź się! — wykrzyknął. — Czy chcesz zrujnować życie sobie i mnie tamtą obietnicą? Usluchaj głosu własnego serca, kochanie! To o wiele silniejszy argument niżli słowo dane wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziałas, co mówisz.

Ujął jej białą dłoń w swoje mocne, ogorzałe ręce.

— Zgódź się być moją, a zobaczysz, że we dwójkę oprzemy się każdej groźbie.

— Ale wyjedziemy, dobrze?

— Nie, zostaniemy.

— Och, nie, Jack! — zarzuciła mu ramiona na szyję. — Nie tu. Czy nie możesz mnie stąd zabrać?

Widać było, że McMurdo walczy ze sobą, ale po chwili twarz jego stężała na granit.

— Nie, najdroższa, tutaj — odparł. — Nie oddam cię nikomu, nawet gdybym miał cały świat przeciwko sobie. Właśnie tutaj, nigdzie indziej!

— Dlaczego nie mielibyśmy wyjechać razem!?

— Nie, Ettie, nie mogę wyjechać.

— Ale czemu?

— Nie śmiałybym spojrzeć ludziom w oczy, wiedząc, że pozwoliłem się wypędzić. A zresztą czego mamy się bać? Czyż nie jesteśmy wolnymi ludźmi w wolnym kraju? Jeżeli się kochamy, to któż się odważy stanąć między nami.

— Nie rozumiesz, nie wiesz. Jesteś tu jeszcze za krótko. Nie znasz tego

Baldwina. Nie znasz McGinty'ego i jego złoczyńców.

— Tak, nie znam ich, nie boję się ich i nie wierzę w to, co o nich opowiadają! — odparł McMurdo. — Miewałem już do czynienia z gorszymi ludźmi i nie ja się ich bałem, tylko zawsze oni mnie. Czegóż tu się bać! Jeżeli ci ludzie, jak twój ojciec mówi, popełniają tu w te'j dolinie jedną zbrodnię za drugą i jeżeli wszyscy ich znają, jak to się dzieje, że żaden jeszcze nie stanął przed sądem? Wytlumacz mi, Ettie?

— Bo żaden człowiek nie chce zeznawać przeciwko nim. Nie wyżyłby nawet miesiąca. A także dlatego, że zawsze mają fałszywych świadków, którzy przysięgną, że oskarżony w czasie zbrodni był gdzieś o setki mil dalej. Ale Jack, musiałeś o tym czytać! Chyba w całych Stanach nie znajdzie się gazety, która by o tym nie pisała.

— Tak, czytałem coś niecoś, racja, ale myślałem, że to takie sobie bajeczki. Może ci ludzie kierują się jakimiś powodami. Może zblądzili i teraz już nie mają odwrotu.

— Och, nie mów tak! On też tak mówi, ten drugi.

— Baldwin... tak mówi, naprawdę?

— I dlatego się nim brzydzę. Teraz już mogę powiedzieć ci prawdę. Nienawidzę go z całego serca, ale i boję się go. Ze względu na siebie, lecz przede wszystkim ze względu na ojca. Wiem, że gdybym odważyła się zdradzić ze swoim uczuciem wstrętu, ściągnęłabym na niego wielkie nieszczęście. Oto czemu zbyłam Baldwina na pół serio daną obietnicą. Prawdę mówiąc, to była nasza jedyna nadzieja. Ale gdybyś się zgodził uciec, zabralibyśmy ojca i moglibyśmy żyć spokojnie gdzieś daleko od władzy tych złych ludzi.

Na twarzy McMurdo znów widać było walkę i znów mu rysy skamieniały.

— Włos ci z głowy nie spadnie... ani tobie, ani ojcu. A co do tych złych ludzi, kto wie, czy nie przekonasz się w końcu, że jestem gorszy od

najgorszego z nich wszystkich.

— Nie, nie, zawsze będę w ciebie wierzyła. Roześmiał się gorzko.

— Boże, mój Boże, jak mało o mnie wiesz! Twoja niewinna duszyczka nawet nie przeczuwa, co się dzieje w mojej duszy. Ale kto to?

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł niedbałym krokiem jakiś młodzieniec z arcy pewną siebie miną. Był przystojny, zuchowaty, mniej więcej w wieku Jacka McMurdo i nawet podobny do niego z budowy. Spod czarnego filcowego kapelusza z szerokim rondem, którego nawet nie pofatygował się zdjąć, wyzierało groźne oblicze o orlim nosie. Złym, nienawistnym i władczym okiem spojrzał na parę siedzącą przed kominkiem.

Ettie zerwała się zmieszana i zaniepokojona.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Baldwin — rzekła. Przyszedł pan wcześniej niż myślałam. Proszę, niech pan siada.

Baldwin nie ruszył się z miejsca i ująwszy się pod boki, patrzył na McMurdo.

— Co to za jeden? — rzucił.

— To mój znajomy... nasz nowy lokator. Panie McMurdo, pozwoli pan sobie przedstawić pana Baldwina.

Obaj młodzi ludzie sztywno skłonili się sobie.

— Panna Ettie z pewnością powiedziała panu, co nas łączy? — rzekł Baldwin.

— Zdawało mi się, że nic.

— Zdawało się panu? Teraz przestanie się panu zdawać. Niechże się pan dowie ode mnie, że to moja narzeczona. W tak piękny wieczór lepiej pan zrobi, idąc na spacer.

— Dziękuję za radę, ale nie mam ochoty na przechadzkę.

— Nie ma pan? — dzikie oczy Baldwina płonęły gniewem.

— A może pan ma ochotę na bitkę, panie nowy lokatorze?

— Zgadł pan! — krzyknął McMurdo, zrywając się z miejsca. — Nigdy jeszcze nie słyszałem miłszej propozycji.

— Na miłość boską, Jack, na miłość boską! — wykrzyknęła biedna, śmiertelnie przerażona Ettie. — Och, Jack, on ci zrobi coś złego!

— Aa! Więc jesteście na ty! — z groźbą w głosie rzekł Baldwin. — Do tego już doszło między wami, co?

— Och, Ted, pohamuj się... uspokój! Przez wzgląd na mnie, jeżeli mnie kochasz, Ted, bądź wspaniałomyślny i litościwy!

— Myślę, Ettie, że gdybyś nas zostawiła samych, załatwilibyśmy sprawę między sobą — spokojnie rzekł McMurdo. — A może — ciągnął, zwracając się do Baldwina — poszlibyśmy się przejść. Wieczór jest ładny, a o parę domów dalej mamy otwarty plac.

— Poradzę sobie z tobą, nie brudząc rąk — odparł wróg. — Pożałujesz, bratku, dnia, kiedyś postawił nogę w tym domu.

— Po co odkładać, mam czas teraz! — krzyknął McMurdo.

— Mnie zostaw wybór czasu, już ja znajdę odpowiednią chwilę. Spójrz! — nagłym ruchem zakasał rękaw i pokazał na przedramieniu jakby wypalony dziwny znak: trójkąt w kole. — Wiesz ty, co to jest?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć!

— Ale się dowiesz. Obiecuję ci to solennie, mój panie. I nie zdążysz się wiele postarzyć do tego czasu. Panna Ettie może ci coś powiedzieć na ten temat. A co do ciebie, Ettie, to się jeszcze na kolanach do mnie przyczolgasz. Słyszysz? Na kolanach! Wtedy cię ukarzę. Zasialiście i — przysięgam — zbierzecie plon!

Patrzył na nich z wściekłością, a potem obrócił się na pięcie i wyszedł. Za chwilę trzasnęły za nim drzwi wejściowe.

McMurdo i Ettie przez kilka sekund stali w milczeniu, aż wreszcie przerażona Ettie rzuciła mu się na szyję.

— Och, jakiś ty dzielny! Jednak to wszystko na nic. Musisz uciekać!

Jeszcze dziś... jeszcze dziś w nocy! To twój jedyny ratunek. On cię zabije. Wyczytałam to w jego okrutnym spojrzeniu. Cóż możesz poradzić, kiedy jest ich wielu i mają za sobą McGinty'ego i potęgę całej loży?

McMurdo uwolnił się z jej objęć, pocałował ją i lekko pchnął na krzesło.

— Spokojnie, kochanie, spokojnie! Nie kłopotz się i nie bój się o mnie. Sam jestem masonem. Przed chwilą powiedziałem o tym twojemu ojcu. Być może, nie jestem lepszy od nich, nie rób więc ze mnie świętego. Może nawet też znienawidzisz mnie po tym, co ci powiedziałem.

— Nienawidzić ciebie? Nigdy w życiu! Słyszałam, że mason to coś niedobrego jedynie tutaj, czemu więc miałabym cię źle sądzić? Ale jeżeli jesteś masonem, to biegnij zaraz do McGinty'ego, żeby go przyjaźnie do siebie usposobić. Pośpiesz się, pośpiesz, Jack! Musisz ubiec tamtych, nim się do ciebie zaborą.

— Tak też myślałem — odparł McMurdo. — Pójdę tam zaraz i skończę z tą sprawą. Możesz powiedzieć ojcu, że tę noc jeszcze tu prześpię, ale jutro rano znajdę już sobie inną kwaterę.

W barze knajpy McGinty'ego było tłoczno jak zwykle, albowiem tu najchętniej zbierały się najgorsze męty miasta. Sam McGinty cieszył się popularnością ze względu na jowialne, gburowate usposobienie, za którym ukrywało się zresztą coś znacznie głębszego. Pomijając jednak tę popularność, sam lęk, w którym utrzymywał nie tylko całe miasto i trzydziestomilową dolinę, lecz nawet osady za obrzeżającymi ją górami, wystarczał do zapelnienia jego baru, bo nikt nie chciał mu się narazić.

Mimo tych tajemniczych mocy, z których — jak niosła fama — zdawał się korzystać w tak bezwzględny sposób, McGinty dzierżył jeszcze wysokie stanowiska. Był radcą miejskim i pełnomocnikiem do spraw drogowych, wybranym na te urzędy głosami szumowin, które z kolei spodziewały się od niego za to jakiejś rekompensaty. Ludność płaciła wysokie podatki, o roboty publiczne nikt nie dbał, łapownictwo kwitło w najlepsze, a

uczciwych obywateli szantażowano i zmuszano do milczenia pod groźbą straszliwych represji. W ten to sposób z roku na rok brylantowe szpilki w krawacie McGinty'ego coraz bardziej rzucały się w oczy, złoty łańcuszek na coraz wspanialszej kamizelce wciąż przybierał na wadze, a knajpa rozrastała się i niewiele już brakowało, by zajęła cały jeden bok rynku.

McMurdo pchnął wahadłowe drzwi. W kłębach dymu tytoniowego i w oparach alkoholu jał się przepychać przez tłum mężczyzn. Bar był jaskrawo oświetlony, a blask lamp, odbitych w wielkich lustrach, oprawnych w ciężkie, złoczone ramy, wiszących na każdej ścianie, potęgował jeszcze wrażenie oślepiającej jasności. Barmani uwijali się z zakasanyimi rękawami i nie mieli chwili spoczynku. Bez przerwy mieszały napitki dla ludzi tłoczących się przed ladą — długą, szeroką i obitą blachą. W jednym jej końcu, niedbale o nią oparty, z cygarem sterczącym z kącika ust, stał wysoki, barczysty, krzepko zbudowany mężczyzna, z pewnością nikt inny — tylko sam McGinty. Był to prawdziwy olbrzym, czarnowłosy, zarośnięty aż po oczy, z kruczoczarłą czupryną opadającą na kołnierz. Smagły niby Włoch, oczy miał czarne jak węgle, co w połączeniu z lekkim zezem nadawało im jakiś zły wyraz. Ale poza tym wszystko w nim — regularne rysy, kształtna budowa, szczerze, proste maniery — w zupełności odpowiadały tej postaci poczciwca, którą przybrał. Oto, rzekłbyś, z kośćcami dobry chłop, o złotym sercu, choć szorstkim języku. Dopiero pod spojrzeniem czarnych oczu, głębokich i bezlitosnych, ciarki człowiekowi chodziły po grzbiecie, bo czuł, że stanął twarzą w twarz z ucieleśnieniem zła wspartego mocą, odwagą i chytrą, co czyniło je po tysiącokroć straszniejszym.

Przyjrząwszy mu się dokładnie, McMurdo jak zwykle bez ceremonii utorował sobie łokciami drogę do lady i przepchnął się przez grupkę lizusów zwartym kołem otaczających wszechpotężnego Szefa i przypodchlebnie rechoczących przy każdym jego najniewinniejszym nawet

żarcie. Na zwrócone ku sobie przenikliwe spojrzenie czarnych, groźnych oczu śmiało odpowiedział nieustraszonym spojrzeniem szarych oczu, rzuconym spod okularów.

— Nie przypominam sobie pana, młodzieńcze — rzekł McGinty.

— Bo dopiero niedawno przyjechałem, panie McGinty.

— Ale już dość dawno, by tytułować ludzi tak, jak im się to należy.

— Chłopcze, stoisz przed radcą McGintym — odezwał się jeden z ludzi w tej grupie.

— Przepraszam, panie radco. Nie znam się na tutejszych zwyczajach. Mówiono mi jednak, abym się z panem zobaczył.

— No więc mnie pan widzi. Takiego, jakim jestem. I cóż pan o mnie myśli?

— Trudno sobie wyrobić zdanie od pierwszego spojrzenia, ale jeżeli pańskie serce jest tak wielkie jak ciało, a dusza piękną nie ustępuje twarzy, to nic więcej nie trzeba — odparł McMurdo.

— Widzę, że macie iście irlandzki, obrotny język, mój panie! — wykrzyknął McGinty, wahając się, czy uderzyć w żartobliwy ton, czy też zachować powagę stosowną do swojej godności. — A zatem, łaskawco, podobam ci się, co?

— Z pewnością.

— I powiedziano ci, żebyś się ze mną zobaczył?

— Tak, powiedziano.

— Kto ci powiedział?

— Brat Scanlan z łoży 341, Dolina Vermissy. Piję za pańskie zdrowie, panie radco, i za naszą bliższą znajomość. Przyłożył do ust szklaneczkę, którą mu podsunęto, i wychylając jej zawartość, lekko uniósł w górę mały palec. McGinty, który pilnie obserwował każdy jego ruch, uniósł grube czarne brwi.

— A więc tak? — rzekł. — Cóż, musimy to zbadać szczegółowo, panie...

— **McMurdo.**

— **Szczegółowo, panie McMurdo. Bo w tych stronach nie wierzymy ludziom tak łatwo. Ani im, ani ich słowom. Chodźmy na chwilę do pokoiku za barem.**

Za barem było małe pomieszczenie z rzędami beczek pod każdą ze ścian. McGinty starannie zamknął drzwi, siadł na jednej z tych beczek i z namysłem żując koniuszek cygara, uważnie przyglądał się młodzieńcowi swoim niepokojącym wzrokiem. Przez kilka minut siedział w zupełnym milczeniu.

McMurdo pogodnie zniósł to badanie, trzymając jedną rękę w kieszeni, a drugą kręcąc jasnego węża. Aż nagle McGinty pochylił się i gwałtownym ruchem wydobyl groźnie wyglądający rewolwer.

— **Spójrz no tu, ty wesołku — rzekł. — Gdybym przypuszczał, że szykujesz nam jakiś kawał, już byś stąd nie wyszedł.**

— **Doprawdy, w dziwny sposób mistrz łoży wita nowego brata — odparł McMurdo nie bez dumy w głosie.**

— **Tego właśnie masz dowieść, że jesteś bratem — odparł McGinty. — A niech cię Bóg strzeże, jeżeli nie zdołasz. Gdzie otrzymałeś wtajemniczenie?**

— **W łoży 29, w Chicago.**

— **Kiedy.**

— **14 czerwca 1872 roku.**

— **Kto jest tam mistrzem?**

— **James H. Scott.**

— **Kto rządzi okręgiem?**

— **Bartłomiej Wilson.**

— **Hm, odpowiadasz pewnie. A co tu robisz?**

— **Pracuję, tak samo jak pan, tylko w gorszym fachu.**

— **Widzę, że na wszystko masz gotową odpowiedź.**

— **Tak, zawsze byłem obrotny w języku.**

— A w pracy?

— Ci, co mnie znają, nigdy o tym nie wątpili.

— Cóż, sprawdzimy, coś powiedział, szybciej, niż się spodziewasz. Czy ci już tu mówiono o łoży?

— Mówiono, że trzeba być nie lada zuchem, by zostać bratem.

— Słusznie, panie McMurdo. Czemu żeś się wyniół z Chicago?

— Akurat panu powiem!

McGinty szeroko otworzył oczy. Nie był przyzwyczajony do takich odpowiedzi i to go rozbawiło.

— Czemuż nie chcesz mi powiedzieć?

— Bo żaden brat nie powinien kłamać drugiemu.

— A zatem prawda jest aż tak zła?

— Może pan sobie myśleć, co pan chce.

— Więc jakże, łaskawco? Uważasz, że ja, mistrz, wprowadzę do łoży człowieka o nie znanej mi przeszłości?

McMurdo wydawał się zaskoczony, ale po chwili wyciągnął z wewnętrznej kieszeni zniszczony wycinek z gazety.

— A nie wsypie mnie pan? — zapytał.

— Jeżeli jeszcze raz powiesz coś takiego, zdzielę cię w pysk — wybuchnął McGinty.

— Przepraszam, panie radco — ulegle tłumaczył się McMurdo. — Ma pan rację. Palnąłem bez namysłu. Wiem, że mogę panu zaufać. Niech pan przeczyta.

McGinty rzucił okiem na relację z zabójstwa Jonasa Pinto, którego zastrzelono w pierwszym tygodniu stycznia 1874 roku w „Lake Saloon” przy Market Street w Chicago.

— Twoja sprawka? — zapytał, zwracając wycinek.

McMurdo skinął głową.

— Czemuś go zastrzelił?

— Pomagałem Wujkowi Samowi wyrabiać dolary. Może moje nie były z tak fajnego złota jak jego, ale nie ustępowały im wyglądem i kosztowały znacznie taniej. Ten Pinto je splawiał...

— Co robił?

— No, puszczał w obieg. A potem oznajmił, że mnie wyda. Może zresztą i wydał. Nie czekałem na dowody. Zastrzeliłem go i zwiąłem do tego górniczego okręgu.

— Dlaczego do górniczego?

— Bo czytałem, że tu ludzie nie są tacy drażliwi w tego rodzaju sprawach.

McGinty roześmiał się.

— Najprzód byłeś falszerzem, potem mordercą, a teraz przyjechałeś chłopcze tutaj, myśląc, że cię powitamy z otwartymi rękami, co?

— Mniej więcej — odparł McMurdo.

— Widzi mi się, że daleko zajdziesz. Powiedzże, człowieku, czy potrafisz robić jeszcze swoje dolary?

McMurdo wyciągnął kilka monet z kieszeni.

— Te nigdy nie widziały mennicy w Waszyngtonie — rzekł.

— Nie opowiadaj! — McGinty oglądał monety przy świetle, trzymając je w olbrzymiej, owłosionej jak u goryla ręce. — Nie widzę żadnej różnicy! No, no, bardzo się tu nam przydasz w naszej loży. Potrzeba nam takich ludzi z kreskami na sumieniu, aby jakoś lądować. Prędko by nas zniszczono, gdybyśmy nie potrafili kropić tych, co nas chcą kropić.

— Myślę, że potrafię kropić nie gorzej od innych braci.

— Zdaje się, że nerwy masz mocne. Nawet nie drgnąłeś, kiedy zmierzylem do ciebie.

— Bo mnie nic nie groziło.

— A komu?

— Panu, panie radco — McMurdo wyciągnął z kieszeni rewolwer z

odwiedzonym kurkiem. — Przez cały czas mierzyłem w pana. Z pewnością wypalilibym o ułamek sekundy wcześniej.

McGinty poczerwieniał z gniewu, ale po chwili wybuchnął głośnym śmiechem.

— Słowo daję! — rzekł. — Takiego zucha tośmy tu od lat nie widzieli. Sądzę, że łoża będzie kiedyś dumna z ciebie, bracie. Czego tu znów chcesz, u licha? — krzyknął do barmana, który uchylił drzwi. — Czy nie mogę z nikim spokojnie pomówić przez parę minut, żeby mi nie przeszkadzano?

— Przepraszam, panie radco — rzekł speszony barman. — Ale pan Ted Baldwin mówi, że musi się zaraz z panem zobaczyć.

Niepotrzebnie zresztą się tłumaczył, bo sponad jego ramienia wyjrzała okrutna, zastygła w gniewie twarz Baldwina, który nagle odepchnął go, wszedł do pokoiku i zamknął drzwi.

— A więc — rzekł z wściekłością, spoglądając na McMurdo — przybiegłeś tu pierwszy? Panie radco, chcę panu szepnąć słówko o tym człowieku.

— Mów zaraz, tu, przy mnie! — wykrzyknął McMurdo.

— Powiem, kiedy będę chciał i jak będę chciał.

— Spokojnie, spokojnie! — rozkazał McGinty, wstając z beczki. — Nie tym tonem. To nasz nowy brat i nie możesz go witać w ten sposób — mówił do Baldwina. — Trzymaj ręce przy sobie i pogódź się z nim.

— Nigdy w życiu! — wrzasnął rozjuszony Baldwin.

— Zaproponowałem, żebyśmy się bili, jeżeli czuje się pokrzywdzony — wyjaśnił McMurdo. — Gotów jestem walczyć na pięści, a jeżeli mu tego mało, niech sam powie, jak chce się bić. A teraz proszę nas rozsądzić, panie radco. Jako mistrz łoży.

— O cóż więc poszło?

— O dziewczynę. Wolno jej wybierać, kogo chce.

— Wolno? — krzyknął Baldwin.

— Wolno między dwoma braćmi łożyć — zawyrokował McGinty.

— Taka jest pańska decyzja? — zapytał Ted Baldwin.

— Tak, taka jest moja decyzja — z gniewnym spojrzeniem odparł McGinty. — Czy chcesz ją kwestionować?

— A więc odstępuje pan człowieka, który przez pięć lat był wierny jak pies, dla chłystka widzianego po raz pierwszy? Nie jest pan mistrzem na wieczne czasy i przysięgam, że przy najbliższych wyborach...

McGinty skoczył nań jak tygrys. Zacisnął mu dłonie na gardle i przewrócił na jedną z beczek. W porywie nieprzytomnej złości byłby życie z niego wycisnął, gdyby McMurdo się nie wtrącił.

— Panie radco, niech się pan pohamuje! — wołał, odciągając go od ofiary.

McGinty puścił Baldwina, który przerażony, u kresu sił, gorączkowo łapiąc oddech jak ktoś, komu śmierć zajrzała w oczy, siadł na beczce. Na tej, na którą go przed chwilą obalono.

— Dawno ci się to należało, Ted, i teraz dostałeś za swoje — mówił McGinty, a jego potężna pierś unosiła się i opadała przy każdym słowie. — Możesz myślał, że kiedy dojdzie do wyborów, wskoczysz na moje miejsce? Łoża o tym zadecyduje. Ale dopóki ja jestem mistrzem, nikt nie odważy się buntować przeciwko mnie lub moim rządóm.

— Nie mam nic przeciwko panu — wymamrotał Baldwin, macając się po gardle.

— No to dobrze, już dobrze — odparł McGinty, przybrawszy nagle jowialny ton. — Znów jesteśmy przyjaciółmi i zapijemy naszą zgodę. — Zdjął z półki butelkę szampana i wykręcił z niej korek.

— Posłuchajcie teraz, co powiem — ciągnął, napełniając trzy szklaneczki. — Toastem łożyć załagodzimy kłótnię. Koniec waszych nieporozumień. Z lewą ręką na grdyce pytam cię, Ted, jakaż to krzywda cię spotkała?

— Ciemne chmury nawisły.

— Ale się rozproszą na zawsze.

— Przysięgam na to.

Wypili szampana i tę samą formułę powtórzyli między sobą Baldwin i McMurdo.

— No! — wykrzyknął McGinty, zacierając ręce — koniec z gniewem. Gdybyście o tym zapomnieli, loża się wami zajmie, a ma ciężką rękę, jak brat Baldwin wie, a ty, bracie McMurdo, prędko się przekonasz, jeżeli szukasz guza.

— Przysięgam, że nie będę szukał — odparł McMurdo i wyciągnął rękę do Baldwina. — Szybko wybucham i szybko zapominam. Przypisuję to mojej gorącej irlandzkiej krwi. Ale już mi przeszło i nie żywię złości.

Baldwin pod groźnym spojrzeniem straszliwego Szefa przyjął podaną mu rękę. Ale po jego mrocznej twarzy widać było, że słowa McMurdo nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

McGinty klepnął jednego i drugiego po ramieniu.

— Sza, sza — rzekł. — Te kobiety, te kobiety! — Pomyśleć tylko, że jakaś tam spódniczka mogła poróżnić moich dwóch chłopców. A to ci pech! Dziewczyna sama musi wybrać, bo mistrz, dzięki Bogu, nie może wtrącać się w takie sprawy. Dość mam kłopotu bez bab. Bracie Murdo, wejdiesz do loży 341. Rządzimy się tu innymi prawami niż w Chicago. Zebranie loży odbędzie się w sobotę wieczór i wtedy na wieczne czasy wyzwolimy cię w Dolinie Vermissy.

III

LOŻA 341, VERMISSA

Nazajutrz, po dniu bogatym w tak denerwujące wydarzenia, McMurdo wyprowadził się od Jakuba Shaftera i zamieszkał u wdowy MacNamara, na odległym przedmieściu. Scanlan, jego znajomy z pociągu, wkrótce potem przeniósł się do Vermissy i odtąd mieszkali razem. Byli jedynymi lokatorami wdowy, prostodusznej Irlandki, która się w nic nie wtrącała; mogli więc mówić i robić, co im się żywnie podobało — rzecz nad wyraz pożądana dla ludzi, co mają wspólne tajemnice. Shafter zmiękł na tyle, że pozwolił McMurdo jadać u siebie, dzięki czemu mógł się nadal widywać z Ettie. Toteż łączące ich węzły nie tylko nie osłabły, ale jeszcze się zacieśniły w miarę upływu tygodni. W swojej sypialni na nowym mieszkaniu McMurdo z zupełnym poczuciem bezpieczeństwa zabrał się do bicia dolarów, a wielu braci z loży odwiedzało go pod straszliwą przysięgą zachowania tajemnicy, każdy zaś, wychodząc, unosił w kieszeni parę sztuk fałszywych monet, tak wiernie skopiowanych, że nigdy nie było najmniejszej trudności czy ryzyka z puszczeniem ich w obieg. Nikt z braci nie mógł zrozumieć, czemu McMurdo, będąc tak wspaniałym artystą, para się jeszcze pracą. Pytany odpowiadał, że pracuje dla zamydlenia oczu policji, bo gdyby żył bez widocznych źródeł dochodu, ściągnąłby na siebie uwagę. Pewien policjant już wpadł na jego trop, ale dziwnym trafem wyszło to młodemu Irlandczykowi bardziej na dobre niż na złe. Po pierwszej bytności w barze McGinty’ego zaglądał on tam prawie co wieczór, aby bliżej poznać się z „chłopcami”, jak dobrodusznie sami się nazywali członkowie bandy terroryzującej całą okolicę. Zuchowatością i śmiałym językiem od razu pozyskał sobie ich sympatię, a szybkość i umiejętność, z jaką rozprawiał się ze swoimi przeciwnikami w barze podczas

najgorętszych zwad i utarczek, zjednała mu szacunek tych brutali. Wspomniany jednak incydent z policjantem jeszcze bardziej podniósł jego wagę w ich oczach.

Pewnego wieczoru w czasie największego tłoku drzwi się otworzyły i do baru wszedł człowiek w niebieskim, skromnym mundurze i spiczastej czapce Policji Kopalnianej. Była to specjalna organizacja, stworzona przez właścicieli kopalń i linii kolejowych do pomocy zwykłej policji, zupełnie bezradnej wobec zorganizowanej szajki opryszków, nie dającej ludziom żyć. Wejście to wywołało poruszenie na sali. Niejeden ciekawym okiem spojrzął na przybyłego, ale w Stanach stosunki między policją a przestępcami układają się dość dziwnie. McGinty, za ladą, wcale się nie zdziwił, kiedy inspektor wmieszał się w tłum gości.

— Jedna whisky, tu przy ladzie, bo ziąb na dworze — rzekł inspektor. — Chyba widzimy się po raz pierwszy, panie radco?

— Pan tu jest nowy, kapitanie?

— Zgadł pan. Spodziewamy się po panu i po innych znaczniejszych w mieście obywatelach, że pomożecie nam w utrzymaniu porządku i w przestrzeganiu prawa. Nazywam się Marvin... kapitan Marvin z Kopalnianej.

— Lepiej dalibyśmy sobie radę bez pana, kapitanie — chłodno odparł McGinty. — Mamy własną policję w mieście i nie potrzebujemy importowanych towarów. Czymże pan jest, jeśli nie płatnym narzędziem kapitalistów, wynajętym przez nich do bicia i zabijania biedniejszych współobywateli?

— Nie mówmy o tym — pogodnie odrzekł kapitan. — Myślę, że wszyscy, choć patrzymy na to inaczej, na swój sposób spełniamy nasz obowiązek. — Wychylił szklaneczkę i odwrócił się do wyjścia, kiedy wzrok jego padł na Jacka McMurdo, który zaszępioty i ponury stał tuż obok.

— Kogóż ja widzę! — wykrzyknął, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

— Stary znajomy!

McMurdo odsunął się gwałtownie.

— Nigdy nie byłem pańskim przyjacielem, pańskim ani żadnego innego przeklętego łapsa — rzekł.

— Znajomy to nie zawsze przyjaciel — uśmiechnął się Marvin. — Nie zaprzeczy pan chyba, że mówię do Jacka McMurdo z Chicago?

McMurdo wzruszył ramionami.

— Nie zaprzeczę — odparł. — Myśli pan, że się wstydzę swego nazwiska?

— Miałby pan powody.

— O czym pan mówi, u licha? — ryknął młodzieniec, zaciskając pięści.

— No, no, Jack, to nie ze mną! Przed przyjazdem do tej dziury służyłem w policji w Chicago i doskonale znam tamtejszych gagatków. Wystarczy mi tylko spojrzeć.

Twarz McMurdo wydłużyła się.

— Nie jest pan chyba kapitanem Marvinem z chicagowskiej centrali? — wykrzyknął.

— Tym samym pocziwym Tedem Marvinem, do usług. Nie zapomnieliśmy tam zabójstwa Jonasa Pinto.

— Ja go nie zabiłem.

— Naprawdę? To zupełnie wiarygodne, obiektywne stwierdzenie. Cóż, jego śmierć przyszła w samą porę dla pana, bo inaczej odpowiadałby pan za fałszowanie pieniędzy. Ale zapomnijmy o tym, albowiem między nami mówiąc — zdaje się, że popełniam teraz wykroczenie — nie zdołano zgromadzić dowodów przeciwko panu. Może więc pan wracać do Chicago.

— Tu mi dobrze.

— Wyświadczam panu przysługę, a pan się odął i nie raczy mi nawet podziękować,

— Sądzę, że kierował się pan dobrymi zamiarami i wypada mi podziękować — odparł McMurdo niezbyt uprzejmie.

— Póki pan czegoś nie przeskrobie, będę trzymał język za zębami. A niech tylko zobaczą, że znów pan zadarł z prawem, to już inna historia! No, dobranoc panu... dobranoc, radco!

Opuścił bar, jednak zdążył zrobić z McMurdo lokalnego bohatera.

Już przedtem szeptano sobie o jego chicagowskich czynach, lecz on zbywał uśmiechem wszystkie pytania, jak ktoś, kto nie chce się stroić w cudze piórka. Ale teraz pogłoski zyskały oficjalne potwierdzenie. Stali bywalcy baru okrążyli go, by z uznaniem uścisnąć mu rękę. Odtąd był już kimś. Mógł pić i miał mocną głowę, lecz tego wieczoru tak go ogólnie fetowano, że z pewnością spędziłby noc pod ladą, gdyby jego wierny druh Scanlan, który na szczęście też tam był, nie odprowadził go do domu.

W sobotni wieczór wprowadzono McMurdo do łoży. Przypuszczał, że tym razem obejdzie się bez zwykłych ceremonii, skoro odebrał już wtajemniczenia w Chicago. Ale w Vermissie obowiązywał szczególny rytuał, z którego bracia byli bardzo dumni i któremu musiał się poddać każdy wstępujący do łoży. Zebranie odbyło się w obszernej, służącej tym celom sali Domu Związkowego. Do miejscowej łoży należało sześćdziesięciu braci, jednakże bynajmniej nie była to cała potęga tej organizacji, albowiem w dolinie istniały jeszcze inne, liczne łoże, a poza obrzeżającymi Vermissę łańcuchami gór po obu stronach, były jeszcze inne. Wypożyczały one sobie ludzi do jakiejś poważniejszej roboty, tak że zbrodni dokonywali zawsze osobnicy nie znani w tych stronach. Ogółem zakon liczył co najmniej pięciuset członków, rozsianych po całym zagłębiu.

Tego wieczoru bracia zasiedli przy długim stole w pustawej sali. Z boku stał inny stół suto zastawiony butelkami i szklankami. Niektórzy z zebranych łakomie zwracali już ku niemu oczy. McGinty, w czarnej aksamitnej czapeczce na zmierzwionej kruczej czuprynie i w purpurowej stule wokół szyi, co czyniło go podobnym do księdza odprawiającego jakiś diabelski ceremoniał, siedział na prezydjalnym miejscu. Po prawej i lewej

ręce miał starszyznę loży. Wśród nich rzuciła się w oczy okrutna i przystojna twarz Teda Baldwina. Każdy przepasany był szarfą lub nosił medalion na znak swej godności. Przeważnie byli to ludzie już dojrzały; reszta członków loży składała się z młodzieży w wieku lat osiemnastu, dwudziestu — zręcznych i zdecydowanych wykonawców każdego rozkazu swych przełożonych. Wśród starszyny widziało się też ludzi o krwiożerczym wyglądzie, za którym musiała się kryć podła i nędzna dusza. Ale patrząc na tych zwykłych szeregowych członków, trudno było uwierzyć, że w istocie rzeczy są groźną bandą morderców, młodzieńcami już tak zdeprawowanymi, że potrafią się chlubić swoją zręcznością w popełnionych przestępstwach i z najgłębszą czcią patrzeć na człowieka, o którym wiadomo było, że dokonał — jak to nazywali — „mokrej roboty”. Uważali, iż spełniają coś wielce rycerskiego i odważnego, ochotniczo występując przeciwko komuś, kto nigdy nie zrobił im nic złego i kogo w większości wypadków wcale nie znali. A po zbrodni kłócili się, kto z nich zadał decydujący cios, i zabawiali się nawzajem opowiadaniem o krzykach nieszczęsnej ofiary i jej przedśmiertnych drgawkach. Początkowo okrywali tajemnicą swoje poczynania, ale teraz nie krępowali się już niczym, bo bezustanne porażki sprawiedliwości przekonały ich, że z jednej strony nikt nie odważy się świadczyć przeciwko nim, z drugiej — że mają niezliczoną ilość wiernych świadków, na których mogą polegać. Korzystali też z obfitego skarbcza i angażowali sobie najlepszych w Stanach adwokatów. Przez długie lata działalności tej bandy nie zapadł ani jeden skazujący wyrok na jej członka, toteż jedyne niebezpieczeństwo groziło ze strony ofiary. Zaskoczona przez przeważające siły mogła jednak wyrządzić — i zdarzało się, że wyrządzała — krzywdę napadającym.

McMurdo został uprzedzony, że czeka go ciężka próba, ale nikt mu nie zdradził, na czym będzie polegała. Dwóch napuszonych braci uroczyście wprowadziło go do bocznego pokoju. Poprzez drewnianą ściankę słyszał

gwar rozmów zebranych obok osób. Raz czy dwa obilo mu się o uszy własne nazwisko. Wiedział więc, że dyskutują nad jego kandydaturą. A potem do pokoju wszedł strażnik łoży z zielono — złotą szarfą przez piersi.

— Mistrz kazał go związać, nałożyć mu opaskę na oczy i wprowadzić — rzekł.

We trzech zdjęli mu marynarkę, zakasali prawy rękaw i skrępowali mocno powyżej łokci. Wreszcie wcisnęli głęboko na oczy gruby, szczelny czarny kaptur, tak że nic już nie widział. W takim stanie wprowadzili go do sali. Dusił się w nakryciu, pod którym było ciemno jak w nocy. Słyszał stłumiony gwar wokół siebie, a potem doleciało go jakby z daleka rzucone pytanie McGinty'ego.

— Johnie McMurdo, czy jesteś członkiem Pradawnego Zakonu Braci Wolnych?

Skłonił się lekko.

— Czy twoja łoża to łoża 29 w Chicago?

Skłonił się znów.

— Przykre są ciemne noce — usłyszał.

— Tak, dla obcych w podróży — odparł.

— Chmury są ciemne.

— Tak, burza nadchodzi.

— Bracia, czy wam to wystarcza? — zapytał mistrz zebranych.

Odpowiedział mu przychylny pomruk.

— Wiemy, bracie, z twych znaków i kontrznaków, że istotnie jesteś jednym z naszych — rzekł McGinty. — Ty jednak musisz wiedzieć, że w tym hrabstwie jak i w innych okolicznych mamy szczególny rytuał oraz specjalne, własne cele, które wymagają mocnych ludzi. Czy gotów jesteś poddać się próbom?

— Tak.

— Czy jesteś śmiałego serca?

— Tak.

— Więc postąp krok na dowód.

W tej chwili McMurdo poczuł, że przyłożono mu do oczu dwa ostrza, które niemal wpiły mu się w galki. Najmniejszy krok w przód groził utratą wzroku. Niemniej jednak zebrał się w sobie i śmiało zrobił krok naprzód, a ostrza cofnęły się jednocześnie. Przychylnym szeptem powitano jego odwagę.

— Jest śmiałego serca — stwierdził daleki głos. — Czy potrafisz znieść ból?

— Nie gorzej od innych.

— Poddajcie go próbie.

McMurdo ledwie zdołał powstrzymać jęk, bo straszliwy ból przeszył mu ramię. O mały włos nie zemdlął, ale zagryzł wargi i z całej siły zacisnął pięści.

— Głupstwo — rzekł — zniosę więcej.

Tym razem rozległy się głośnie brawa. Nigdy jeszcze nikt dzielniej nie przystępował do tego bractwa. Klepano go po ramieniu i zerwano mu kaptur z głowy. Stał teraz, mrużąc oczy, i uśmiechając się, przyjmował gratulacje braci.

— Jeszcze ostatnie słówko, bracie McMurdo — odezwał się McGinty. — Złożyłeś już przysięgę na tajemnicę i wierność i wiesz, że złamanie przysięgi natychmiast i nieubłaganie ukarzymy śmiercią, czy tak?

— Tak — odparł McMurdo.

— I zgadzasz się teraz we wszystkim podlegać woli mistrza?

— Tak.

— A więc w imieniu łoży 341, Vermissa, dopuszczam cię do przywilejów jej członka i do obrad. Bracie Scanlan, podaj butelki na stół, wypijemy zdrowie naszego zacnego brata.

Przyniesiono marynarkę McMurdo, ale nim ją włożył, spojrział na swoje

prawe ramię, które mu wciąż mocno dokuczało. Ujrzał na nim głęboko wyciśnięty znak: wyraźny trójkąt w kole, jeszcze czerwony i piekący po odjęciu rozpalonego żelaza. Kilku sąsiadów podciągnęło rękawy i pokazało mu takie same znaki przynależności do loży.

— Wszyscyśmy przez to przeszli — rzekł któryś — ale żaden aż tak dzielnie.

— To jeszcze nic — odparł. Niemniej jednak ramię bolało go i paliło.

Kiedy już rozdano napoje, jak zawsze po ceremonii przyjęcia adepta, zajęto się dalej sprawami loży. McMurdo, przywykły do prozaicznego trybu zebrań w Chicago, chłonał każde słowo z zainteresowaniem o wiele większym, niż okazywał.

— Pierwsza sprawa porządku dziennego — zaczął McGinty — to list, który tu zaraz odczytam, od okręgowego mistrza Windle, Merton, loża 249. Oto co nam pisze:

Szanowny Panie,

Musimy unieszkodliwić Andrew Rae z firmy Rae i Sturmash, właściciela pobliskiej kopalni węgla. Pamiętaj pan zapewne, że pańska loża winna nam rewanż za usługę wyświadczoną przez naszych dwóch braci, gdy ubiegłej jesieni szło o pewnego policjanta. Proszę więc, aby pan zechciał skierować dwóch braci ze swej loży do naszego skarbnika Higginsa, którego adres pan zna. Zajmie się on nimi i wskaże, kiedy i gdzie mają tę sprawę załatwić.

Pański wierny brat

J. W. Windle O.M.P.Z.B.W.

— Windle nigdy nie odmawiał nam ludzi, gdy trzeba było, toteż i my nie możemy mu teraz odmówić. — McGinty umilkł na chwilę i powiódł po obecnych mętłym spojrzeniem złowrogich oczu. — Kto się zgłasza na ochotnika?

Wielu młodych mężczyzn uniosło w górę ręce. Mistrz przyglądał się temu z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— A więc ty, Tygrysie Cormac. Jeżeli będziesz tak samo zręczny jak poprzednim razem, dobrze wywiążesz się z zadania. I ty, Wilson.

— Nie mam rewolweru — odparł młodzieniaszek, jeszcze nawet nie dwudziestoletni.

— To twój pierwszy występ, co? No cóż, kiedyś musisz przejść krwawy chrzest. Będzie to wspaniały początek. A co do broni, to tam na ciebie czeka. Nie myślę się z pewnością. Wystarczy, jeżeli się zgłosicie w poniedziałek. Po powrocie wyprawimy wam godne przyjęcie.

— Dostaniemy jakąś nagrodę? — zapytał Cormac, krępy, ciemnowłosy, o brutalnej twarzy młodzieniec, którego dzikość zyskała mu miano Tygrysa.

— Jaka tam nagroda! Robicie to dla samego honoru. Może zresztą znajdzie się dla was parę dolarów na dnie skrzyni.

— A co gość zawinił? — zapytał Wilson.

— Za młodyś na takie pytanie. Już go tam osądzono. To nie nasz interes. My tylko musimy wykonać za nich robotę, tak jak oni wykonaliby za nas. Skoro już o tym mowa, dwaj bracia z łoży w Merton przybywają do nas w przyszłym tygodniu w podobnym celu.

— Którzy to? — zapytał ktoś.

— Wierście mi, że rozsądniej jest nie wiedzieć, bo jeśli nic nie wiecie, nie możecie też świadczyć i unikniecie kłopotu. Są to jednak chłopcy, którzy potrafią się wziąć do rzeczy.

— Czas najwyższy! — wykrzyknął Ted Baldwin. — Ludzie zaczęli tu już podnosić głowę. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu sztygar Blaker zwolnił trzech naszych braci. Od dawna już mu się to należy.

— Co mu się należy? — szeptem zapytał McMurdo sąsiada.

— Porcja grubego śrutu! — wykrzyknął zapytany, wybuchając głośnym śmiechem. — No i co myślisz, bracie, o naszych metodach?

— Bardzo mi się podobają — odparł McMurdo. — W sam raz dla tęgich zuchów.

Ta odpowiedź przypadła do gustu sąsiadom, którzy przyjęli ją brawami.

— Co się tam dzieje? — z drugiego końca stołu zapytał kruczowłosy mistrz.

— Nowy brat mówi, że podobają mu się nasze metody. McMurdo wstał.

— Chciałbym prosić, ubóstwiany mistrzu, abym i ja, kiedy zajdzie potrzeba, dostąpił honoru przysłużenia się łoży.

Znów gorąco przykłaśnięto tym słowom. Wszyscy zrozumieli, że nowa gwiazda ukazała się na horyzoncie. Niektórzy starsi bracia uważali jednak, że to trochę za szybki postęp.

— Postawiłbym wniosek — odezwał się więc sekretarz łoży, Harraway, starszy mężczyzna z sępią twarzą i szpakowatą brodą, siedzący tuż przy mistrzu — aby brat McMurdo pohamował swoje zapędy, póki łoża sama nie postanowi go użyć.

— Oczywiście tylko to miałem na myśli. Czekam na rozkazy — odparł McMurdo.

— Przyjdzie i twoja kolej — rzekł mistrz. — Wiemy już, że jesteś, bracie, chętny, i wierzymy, że się dobrze spiszesz, gdy zajdzie potrzeba. Dziś mamy tu coś niewielkiego do załatwienia. Będziesz mógł wziąć w tym udział, jeśli chcesz.

— Wolalbym poczekać na jakąś grubszą robotę.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza. Możesz pójść i dzisiaj. Przekonasz się przynajmniej, o co walczymy. Jeszcze wrócę do tej sprawy. A tymczasem... — zajrzał do porządku dziennego — mamy tu parę punktów do rozpatrzenia. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć od skarbnika, jak wyglądają nasze finanse. Chodzi o pensję dla wdowy Carnaway. Jej mąż zginął w służbie łoży, toteż pamiętać o wdowie powinniśmy.

— Jim zginął od kuli w ubiegłym miesiącu, kiedy usiłowaliśmy zabić

Chestera Wilcoxa z Marley Creek — poinformował sąsiad McMurdo.

— Na razie pieniędzy mamy dosyć — rzekł skarbnik. — Przedsiębiorstwa nie skąpią nam forsy. Firma Max Linder & Co zapłaciła pięćset dolarów, byleby ją zostawić w spokoju. Bracia Walker nadesłali setkę, ale na własną odpowiedzialność zwróciłem im te pieniądze i zażądałem pięciuset dolarów. Jeśli nie usłuchają do środy, windy gotowe im stanąć. W ubiegłym roku musieliśmy tam spalić kruszarkę, by wreszcie nabrali rozumu. Zachodni oddział Towarzystwa Węglowego też wniósł swój roczny wkład. Starczy nam na wszystkie wydatki.

— A co z Archie Swindonem? — zapytał ktoś z braci. — Sprzedał swoje przedsiębiorstwo i wyniósł się. Stary drań zostawił list, w którym pisze, że woli zamiatać ulice w Nowym Jorku i być wolny, niż mieć dużą kopalnię i zależeć od bandy szantażystów. Jego szczęście, że zwiął, nim ten list do nas doszedł! Myślę, że już nie odważy się tu pokazać.

Jakiś starszy mężczyzna bez zarostu, z miłą twarzą i szczerym, otwartym czołem podniósł się z miejsca przy drugim końcu stołu.

— Bracie skarbniku — rzekł — czy wolno spytać, kto kupił całą posiadłość tego człowieka, którego wykurzyliśmy z Doliny?

— Proszę bardzo, bracie Morris. Nabyło ją Towarzystwo Kolejowe State and Merton.

— A kto kupił kopalnie Todmana i Lee, z tychże powodów wystawione na sprzedaż w ubiegłym roku?

— To samo towarzystwo.

— Dobrze. Czy i ono też przejęło zakłady Mansona, Shumana, Van Dehera i Atwooda, niedawno opuszczone przez właścicieli?

— Tamte nabyło Zachodnie Towarzystwo Górnicze Gilmerton.

— Bracie Morris — wtrącił się mistrz — nie rozumiem, co nas obchodzi nowy nabywca, jeżeli nie może zabrać stąd tych kopalni i zakładów.

— Przy całym szacunku dla pana, ubóstwiany mistrzu, uważam, że to nas

jednak bardzo obchodzi. Już od lat dziesięciu jesteśmy świadkami tego samego zjawiska. Stopniowo wypędzamy stąd drobnych przedsiębiorców. Z jakim skutkiem? Na ich miejsce wchodzi wielkie towarzystwa, takie jak kolejowe i hutniczo–stalowe, których dyrekcje znajdują się w Nowym Jorku lub w Filadelfii i nic sobie nie robią z naszych pogrózek. Możemy sprzątnąć ich lokalnych dyrektorów, ale na te posady przyjdą inni, i co z tego? Kujemy tylko broń przeciwko sobie. Drobni przedsiębiorcy nic nam nie zrobią. Nie mają ani takich pieniędzy, ani takich możliwości. Dopóki nie przyciskamy ich zanadto, pozostaną w naszej mocy. Ale gdy te wielkie towarzystwa przekonają się, że odbieramy im część zysków, nie pożałują trudu i pieniędzy, wyśledzą nas i postawią przed sąd.

Ogólnym poruszeniem i wymianą ponurych spojrzeń powitano tę wróżbę. Ci ludzie byli tak potężni i bezkarni, że nawet im przez myśl nie przeszło, iż może ich dosięgnąć ręka sprawiedliwości. A jednak na te słowa najśmielsi z nich zadrżeli.

— Radziłbym więc — ciągnął Morris — żebyśmy tak nie gnębili drobnych przedsiębiorców. Tego dnia, kiedy wypędzimy ich wszystkich, załamie się nasza potęga.

Przykra prawda zawsze w oczy kole, toteż gdy mówca usiadł, zaraz rozległy się gniewne okrzyki. McGinty wstał z groźnie zmarszczonym czołem.

— Bracie Morris — rzekł. — Ty zawsze kraczesz. Dopóki trzymamy się razem, nie ma takiej siły w Stanach, która by nas złamała. Czy już nie dowiedliśmy tego przed sądami? Myślę, że wielkie przedsiębiorstwa będą woląły płacić, jak to już niejedno z nich robi, niżli walczyć. A teraz, bracia — zdjął swoją czarna aksamitną czapeczkę i stulę — zamykam posiedzenie łoży, bo wyczerpaliśmy nasz porządek dzienny, prócz jednej jeszcze drobnej sprawy, o której wspomnę przy rozstaniu. Napijmy się teraz po bratersku i zaśpiewajmy.

Dziwna jest natura ludzka. Tych, dla których morderstwo było rzeczą codzienną i którzy raz po raz, nie oglądając się na rozpacz żony i bezradnych dzieci, zabijali ojców rodzin albo ludzi, którzy osobiście nie zrobili im nic złego, do łez wzruszały patetyczne i ckiwe piosenki. McMurdo miał piękny tenorowy głos i gdyby już przedtem nie zdobył sobie przychylności braci z łoży, zdobyłby ją teraz, rozczuliwszy ich piosenkami: „Czekam u brodu, Mary” i „Nad brzegami wód”. Od razu, od pierwszego wieczoru, w którym został przyjęty do łoży, zyskał sobie olbrzymią popularność wśród jej członków i wkroczył na drogę wiodącą do zaszczytów i wysokich godności. Ale trzeba było wykazać się jeszcze innymi kwalifikacjami poza koleżeńskością, by stać się pełnowartościowym wolnomularzem, a wykazał się nimi teje jeszcze nocy. Wypito niejedną kolejkę whisky, nastroje dojrzały do złych czynów, ludzie nabrali animuszu i wtedy mistrz wstał i raz jeszcze zwrócił się do nich:

— Chłopcy — rzekł — mamy tu w mieście człowieka, któremu trzeba dać dobrą nauczkę i to będzie wasze zadanie. Mówię o Jakubie Stangerze z „Heralda”. Widzieliście, jak znów rozwarł pysk przeciwko nam.

Słowa powitano przychylnym pomrukiem. Padło też wiele przekleństw. McGinty wydobyl wycinek gazety z kieszeni i przeczytał:

Praworządność i Porządek! — oto jak zaczyna. — Panowanie terroru w zagłębiu węglowo — hutniczym. Dwanaście lat upłynęło od pierwszych zabójstw, które dowiodły istnienia zbrodniczej organizacji w naszym środowisku. Od tego dnia zbrodnie się nie kończą, a teraz osiągnęły już takie rozmiary, że przynosimy hańbę cywilizowanemu światu. Czy po to nasz wspaniały kraj udziela przytułku różnym cudzoziemcom, którzy chronią się u nas przed despotyzmem panującym w Europie? Czy po to, aby stali się oni gnębiicielami tych, którzy ich przygarnęli, i aby terror i bezprawie zapanowały pod osłoną fałd gwiazdzistego sztandaru wolności: terror i bezprawie, o

których czytaliśmy z przerażeniem, gdyby panoszyły się w najbardziej przegniłej europejskiej monarchii? Znamy tych ludzi. Ich organizacja jest jawna i także znana ogółowi. Jak długo więc będziemy to jeszcze znosili? Czy mamy zawsze żyć...

— Chyba dość już wam przeczytałem tych bzdur! — krzyknął mistrz, rzucając wycinek na stół. — Oto co ów człowiek pisze o nas. Pytam, jaką karę mu wymierzyć!

— Zabić! — odezwało się kilkadziesiąt głosów.

— Protestuję! — odezwał się brat Morris, człowiek o odkrytym czole i gładkim obliczu. — Mówię wam, bracia, że zbyt ciężką ręką rządzą w tej dolinie i że przyjdzie taka chwila, kiedy wszyscy złączą się przeciwko nam. Jakub Stanger to człowiek stary, szanowany w mieście i całym okręgu. Jego gazeta broni wszystkiego co prawe i uczciwe w tej dolinie. Jeżeli go zabijemy, wywołamy poruszenie w całych Stanach, które musi doprowadzić do naszej zguby.

— W jakim to sposób doprowadzi do zguby, panie Tchórzem Podszyty? — wykrzyknął McGinty. — Przy pomocy policji? Przecież jedna jej połowa jest na naszej pensji, a druga trzęsie się ze strachu przed nami. A może przez sąd i sędziów? Czyśmy już tego nie doświadczyli? I co z tego wynikło?

— Jest jeszcze sędzia Lincz, który może wdać się w sprawę — odparł brat Morris.

Gniewnym pomrukiem przyjęto te słowa.

— Wystarczy mi tylko palcem kiwnąć — zawołał McGinty — a dwustu ludzi zjawi się tu i zrobi porządek w mieście. — Potem, podnosząc głos i gniewnie marszcząc czarne brwi, ciągnął dalej: — Posłuchaj, bracie Morris, od dawna już mam cię na oku. Sam masz zajęte serce i odbierasz ducha innym. Zły to będzie dzień dla ciebie, gdy twoje nazwisko wpiszemy w porządek dzienny, myślę zaś, że czas, bym je tam umieścił.

Morris pobleadł jak ściana, kolana się pod nim ugięły i padł na krzesło. Drżącą ręką uniósł szklankę do ust, wypił jej zawartość i dopiero potem odpowiedział.

— Przepraszam, ubóstwiany mistrzu, ciebie i każdego z braci, jeśli powiedziałem coś więcej, niż należało. Jestem wiernym i oddanym członkiem loży, wszyscy to wiecie, i tylko obawa o jej los skłoniła mnie do tych słów pełnych troski. Bardziej jednak dowierzam pańskiemu rozumowi, mistrzu, niż swojemu, toteż obiecuję uroczyście, że się to już więcej nie powtórzy.

Zaciśnięte gniewnie szczęki mistrza zelżały, gdy słuchał tych pokornych przeprosin. — Dobrze, bracie Morris. Sam żałowałbym, gdyby trzeba było dać ci nauczkę. Ale tak długo, jak długo ja jestem mistrzem, nasza loża będzie zjednoczona w słowach i czynach. A teraz, chłopcy — mówił dalej, rozglądając się po zebranych — powiem wam, że gdyby Stanger dostał to, na co zasłużył, to ściągnęlibyśmy na siebie za duży kłopot. Dziennikarze są solidarni, toteż każda gazeta podniosłaby krzyk, żądając interwencji policji i wojska. Sądzę jednak, że potraficie dać mu surowe ostrzeżenie. Bracie Baldwin, czy chcesz się tym zająć?

— Oczywiście! — z zapalem odparł młody człowiek.

— Ilu ludzi potrzeba?

— Z sześciu i dwóch do pilnowania drzwi. Między innymi pójdiesz ty, Gower, i ty, Manse, ty, Scanlan, i dwóch Willabych.

— Obiecałem bratu nowicjuszowi, że też pójdzie — wtrącił się mistrz.

Ted Baldwin rzucił młodemu Irlandczykowi spojrzenie, które zdradzało, że ani zapomniał, ani przebaczył.

— Może iść, jeżeli chce — odparł gniewnie. — To już dosyć. A im wcześniej pójdziemy, tym lepiej.

Z krzykiem, poklepywaniem się po plecach i z pijackimi śpiewami zebrani wreszcie się rozeszli. W barze pełno jeszcze było pijaków i sporo

braci wmieszało się w ich tłum. Mała grupka wybranych do napaści ruszyła chodnikiem parami, aby nie zwracać na siebie uwagi. Nocny chłód dotkliwie dawał się we znaki, a na mroźnym, wygwieżdżonym niebie jasno świecił sierp księżyca. Banda mścicieli zebrała się na podwórzu na wprost wysokiego budynku. Między jego jasno oświetlonymi oknami widać było złoty napis „Vermissa Herald”, a ze środka dobiegał stukot maszyny drukarskiej.

— Uważaj no — zwrócił się Baldwin do McMurdo — staniesz na dole przy drzwiach i będziesz pilnował, aby nam kto nie odciął odwrotu. Artur Willaby zostanie z tobą. Reszta pójdzie za mną. Nie bójcie się, chłopcy, mamy dość świadków, którzy stwierdzą, że o tej porze byliśmy w barze związkowym.

Dochodziła północ. Na ulicy nie było nikogo prócz paru pijaków wracających do domu. Przeszli więc na drugą stronę i pchnęli drzwi redakcji. Baldwin ze swoimi ludźmi wbiegł na schody. McMurdo i Willaby zostali na dole. Nagle na górze powstał jakiś rwetes; ktoś wzywał ratunku, słychać było stuk przewracanych krzesel i tupot nóg. Niebawem na podest wybiegł mocno szpakowaty mężczyzna. Złapano go jednak, nim zdążył dopaść schodów. Jego okulary stoczyły się do nóg McMurdo. Coś głucho upadło, ktoś jęknął przeraźliwie. Mężczyzna leżał powalony na brzuchu, okładano go kijami. Wykręcał się, jak mógł, od tych razów, zwijając się z bólu pod nimi. Po chwili oprawcy opamiętali się i tylko Baldwin, z okrutną twarzą, wykrzywioną diabelskim uśmiechem, tłukł go dalej, celując w głowę, którą bity daremnie usiłował osłonić rękami. Krew zboczyła jego siwe włosy. Baldwin zaś, wciąż pochylony nad nim, krótkimi, strasznymi ciosami walił tam, gdzie tylko dojrzał kawałek odsłoniętego ciała. McMurdo wbiegł na schody i odepchnął go gwałtownie.

— Zabijesz! — krzyknął — przestań!

Baldwin spojrzał na niego zdumiony.

— Idź do diabła! — wrzasnął. — Jakim prawem się wtrącasz... Ty, nowicjusz... Odejdź!

Groźnie wznosił kij, ale McMurdo w tej samej chwili wydobyl rewolwer z kieszeni.

— Sam odejdź! — krzyknął z kolei. — Tylko mnie rusz, a wpakuję ci kulę w łeb. Mistrz nie pozwolił zabijać tego człowieka, a ty go zatłuczysz.

— Ma rację — rzekł jeden z bandy.

— Pośpieszcie się, u licha! — krzyknął Willaby z dołu. — Światła już się pozapalały w oknach i za parę minut całe miasto będziemy mieli na karku.

Istotnie, z ulicy dobiegały już krzyki, a na dole w sieni drukarze i zecerzy zaczęli się zbierać i zagrzewać do walki. Zbrodniarze porzucili więc swoją bezwładną, nieruchomą ofiarę na podeście schodów, zbiegli na dół i szybko ruszyli ulicą. Po dojściu do Domu Związkowego niektórzy wmieszali się w tłum ludzi w barze McGinty'ego, szeptem, od brata do brata przekazując mu wiadomość o spełnionym rozkazie. Inni, a wśród nich McMurdo, prysnęli w boczne uliczki i myląc ślad, wrócili do domów.

IV

DOLINA TRWOGI

Nazajutrz rano, po przebudzeniu, niejedno przypomniało McMurdo o wczorajszym przystąpieniu do łoża. Męczył go ból głowy po wypitych trunkach, a oparzona ręka była gorąca i spuchnięta. Dzięki finansowej niezależności nie krępował się godzinami pracy, toteż zjadł śniadanie i został w domu. Cały ranek zszedł mu na pisaniu obszernego listu do przyjaciela. Potem wziął do ręki „Vermissa Herald”. W specjalnej kolumnie, złożonej w ostatniej chwili, przeczytał: „Napaść na redakcję «Heralda». Wydawca poważnie poturbowany”. Było to krótkie sprawozdanie z wydarzeń, które zresztą znał lepiej od piszącego. Artykuł kończył się takim stwierdzeniem: *Sprawą zajęła się policja, należy jednak wątpić, czy jej wysiłki dadzą lepsze wyniki niż wszystkie poprzednie. Niektórych napastników rozpoznano, można się więc spodziewać, że tym razem dojdzie do wyroku. Chyba nie trzeba mówić, że napaść została zorganizowana przez tę niecną bandę, która od tak dawna terroryzuje nasze społeczeństwo i wobec której «Herald» zajmuje nieprzejednane stanowisko. Przyjaciół redaktora Stangera z pewnością ucieszy wiadomość, że życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo, choć został brutalnie pobity i odniósł ciężkie rany w głowę.*

Była tam też wiadomość, że straż z Policji Kopalnianej, zbrojna w winchestery, będzie odtąd pilnowała redakcji „Heralda”. McMurdo odłożył gazetę i zapalał właśnie fajkę ręką dygocącą jeszcze po wczorajszych wybrykach, gdy do drzwi zapukano i gospodyni przyniosła mu list, wręczony jej przed chwilą przez jakiegoś chłopca. List był anonimowy, a oto jego treść:

Chciałbym z panem pomówić, ale nie u pana w domu. Będę czekał w parku Miller Hill obok masztu. Jeżeli pan zaraz tam przyjdzie, powiem panu coś ważnego, zarówno dla pana, jak i dla mnie.

Niezmiernie zdziwiony McMurdo dwukrotnie odczytał ten krótki liścik. Nie mógł sobie bowiem wyobrazić, co oznacza, ani kto go napisał. Gdyby charakter pisma był kobiecy, przypuszczałby, że może chodzi o jakąś awanturkę z rodzaju tych, z którymi był już obyty. Ale pisał to mężczyzna i w dodatku — wykształcony. W końcu więc po pewnym wahaniu zdecydował się pójść.

Miller Hill był to zaniedbany park w centrum miasta. Latem dość uczęszczany, pusty jednak w zimie. Ze wzgóрка roztaczał się widok nie tylko na całe ponure i rozległe miasto, lecz także na krętą dolinę, rozsiane w niej kopalnie i huty, które czarnymi plamami odcinały się od bieli śniegu, oraz na zalesione i ośnieżone łańcuchy gór po jej brzegach. McMurdo, wspinając się ścieżynką wśród żywopłotów, dotarł wreszcie do opuszczonej teraz restauracji, ośrodka wszystkich letnich zabaw. Obok niej stał maszt, teraz bez powiewającej flagi, a przy nim czekał jakiś człowiek w kapeluszu naciśniętym głęboko na czoło i z podniesionym kołnierzem palta. Kiedy się obrócił, McMurdo poznał brata Morrisa, tego, który poprzedniej nocy ściągnął na siebie gniew mistrza. Po wymianie zwykłych znaków przywitali się.

— Chciałem z panem pomówić — rzekł Morris z lekkim wahaniem, które wskazywało, że chodziło o jakąś delikatną sprawę. — To ładnie, że pan przyszedł.

— Czemu się pan nie podpisał?

— Ostrożność nie zaszkodzi. W takich czasach nigdy nie wiadomo, na co się człowiek naraża. Komu można wierzyć, a komu nie.

— Braciom z łoży chyba można wierzyć?

— Nie, nie zawsze — żywo zaoponował Morris. — Wszystko, co mówimy, a nawet pomyślimy, zaraz dociera do McGinty'ego.

— Mój panie — krótko uciął McMurdo — dopiero wczoraj, jak pan wie, przysięgłem lojalność wobec mistrza. Czy żąda pan, abym złamał słowo?

— Jeżeli takie jest pańskie stanowisko — ze smutkiem odparł Morris — wypada mi tylko żałować, że pana fatygowałem. Źle się dzieje, gdy dwóch ludzi nie może podzielić się myślami.

McMurdo, który bacznie przyglądał się swemu rozmówcy, zmiękł trochę.

— Cóż, powiedziałem, co myślę — rzekł. — Wie pan, że od niedawna tu jestem i nie orientuję się jeszcze w stosunkach. Nie zabieram więc głosu i słucham, co mi pan chce powiedzieć.

— Żeby wyśpiewać McGinty'emu? — z goryczą zapytał Morris.

— Jest pan niesprawiedliwy! — wykrzyknął McMurdo. — Jeśli o mnie chodzi, jestem lojalnym członkiem loży i oświadczam to panu uroczyście. Byłbym jednak ostatnim draniem, gdybym doniósł o tym, co mi pan powie w zaufaniu. Będę milczał, ale niech pan nie liczy ani na moją pomoc, ani na moją sympatię.

— Wyzbyłem się już złudzeń na ten temat. Kto wie, czy przez to, co mówię, nie składam mego życia w pańskie ręce, lecz choć pan jest złym człowiekiem — wczoraj wydało mi się jednak, że pan tylko usiłuje być gorszym od najgorszego — jest pan tu kimś nowym, toteż sumienie nie zdążyło jeszcze w panu stwardnieć w tym samym stopniu co w innych. Oto czemu chciałem z panem pomówić.

— Więc słucham.

— Ale jeżeli pan mnie zdradzi, to niech pana Bóg skarże!

— Powiedziałem już, że nie zdradzę.

— Pytam zatem, czy wstępując do wolnomularzy w Chicago i zaprzysięgając miłosierdzie i wierność, pomyślał pan, że doprowadzi to pana kiedyś do zbrodni?

— Jeżeli to nazywać zbrodnią... — odparł McMurdo.

— Nazywać zbrodnią! — głos Morrisa zadrżał z hamowanej pasji. — Mało pan jeszcze widział, jeżeli pan to nazywa inaczej. Czy nie było zbrodnią pobicie do krwi starego i siwego człowieka, który mógłby być pańskim ojcem? Jakże to nazwać, jeśli nie zbrodnią?

— Niektórzy nazwaliby wojną. Wojną między dwiema grupami, w której każda bije najlepiej, jak umie.

— Spodziewał się pan tego, przystępując do wolnomularzy w Chicago?

— Nie, muszę przyznać, że nie.

— Ani ja, przystępując do nich w Filadelfii. Było to po prostu towarzystwo dobroczynności i miejsce spotkań jego członków.

A potem dowiedziałem się o tej dolinie — niech będzie przeklęta ta chwila! — i przyjechałem tutaj, aby sobie poprawić warunki. Mój Boże, poprawić warunki! Żonę i troje dzieci zabrałem ze sobą. Założyłem sklep bławatny na Market Street i dobrze mi się wiodło. Dowiedziano się jednak, że jestem masonem, i musiałem przystać do tutejszej loży, tak jak pan wczoraj. Na przedramieniu noszę to hańbiące piętno, ale po stokroć gorszy wstyd pali mi serce. Przekonałem się, że muszę słuchać rozkazów najgorszego z nędzników i że uwikłano mnie w zbrodnię. Cóż mogłem zrobić? Każdą próbę wpłynięcia na tych ludzi poczytywano mi za zdradę, tak jak chociażby zeszłej nocy. Nie mogę stąd uciec, bo nie mam nic poza tym sklepem. Jeżeli wystąpię z loży, zabiją mnie, a Bóg jeden wie, jaki los spotka moją żonę i dzieci. To straszne, straszne! — ukrył twarz w dłoniach i załkał gwałtownie.

McMurdo wzruszył ramionami.

— Pan jest za miękki do tej roboty — rzekł. — To nie dla takich jak pan.

— Byłem wierzący i miałem sumienie, ale oni uczynili ze mnie zbrodniarza. Wyznaczyli mi pewne zadanie. Wiedziałem, co mnie czeka, jeżeli się od niego uchylę. Może się zląkłem. Może stchórzyłem na myśl o

mojej kochanej żonie i dzieciach. Tak czy owak — poszedłem. To wspomnienie będzie mnie prześladować do końca życia. Dom stał samotnie, o jakieś dwadzieścia mil stąd, za tymi tam górami. Kazali mi pilnować wejścia, jak panu dziś w nocy. Nie ufali mi. Weszli do środka. Kiedy wyszli, ręce mieli zakrwawione aż po napiętki. A gdy odchodziliśmy, słyszałem płacz dziecka za drzwiami. To był pięcioletni chłopczyk, któremu ojca zamordowano na jego oczach. Mało nie zemdląłem z przerażenia, ale musiałem się uśmiechać i udawać odważnego, bo doskonale wiedziałem, że jeżeli tego nie zrobię, ci oprawcy gotowi przyjść do mnie, a wtedy mój Fred będzie płakał po ojcu. Tak więc zostałem mordercą — współwinnym morderstwa i człowiekiem straconym dla świata. Jestem dobrym katolikiem, lecz ksiądz nie chciał ze mną mówić, gdy się dowiedział, że należę do złoczyńców. Kościół mnie nawet odtrącił. Oto co mnie spotkało. A teraz widzę, że pan wszedł na tę samą drogę, i pytam: do czego to doprowadzi? Czy chce pan zostać bezdusznym mordercą, a jeżeli nie, to co zrobić, żeby z tym skończyć?

— Co pan zamierza? — ostro rzucił McMurdo. — Czy denuncjować?

— Niech mnie Bóg strzeże! — wykrzyknął Morris. — Samą myśl o tym przyplaciłbym życiem.

— To dobrze. Zdaje mi się, że jest pan słabym człowiekiem i że robi pan z igły widły.

— Ja! Zobaczmy, co pan powie po dłuższym pobycie tutaj. Niech pan spojrzy na dolinę; niech się pan przyjrzy tym chmurom dymu nad nią. Mówię panu, że zbrodnia o wiele cięższą chmurą przytłacza jej mieszkańców. To Dolina Trwogi... Dolina Śmierci. Strach, śmiertelny strach od rana do nocy gości tu w sercach ludzi. Sam się pan o tym przekonasz, młodzieńcze, poczekaj tylko trochę.

— Dobrze, powiem panu, co myślę, kiedy się przekonam — beztrąsko odparł McMurdo. — Jasne tylko, że to nie jest miejsce dla pana, i im

prędzej sprzeda pan sklep — nawet gdyby dawano dychę za dolara jego wartości — tym lepiej dla pana. Ja nikomu słowa nie powiem z tego, co słyszałem, ale gdybym podejrzewał zdradę...

— Nie, nie, nie jestem zdrajcą! — błagalnie krzyknął Morris.

— Poprzestańmy na tym. Zapamiętam sobie, co mi pan powiedział, i może kiedyś jeszcze do tego powrócę. Sądzę, że pańskie pobudki były szlachetne. A teraz wracam do domu.

— Jeszcze słowo — zatrzymał go Morris. — Mogli nas widzieć razem. Kto wie, czy nie zechcą się przekonać, o czym mówiliśmy.

— Tak, to słuszne.

— Umówmy się więc, że proponowałem panu posadę subiekta w moim sklepie.

— A ja się nie zgodziłem i nikomu nic do tego. No, to do widzenia, bracie Morris, i życzę jaśniejszej przyszłości.

Tegoż jeszcze popołudnia, kiedy McMurdo siedział, paląc u siebie w pokoju, zatopiony w myślach, drzwi otworzyły się raptownie i ukazała się w nich olbrzymia postać Szefa McGinty'ego. Po zwykłej wymianie masońskich powitań McGinty siadł naprzeciwko McMurdo i wbił w niego twardy, badawczy wzrok. Spotkał się jednak z nieustępliwym spojrzeniem.

— Bracie McMurdo, nieczęsto składam wizyty — rzekł wreszcie. — Zbyt dużo czasu zajmuje mi odbieranie ich. Ale tym razem zrobiłem wyjątek i wpadłem, by się z tobą zobaczyć w twoim domu.

— Zaszczyt to dla mnie, panie radco — szczerym tonem odparł McMurdo, wyjmując z kredensu butelkę whisky. — Prawdziwy zaszczyt, którego się nie spodziewałem.

— Jakże twoje ramię?

McMurdo zmarszczył się boleśnie.

— Daje znać o sobie — odparł. — Ale to warte bólu.

— Tak, warte dla tych, którzy są lojalni, pomocni łoży i wytrwają do

końca. O czym rozmawialiście z bratem Morrisem dziś rano w parku?

Całe szczęście, że McMurdo miał gotową odpowiedź, bo pytanie padło całkiem zniecka. Wybuchnął śmiechem.

— Morris nie wie, że mogę zarobić na życie, nie wychodząc z pokoju. I nie dowie się tego, bo zanadto ufa takim jak ja. Ale to porządny facet. Zdawało mu się, że u mnie krucho, i zaproponował mi pracę w swoim sklepie blawatnym.

— Ach tak, więc o to chodziło?

— Tak, o to.

— I odmówiłeś?

— Oczywiście. Czyż przez cztery godziny dziennie, nie wysuwając nosa z sypialni, nie zarobię dziesięć razy tyle?

— Racja, ale na twoim miejscu, bracie, nie zadawałbym się z Morrisem.

— Dlaczego?

— Choćby dlatego, że ja tak mówię. Większości ludzi w tych stronach to wystarczy.

— Może większości, ale nie mnie, panie radco — śmiało odparł McMurdo. — Jeżeli jest pan choć trochę psychologiem, powinien pan to wiedzieć.

Czarny olbrzym patrzył nań przez chwilę, a jego potężna łapa zacisnęła się na szklance, jak by chciał nią rzucić w głowę rozmówcy. A potem wybuchnął swym charakterystycznym nieszczerym, hałaśliwym śmiechem.

— Cudaczny z ciebie człowiek, nie ma co — rzekł. — Dobrze jednak. Powiem, jeżeli chcesz wiedzieć. Czy Morris nie mówił nic złego o loży?

— Nie.

— A o mnie?

— Też nie.

— To dlatego, że ci nie dowierza. Ale w głębi serca jest nielojalnym bratem. Wiemy o tym i nie spuszczaamy go z oka. Czekamy tylko na

odpowiednią chwilę, aby mu udzielić nauczki. Zdaje się jednak, że to już niedługo nastąpi. W naszym stadzie nie ma miejsca na parszywą owcę. Gdybyś więc utrzymywał stosunki z kimś niepewnym, moglibyśmy o tobie to samo pomyśleć. Rozumiesz?

— Nie ma mowy, abym się z nim zaprzyjaźnił, bo go nie lubię — odparł McMurdo. — A gdy chodzi o moją nielojalność, to ktoś inny już by tego nie powtórzył.

— Nie będziemy o tym mówić — zawyrokował McGinty, wysączywszy szklankę do dna. — Przyszedłem, żeby ci rzec słówko na czasie i żeby cię ostrzec.

— Ciekawe, skąd się pan jednak dowiedział o mojej rozmowie z Morrisem.

McGinty roześmiał się.

— To mój obowiązek wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w mieście — odparł. — Dobrze, byś o tym, bracie, pamiętał. Ale na mnie już czas, powiem jeszcze...

Przerwano mu te pożegnalne słowa nagle i w całkiem niespodziewany sposób. Drzwi otwarły się z trzaskiem i stanęli w nich trzech groźnie wyglądający policjanci. McMurdo zerwał się i już wydobywał rewolwer z kieszeni, ale dostrzegł wycelowane w siebie winchestery. Do pokoju wkroczył mężczyzna z sześciostrzałowym rewolwerem w rękę. Był to kapitan Marvin, ongiś z policji w Chicago, a teraz z Policji Kopalnianej. Nieznacznie uśmiechając się, pokiwał głową.

— Wiedziałem, że się pan wkopie w jakąś kabałę, panie oszuście McMurdo z Chicago — rzekł. — Nie może pan żyć bez tego, co? Bierz pan kapelusz i chodź z nami!

— Sądzę, że pan za to odpowie, kapitanie Marvin — wtrącił się McGinty. — Kimże pan jest, chciałbym wiedzieć, że się pan w ten sposób wdiera do mieszkania i napada na porządnych, uczciwych ludzi?

— To nie pańska sprawa, panie radco — odrzekł kapitan. — Przyszliśmy nie po pana, tylko po McMurdo. Pan zaś powinien nam pomóc, a nie przeszkadzać w naszych obowiązkach.

— Chodzi o mojego przyjaciela, za którego całkowicie odpowiadam.

— Tak coś wygląda, że niebawem już będzie pan musiał odpowiadać za siebie. Ten McMurdo to był ładny ptaszek, jeszcze nim tu zjechał. I taki pozostał. Trzymajcie go na muszce — rzucił policjantom. — Obszukam mu kieszenie.

— Oto mój rewolwer — spokojnie rzekł McMurdo. — Gdybyśmy byli tylko we dwóch, kapitanie, nie wziąłby mnie pan tak łatwo.

— Gdzie pan ma nakaz aresztowania? — znów wtrącił się McGinty. — Słowo daję, z takimi ludźmi w policji jak pan człowiek już nie wie, gdzie żyje! Czy pod rosyjskim caratem, czy w Dolinie Vermissy! To panu nie ujdzie płazem, kapitanie, przekona się pan. Słowo daję.

— Każdy robi to, co uważa za swój obowiązek, panie radco. My spełniamy naszą powinność.

— O co mnie posądzacie? — zapytał McMurdo.

— O udział w pobiciu starego redaktora Stangera w jego biurze. A to wcale nie pańska zasługa, że nie posądzamy pana o morderstwo.

— Jeżeli nic więcej nie macie mu do zarzucenia — wykrzyknął McGinty, wybuchając śmiechem — to szkoda waszej fatygi. Puśćcie go zaraz. Był u mnie w barze i grał w pokera aż do północy. Mamy na to świadków.

— To nie nasza sprawa. Wyjaśni się jutro w sądzie. A tymczasem niech pan idzie z nami, panie McMurdo. I grzecznie, jeśli pan nie chce dostać kolbą po łbie. Bez kawałów, panie McGinty, uprzedzam, że nie zniosę żadnego oporu. — Mówił z miną tak zdecydowaną i stanowczą, że zarówno McMurdo, jak i McGinty zrezygnowali z protestów. Ten ostatni wykorzystał jeszcze sprzyjającą chwilę, aby szeptem zamienić kilka słów z aresztowanym.

— A co... z tamtym? — gestem wskazał, że chodzi mu o prasę do bicia dolarów.

— Nie ma obawy — odszepnął McMurdo, który bezpiecznie ukrył ją pod podłogą.

— No, to do widzenia — rzekł głośno McGinty, wymieniając uścisk dłoni z McMurdo. — Idę zaraz do adwokata Reilly'ego i zajmę się twoją obroną. Ręczę, że nic ci nie zrobią.

— Nie dałbym za to złamanego grosza — rzekł kapitan i zwrócił się do policjantów. — Pilnujcie mi więźnia, a gdyby próbował uciec, zastrzelcie go bez pardonu. Ja tymczasem przeszukam pokój.

Jak powiedział, tak zrobił, najwidoczniej jednak nie znalazł ukrytej prasy. A kiedy zszedł, poprowadził McMurdo do komendy policji. Zmrok już zapadł, wiatr przejmował do żywego, pusto więc było na ulicach. Znalazło się jednak kilku gapiów, którzy poszli za nimi i — ośmieleni ciemnością — ubliżali więźniowi.

— Zlinczować przeklętego zoczyńcę! — krzyczeli. — Zlinczować! — Śmieli się i drwili, gdy policjanci wepchnęli McMurdo do aresztu. Musiał jeszcze złożyć zeznania przed dyżurnym inspektorem, nim go zamknięto w ogólnej celi. Zastał tu już Baldwina i trzech innych uczestników wczorajszej napaści na Stangera. Aresztowano ich po południu i czekali na jutrzejszą rozprawę. Ale nawet i do tej fortecy sprawiedliwości sięgnęło długie ramię wolnomularzy. Późno w nocy strażnik, który przyniósł wiązkę słomy na posłanie, wyciągnął z niej dwie butelki whisky, parę szklanek i talię kart. Noc więc minęła im wesoło, bez najmniejszego lęku o jutrzejszą rozprawę.

I nie mieli się też czego bać, jak się okazało. Sędzia nie mógł zawyrokować o ich winie na podstawie zeznań i przekazać sprawy do rozpatrzenia wyższej instancji. Zecerzy bowiem i dziennikarze musieli przyznać, że w sieni było ciemno, że sami byli niezwykle zdenerwowani, wobec czego nie mogą z całą pewnością twierdzić, że napadu dokonali

oskarżeni, choć tak im się wydaje. W ogniu krzyżowych pytań zręcznego adwokata, którego zaangażował McGinty, jeszcze bardziej zaplątali się w zeznaniach. Poszkodowany zaś, zaskoczony znieścacka, zapamiętał tylko, iż pierwszy człowiek, który go uderzył, nosił wąsy. Dodał jeszcze, że napastnicy z pewnością należą do wolnomularzy, bo nikt inny nie miałby powodu go nienawidzić i że od dawna otrzymywał pogróżki z tytułu swych szczerych artykułów. Z drugiej strony, na podstawie zgodnych i pewnych zeznań sześciu świadków, między nimi i radcy McGinty'ego, ustalono niezbicie, że oskarżeni bez przerwy grali w karty w Domu Związkowym, jeszcze nawet w godzinę po napadzie. Nie trzeba więc chyba mówić, że sąd zwolnił ich od winy i kary z czymś w rodzaju przeprosin za posądzenie i fatygę oraz z lekkim wyrzutem pod adresem kapitana Marvina i policji za zbytnią gorliwość.

Publiczność, wśród której McMurdo dojrzał wiele znajomych twarzy, głośnym wyrazem zadowolenia powitała ów wyrok. Członkowie loży śmiali się i kiwali rękami ku oskarżonym. Ale byli też ludzie, którzy z zaciśniętymi gniewnie ustami i w ponurym milczeniu patrzyli na wylewający się z sali tłum. Jeden z nich, niski, ciemnobrody, w tych śmiałych słowach wyraził myśli swoje i swoich kolegów, gdy niedawni aresztanci przechodzili koło niego: — Przeklęci zbrodniarze! Jeszcze was dostaniemy!

Jeżeli było jeszcze coś, co mogło podnieść popularność McMurdo wśród bractwa wolnomularzy — to jego aresztowanie i uniewinnienie. W historii łoży nie znano wypadku, aby nowicjusz w noc przyjęcia spełnił czyn, za który stanąłby przed sądem. McMurdo miał już opinię brata łąty, wesołego kompana do kieliszka, a nade wszystko rezoluta, który nie zniesie najmniejszej obelgi nawet ze strony wszechmocnego Szefa. Ale prócz tego zdołał on jakoś zaszczepić wszystkim braciom przekonanie, że nikt lepiej od niego nie potrafi obmyślić i wykonać krwawej zbrodni. „To facet od mokrej roboty”, mówiła do siebie starszyzna i czekali na okazję, by go odpowiednio użyć. McGinty miał dosyć powolnych sobie narzędzi w ręku, orientował się jednak, że ten człowiek jest najzręczniejszy ze wszystkich. Czuł się jak ktoś, kto trzyma śmigłego ogara na smyczy. Nie brakło mu gończaków do mniejszej roboty, ale wiedział, że kiedyś i jego wypuści na odpowiednią ofiarę. Kilku członków łoży, między nimi i Ted Baldwin, kosym okiem patrzyli na ten szybki awans przybysza i zniechęcili go nawet za to, ale woleli trzymać się z daleka od niego, bo był gotów zarówno do bitki, jak i do zabawy.

Ale zyskując sobie względy braci, McMurdo tracił je gdzie indziej, i to tam, gdzie były dlań po stokroć ważniejsze. Stary Shafter nie chciał go znać i zabronił mu wstępu do swojego domu. Ettie za bardzo go kochała, by z nim zerwać, zdawała sobie jednak sprawę, że małżeństwo z człowiekiem uważanym za zbrodniarza nic dobrego jej nie przyniesie. Toteż pewnego ranka, po nie przespanej nocy, postanowiła zobaczyć się z McMurdo, może nawet po raz ostatni, i wszelkimi siłami — perswazją i prośbą — spróbować wydobyć go spod wpływu złych ludzi. Udała się do niego do domu, o co ją już nieraz prosił, i weszła wprost do bawialni. McMurdo siedział przy stole

odwrócony plecami do drzwi i coś pisał. Wtedy strzelił jej do głowy dziewczęcy płochy pomysł — miała przecież dopiero dziewiętnasty rok. Nie słyszał, jak weszła, podkradła się więc niepostrzeżenie na palcach i położyła mu dłoń na ramieniu. Spodziewała się, że go zaskoczy, co się jej w pełni udało. Ale teraz z kolei on ją zaskoczył. Zerwał się jak tygrys, lewą ręką porwał i zmiażdżył list, który pisał, prawą zaś chwycił Ettie za gardło. Chwilę przyglądał się jej w osłupieniu, a potem wściekły gniew — tak wściekły, że cofnęła się, drżąc, jak przed czymś okropnym, czego jeszcze w swym spokojnym życiu nie zaznała — przeszedł w radość i zdziwienie.

— To ty! — zawołał, pocierając czoło. — I pomyśleć, że przyszedłeś do mnie, a ja nie mogłem nic lepszego zrobić, niż złapać cię za gardło! Chodź, kochanie — wyciągnął do niej ramiona — niech cię przeproszę.

Ale ona wciąż jeszcze była pod wrażeniem tego strachu i winy, które wyczytała przed chwilą w jego twarzy. Kobięcy instynkt powiedział jej wyraźnie, że nie chodzi tu o zwykły przestach człowieka zaskoczonego. Wina — tak, to było to — wina i przerażenie.

— Co ci się stało, Jack?! — wykrzyknęła. — Czemu się tak przestraszyłeś? Och, gdybyś miał czyste sumienie, nie patrzyłbyś na mnie w ten sposób.

— Bo widzisz, myślałem całkiem o czym innym i kiedy podeszłaś cichutko na tych cudnych nóżkach...

— Nie, nie, to coś więcej — zaczęła go nagle podejrzewać. — Pokaż mi ten list, który pisałeś.

— Nie mogę, Ettie.

Teraz już nabrała pewności.

— A więc jakaś inna kobieta! — powiedziała. — Czuję to. Bo czemu nie chcesz pokazać mi listu. Może żona? Skąd mam wiedzieć, czy nie jesteś żonaty... ty, zupełnie tu obcy, którego nikt z nas nie zna.

— Nie jestem żonaty. Przysięgam ci, Ettie. Jesteś dla mnie jedyną kobietą

na świecie. Przysięgam na mękę Jezusa. — Tak pobleł ze wzruszenia, że musiała mu uwierzyć.

— Więc czemu nie chcesz mi pokazać listu? — wykrzyknęła.

— Powiem ci, kochanie — odparł. — Jestem związany przysięgą i nie złamię jej, tak jak za nic w świecie nie złamałbym danego ci słowa, nie złamię tego przyrzeczenia. To sprawa loży i nawet tobie nie mogę jej zdradzić. A jeżeli przeraziłem się, że mi ktoś położył rękę na ramieniu, to zrozum, myślałem, że to ręka detektywa.

Czuła, że mówi prawdę. Objął ją, przycisnął do siebie i pocałunkami rozwiął obawy i podejrzenia.

— Siądź tu przy mnie. Kiepski to tron dla takiej królowej, ale najlepszy, jakim dysponuje twój biedny kochanek. Spodziewam się jednak, że przyjdzie taki dzień, kiedy znajdę godniejszego ciebie. Już po troskach, prawda?

— Jak może być po troskach, Jack, kiedy wiem, że jesteś zbrodniarzem wśród zbrodniarzy... kiedy lada dzień mogę usłyszeć, że sądzą cię za morderstwo? „McMurdo, ten złoczyńca”, oto, jak wyraził się o tobie wczoraj jeden z naszych lokatorów. Czułam się, jakby mi kto nóż wbił w serce.

— Przykre słowo nie kij, kości nie łamie.

— Ale było prawdziwe.

— Kochanie, nie jest tak źle, jak ci się zdaje. Jesteśmy tylko nieborakami, na swój sposób walczącymi o nasze prawa.

Ettie zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Jack, błagam cię, zejdz z tej drogi. Po to tu dziś przyszedłam! Błagam cię na kolanach, daj temu spokój.

Uniósł ją z kłęczek i przycisnął do piersi.

— Kochanie, nie wiesz, o co prosisz. Jakże mógłbym dać spokój, nie łamiąc przysięgi i nie opuszczając moich towarzyszy? Gdybyś wiedziała

wszystko, nigdy byś o to nie prosiła. A zresztą, jak bym nawet mógł? Nie sądzisz chyba, że loża wypuściłaby kogoś, kto zna jej tajemnice.

— Myślałam już o tym. Ułożyłam sobie plan. Ojciec ma trochę zaoszczędzonych pieniędzy. Zbrzydła mu już ta dolina, gdzie strach zatruwa nam życie. Gotów jest wyjechać. Uciekniemy razem do Filadelfii lub do Nowego Jorku, w jakieś bezpieczne miejsce. McMurdo roześmiał się.

— Loża ma długie ramię. Myślisz, że nie sięgnie stąd do Filadelfii lub do Nowego Jorku?

— A więc na zachód, do Anglii czy do Szwecji, do kraju mojego ojca. Wszędzie, byle dalej od tej Doliny Trwogi.

McMurdo przypomniał sobie starego brata Morrisa.

— Po raz drugi słyszę już tę nazwę — rzekł. — Istotnie, niektórym z was jakiś cień zdaje się omraczać życie.

— Zaciemnia nam każdą chwilę. Przypuszczasz, że Ted Baldwin zapomniał? Jak myślisz, gdyby nie strach przed tobą, co by nas spotkało? Szkoda, że nie widzisz jego nienawistnych, pożądliwych oczu, kiedy patrzy na mnie.

— Już ja go nauczę lepszych manier! Niech tylko to zobaczę. Posłuchaj jednak, moje maleństwo. Nie mogę stąd wyjechać. Nie mogę. Zrozum to raz i na zawsze. Ale jeżeli pozostawisz mi wolną rękę, spróbuję znaleźć jakiś sposób, aby się wycofać z honorem.

— W takich sprawach nie ma honoru.

— Tak ci się tylko zdaje. Ale jeżeli dasz mi sześć miesięcy czasu, postaram się z tego tak wydostać, abym mógł śmiało spojrzeć ludziom w oczy. — Ettie roześmiała się radośnie. — Sześć miesięcy, obiecujesz?

— No, może siedem lub osiem, ale najdalej za rok rozstaniemy się z tą doliną.

Nic ponad to nie udało się Ettie uzyskać, a jednak to już było coś. Dalekie światelko rozjaśniało ponurą przyszłość. Wróciła do domu z lżejszym

sercem niż kiedykolwiek, od chwili gdy ten młody Irlandczyk wszedł w jej życie.

McMurdo mógłby sądzić, że będąc członkiem organizacji wolnomularzy, wie o wszystkim, co się w niej dzieje. Szybko jednak odkrył, że ta organizacja nie sprowadzała się tylko do jednej loży; że była znacznie rozleglejsza i bardziej skomplikowana w strukturze. Nawet Szeft McGinty nie orientował się w pewnych sprawach, albowiem w Hobson's Patch, o parę stacji bliżej, mieszkał delegat okręgowy, sprawujący władzę nad paroma różnymi lożami, którymi zresztą rządził bardzo despotycznie. McMurdo widział go tylko raz w życiu. Był to drobny, przebiegły siwy mężczyzna, przypominający szczura. Zawsze się skradał i zawsze patrzył spod oka. Nazywał się Evans Pott i nawet wszechmocny Szeft z Vermissy brzydził się nim i bał się go, tak jak olbrzym Danton bał się pewnie słabowitego, lecz groźnego Robespierre'a.

Któregoś dnia McGinty kartką z załączonym liścikiem Evansa Potta zawiadomił Scanlana, mieszkającego razem z McMurdo, że Evans przysłał dwóch dzielnych ludzi, Lawlera i Andrews, w celu załatwienia pewnej sprawy w okolicy. Ze względu na jej dobro nie można było zdradzić, o co właściwie chodzi. Evans Pott zapytywał, czy mistrz może zapewnić im odpowiednie lokum i opiekę aż do czasu działania. McGinty zaś pisał, że w Domu Związkowym od razu każdego zauważą, i dlatego prosi Scanlana i McMurdo, aby na parę dni przyjęli pod swój dach obu przybyszów.

Zjawili się jeszcze tego wieczoru, każdy z walizczką. Lawler był starszym już człowiekiem, małomównym, sprytnym, zamkniętym w sobie, ubranym w stary czarny żakiet, który wraz z miękkim filcowym kapeluszem i kosmatą, mocno szpakowatą brodą nadawał mu wygląd wędrownego kaznodziei. Jego towarzysz Andrews, prawie jeszcze wyrostek, o twarzy pogodnej, szczerzej i usposobieniu wesołym, przypominał chłopca na wakacjach, radującego się każdą ich chwilą. Obaj nie pili i pod każdym

względem zachowywali się jak wzorowi obywatele, z tym jednak wyjątkiem, że byli mordercami, którzy nieraz dali dowody, iż potrafią być sprawnym narzędziem w rękach tego zbrodniczego towarzystwa. Lawler dokonał już czternastu morderstw, Andrews zaś — trzech. Jak stwierdził McMurdo, chętnie wracali do swoich dawniejszych sprawek, o których opowiadali z wstydliwą dumą ludzi, co bezinteresownie i altruistycznie spełnili swój obowiązek wobec społeczności.

Ale gdy chodziło o czekające ich zadanie — byli bardzo powściągliwi.

— Wybrali nas, bo ani ja, ani ten młodzieniaszek nie pijemy — wyjaśnił Lawler. — Mogą więc być pewni, że się nie wygadamy. Nie bierzcie nam za złe naszego milczenia, ale taki mamy rozkaz delegata okręgowego.

— No tak, wszyscy jedziemy na tym samym wózku — przytaknął Scanlan, gdy rozmawiali we czterech przy kolacji.

— Słusznie, toteż do morowej śmierci możemy gadać o zabójstwie Charlie’ego Williamsa lub Simona Birda i o wszystkim, co było. Ale dopóki się z tą sprawą nie załatwimy, trzymamy gębę na kłódkę.

— Mamy tu przynajmniej z tuzin takich, którym mógłbym coś zarzucić — rzekł McMurdo i zaklął. — Chyba nie chodzi tym razem o Jacka Knoxa czy Ironhilla? Dużo dałbym za to, by zobaczyć, że dostali za swoje.

— Nie. To nie o nich chodzi.

— To może o Hermana Straussa?

— I nie o niego.

— No cóż, jeżeli nie możecie powiedzieć, to nie będziemy nalegać. Chciałbym jednak wiedzieć.

Lawler uśmiechnął się i potrząsnął głową. Nie dał się pociągnąć za język.

Mimo widocznej rezerwy swych gości Scanlan i McMurdo postanowili asystować przy tym, co nazywali „zabawą”. Toteż gdy o świcie McMurdo usłyszał, że przybysze schodzą ze schodów, zbudził Scanlana i obaj ubrali się błyskawicznie. A kiedy już byli gotowi, przekonali się, że tamci

wymknęli się z domu, zostawiając drzwi otwarte. Było jeszcze ciemno, lecz w świetle latarni dostrzegli dwie oddalające się postacie. Cichaczem poszli więc za nimi, a głęboki śnieg tłumił ich kroki.

Dom, w którym mieszkali, stał na przedmieściu, toteż niebawem znaleźli się na skrzyżowaniu dróg za rogatkami. Tu czekało już trzech ludzi, z którymi Lawler i Andrews wdali się w krótką i żywą rozmowę. Po czym wszyscy ruszyli razem. Najwidoczniej chodziło o jakąś poważniejszą robotę, wymagającą udziału większej ilości uczestników. Od miejsca spotkania owej piątki odchodziło wiele ścieżek do różnych kopalń. Spiskowcy wybrali tę, która wiodła do Crew Hill, dużego przedsiębiorstwa, rządzonego silną ręką nieustraszonego i energicznego Josiaha H. Dunna rodem z Nowej Anglii. Człowiek ten, mimo terroru panującego w dolinie, potrafił utrzymać u siebie porządek i dyscyplinę.

Dzień już wstawał i górnicy w grupkach i pojedynczo szli do pracy czerniejącą na śniegu ścieżynką.

McMurdo i Scanlan wmieszali się między nich, nie spuszczając z oka tej piątki, którą śledzili.

Gęsta mgła unosiła się nad ziemią i nagle z jej środka wytrysnęła przeciągły ryk syreny — znak, że za dziesięć minut klatki pójdą w dół i zacznie się codzienna praca.

Kiedy Scanlan i McMurdo doszli na otwarty plac koło szybu, czekała tam już z setka górników przytupujących i chuchających w ręce, bo mróz kąsał dotkliwie. Piątka obcych skupiła się w cieniu budynku maszyny wyciągowej. Scanlan i McMurdo wdrapali się na kupę żużlu, z której mogli obserwować całą scenę. Zobaczyli inżyniera kopalni, potężnego, brodatego Szkota nazwiskiem Menzies, wychodzącego z maszynowni i gwizdkiem nakazującego opuszczenie klatek. W tej samej chwili wysoki, niezgrabny, młody mężczyzna, zarządca kopalni, wygolony i poważny, szybkim krokiem podszedł do nadszybia. O parę kroków od siebie dostrzegł milczącą i

nieruchomą grupkę ludzi, którzy nasunęli na oczy kapelusze i podnieśli kołnierze palt, by zakryć twarze. Na chwilę przeczucie bliskiej śmierci lodowatą dłonią ścisnęło mu serce. Ale otrząsnął się zaraz i w obliczu intruzów pamiętał już tylko o obowiązku.

— Coście za jedni? — zapytał i ruszył ku nim. Czego tu szukacie? — Nie odpowiedzieli, tylko Andrews wystąpił naprzód i strzelił mu w brzuch. Stu górników stało bez ruchu, jakby tkniętych nagłym paraliżem. Zarządca kopalni chwycił się za brzuch i przegiął się w pół. Powłókł się jeszcze parę kroków, ale gdy drugi zamachowiec strzelił, runął na bok między dwoma kupami żużlu, kopiąc i drapiąc śnieg. Na ten widok Menzies ryknął przeraźliwie i schwyciwszy jakąś żelazną sztabę, skoczył na morderców. Dostał jednak dwie kule w twarz i padł martwy. Niektórzy górnicy chcieli biec z pomocą, rozległy się okrzyki współczucia i gniewu, ale gdy obcy zaczęli strzelać im nad głowami, rozproszyli się i rozbiegli, a niektórzy jak szaleni zaczęli uciekać do domów. Kiedy zaś paru najśmielszych znów się zebrało i wróciło do kopalni, zabójcy znikli już w porannej mgle. Nikt nie mógłby zidentyfikować tych zbrodniarzy, którzy na oczach setki widzów popełnili podwójne morderstwo. Scanlan i McMurdo ruszyli ku domowi. Scanlan był nieco przygnębiony, albowiem to pierwsze morderstwo, które widział na własne oczy, wydało mu się o wiele mniej zabawne, niż się spodziewał. Przez całą drogę do miasta towarzyszył im płacz i lament żony zabitego. McMurdo był milczący i zajęty własnymi myślami. Nie zdradzał jednak zrozumienia dla uczuć swojego kompana.

— Cóż, to jak na wojnie — powtórzył. — Bo i czymże to jest, jeśli nie wojną między naszymi dwoma obozami? Bijemy, jak potrafimy, najcelniej.

Tego wieczora w lokalu łoży w Domu Związkowym pito na umór. Fetowano nie tylko zabójstwo zarządcy i inżyniera kopalni Crew Hill, które już teraz stawiało ją w szeregu innych szantażowanych i sterroryzowanych przedsiębiorstw w Dolinie Vermissy, ale także święcono inny tryumf

odniesiony dość daleko — tym razem przez członków miejscowej loży. Okazało się, że delegat okręgowy, przysyłając swoich pięciu ludzi w celu dokonania zamachu w Vermissie, zażądał w zamian przysłania w tajemnicy trzech ludzi do zabicia Williama Halesa ze Stake Royal, bardzo znanego i niezwykle popularnego właściciela kopalni w okręgu Gilmerton. Człowiek ten nie miał ani jednego wroga na całym świecie i uważany był za wzór pracodawcy. Nie pobłażał jednak leniuchom i z tego względu wydalil kilku pijaków i nierobów, którzy należeli do wszechpotężnej organizacji. Nie uląkł się też klepsydr przybijanych mu do drzwi, tak więc w wolnym, cywilizowanym kraju spotkała go za to śmierć.

Wyrok wykonano zgodnie z postanowieniem. Grupie morderców przewodził Ted Baldwin, który teraz rozsiadł się wygodnie na honorowym miejscu obok mistrza. Jego opuchnięta twarz i szklane, przekrwione oczy świadczyły o nie przespanej i pijackiej nocy. Wraz z dwoma swoimi towarzyszami spędził ją w górach. Wszyscy trzej włosy mieli zwichrzone, a twarze wyblakłe. Jednak żaden bohater powracający ze straconej placówki nie cieszyłby się tak entuzjastycznym przyjęciem kolegów. Wśród wybuchów śmiechu i okrzyków zadowolenia opowiadano sobie i powtarzano ich czyny. Zaczaiwszy się o zmroku na stromym szczycie, gdzie koń musiał przejść w stępa, czekali na Halesa, który powracał do domu. W obawie przed mrozem biedak tak się otulił w futra, że nawet nie mógł wyciągnąć broni. Wywlekli go więc z sań i zastrzelili paroma strzałami. Żaden z nich nie znalazł tego człowieka, ale w każdym zabójstwie kryje się dramat, oni zaś udowodnili złoczyńcom z Gilmerton, że na ludziach z Vermissy można polegać. Nieszczęśliwym trafem jakiś mężczyzna z żoną nadjechał, gdy jeszcze strzelali do leżącej nieruchomo ofiary. Byli to jednak nieszkodliwi ludzie, nie mający nic wspólnego z kopalniami, toteż surowo rozkazano im, żeby się stąd zabrali póki czas, i nikomu nic nie mówili, jeżeli nie chcą napytać sobie biedy. Okrwawione ciało pozostało na drodze jako

ostrzeżenie dla podobnie zatwardziałych pracodawców, a trzech szlachetni mściciele odeszli co prędzej w góry, gdzie gęsty las schodzi w dół, pod same hutnicze piece i kupy żużlu.

To był wielki dzień złoczyńców. Jeszcze bardziej mroczny, jeszcze gęściejszy cień padł na dolinę. Ale jak mądry wódz czeka na chwilę zwycięstwa, by zdwoić wysiłki i nie pozwolić wrogowi na zebranie sił po klęsce, tak Szeff McGinty, z namysłem spozierając na pole walki przed sobą, obmyślał już nowy atak na swoich przeciwników. Tej jeszcze nocy, kiedy pijacka kompania zaczęła się rozchodzić, ujął McMurdo pod ramię i zaprowadził do pokoiku za barem, gdzie odbyła się ich pierwsza rozmowa.

— Posłuchaj, chłopcze — rzekł. — Nareszcie mam robotę godną ciebie. I samodzielną.

— To prawdziwy zaszczyt dla mnie — odparł McMurdo.

— Dostaniesz dwóch ludzi do pomocy, Mandersa i Reilly'ego. Są już zawiadomieni. Widzisz, dopiero gdy skończymy z Chesterem Wilcoxem, ostatecznie zapanujemy nad tą doliną, a ty zasłużysz sobie na wdzięczność łoży i całego zagłębia, jeżeli go zgładzisz.

— Postaram się. Kto to taki i gdzie go znajdę? McGinty wyjął z kąta ust swoje nieodstępne, na pół zzute, na pół wypalone cygaro i wyrwawszy kartkę z notesu, naszkicował na niej plan terenu.

— Wilcox to główny majster Iron Dyke Company. Wzorowy obywatel i dawny sierżant, chorąży z tamtej wojny. Siwy, z ciałem porytym bliznami. Dwa razy już próbowaliśmy dobrać się do niego i daremnie. Jim Carnaway przypłacił to życiem. Teraz ty się do niego zabierzesz. Mieszka w tym samotnym domu na skrzyżowaniu przy Iron Dyke, o tak, jak tu widzisz na tym szkicu. W pobliżu nie ma żadnego innego domostwa. W dzień dostęp jest tu trudny. Wilcox ma broń, strzela zaś, nie pytając — i celnie. Ale w nocy to co innego. Mieszka z żoną, trojgiem dzieci i służącą. Innej rady nie ma: oni wszyscy albo nikt. Gdybyś zdołał podłożyć ładunek prochu z

lontem pod drzwiami...

— Co ten człowiek zrobił?

— Czy nie powiedziałem, że zabił Jima Carnawaya?

— A za co?

— Cóż to ciebie obchodzi, u licha? Carnaway włóczył się w nocy pod jego domem i on go zastrzelił. To powinno wystarczyć nam obu, tobie i mnie. Masz tylko wykonać zadanie.

— Są tam jeszcze dwie kobiety i dzieci. Czy też mają zginąć?

— Oczywiście, bo jakże dasz radę inaczej?

— To gorsza sprawa. Te stworzenia przecież nic nie zawiniły!

— Co to za gadanie?! Odmawiasz?

— Zaraz, zaraz, panie radco. Czy powiedziałem lub zrobiłem kiedy coś takiego, aby mnie pan zaraz posądzał o nieposłuszeństwo wobec mistrza mojej łoży? Pan decyduje, co słuszne, a co nie.

— A zatem wykonasz zadanie?

— Oczywiście.

— Kiedy?

— Niech mi pan da jedną noc lub dwie, abym sobie obejrzał dom i ułożył plan. A wtedy....

— Dobrze — odparł McGinty, podając mu rękę. Rób, jak uważasz. Będzie to wielki dzień w historii naszej łoży, kiedy nam zameldujesz o jego śmierci. Pamiętaj, że chodzi o ostatni cios, po którym wszyscy padną na kolana.

McMurdo długo i szczegółowo rozmyślał nad tak nagle poruczonym mu zadaniem. Dom, w którym mieszkał Chester Wilcox, stał na odludziu o jakieś pięć mil dalej, w przyległej dolinie. Jeszcze tej nocy McMurdo wyruszył sam, aby przygotować zamach. Wrócił już za dnia. Nazajutrz rozmówił się ze swoimi dwoma pomocnikami. Obaj, Manders i Reilly, byli młodzi, bezwzględni i tak palili się do tej roboty, jakby chodziło o polowanie

na rogacza. Na drugą noc spotkali się wszyscy trzej za miastem, uzbrojeni, a jeden z nich dźwigał worek napchany prochem używanym w kamieniolomach. Dopiero o drugiej w nocy dotarli do samotnego domu. Chmury szarpane wiatrem szybko przesuwały się po tarczy księżyca tuż przed pełnią. Zamachowcy wiedzieli, że muszą wystrzegać się psów, toteż szli ostrożnie, z rewolwerami gotowymi do strzału. Było jednak cicho, tylko wicher wyl i nic się nie ruszało prócz gałęzi nad nimi. McMurdo chwilę nasłuchiwał pod drzwiami domu, w którym jednak nikt się nie poruszył. Podsunął więc pod nie wór z prochem, wywiercił w nim dziurę i wsadził lont. Kiedy go zapalił, uciekli co tchu w piersiach.

Odbiegłszy dość daleko, padli w rów i dopiero wtedy usłyszeli głośny huk detonacji i łomot walącego się domu: znak, że zamach się udał. W krwawych dziejach loży nie zanotowano piękniejszego wyczynu. Ale niestety, tak dobrze obmyślony i śmiało przeprowadzony — chybił celu! Chester Wilcox, świadom losu tylu ofiar, wiedząc, że jego też chcą zgładzić, wraz z całą rodziną przeniósł się poprzedniego dnia w bezpieczniejsze, mniej znane okolice, gdzie zamieszkał pod ochroną policji. Wybuch zniszczył pusty dom, a surowy, stary żołnierz, co dźwigał chorągiew w czasie wojny, po dawnemu wpajał dyscyplinę górnikom z Iron Dyke.

— Zostawcie go mnie — rzekł McMurdo. — Ja się już nim zajmę i wykończę go, choćbym miał rok czekać.

Na zebraniu loży nie tylko podziękowano mu oficjalnie, ale i udzielono votum zaufania — na tym sprawa ucichła.

A kiedy w parę tygodni później gazety doniosły, że do Wilcoxa strzelano z zasadki, wszyscy od razu domyślili się, że to robota McMurdo.

Takie były czyny wolnomularzy i takie były metody złoczyńców. Siejąc strach, przez długi czas rządzili tym bogatym i dużym okręgiem, straszliwie przez nich udręczonym. Po co miałbym plamić strony tego opowiadania dalszymi ich zbrodniami? Czy nie powiedziałem już dość w celu

zobrazowania ludzi i sposobów, których się imali? Są to fakty historyczne, ze wszystkimi szczegółami przytoczone w oficjalnych sprawozdaniach. Można w nich wyczytać o zastrzeleniu policjantów — Hunta i Evansa — tylko dlatego, że odważyli się aresztować dwóch wolnomularzy... O podwójnym morderstwie uplanowanym w łożu w Vermissie i z zimną krwią wykonanym na dwóch niewinnych i bezbronnych ludziach. Można się też dowiedzieć o zastrzeleniu pani Lerbey, gdy pielęgnowała męża, którego prawie na śmierć skatowano z rozkazu Szefa McGinty'ego, o zabiciu starszego Jenkinsa (zginął wkrótce po swoim bracie), o okaleczeniu Jakuba Murdocha, wysadzeniu w powietrze całej rodziny Staphousów, o zamordowaniu Stendalsów — o tych wszystkich zbrodniach, co następowały jedna po drugiej tej samej zimy. Straszliwy cień okrył Dolinę Trwogi. Nadeszła wreszcie wiosna, wezbrały potoki i zakwitły drzewa. Nadzieja wstąpiła w całą przyrodę, tak długo skutą okowami zimy. Ale nie mieli jej ludzie żyjący w jarzmie straszliwego ucisku. Nigdy jeszcze chmury nad ich głowami nie wydawały się tak ciemne i groźne jak na wiosnę 1875 roku.

VI

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Terror szalał w najlepsze. McMurdo, który doszedł już w tym czasie do wysokiej godności w loży i miał widoki zostania któregoś dnia mistrzem po McGintym, cieszył się takim autorytetem wśród braci, że bez jego rady i pomocy do niczego się nie zabierano. Ale im bardziej rosła jego popularność wśród wolnomularzy, tym bardziej nienawistnymi spojrzeniami witano go na ulicach Vermissy. Mimo straszliwego terroru obywatele jakoś nabierali ducha i łączyli się przeciw swoim oprawcom. Do loży doszły wiadomości o tajemnych zebraniach w redakcji „Heralda” i o rozdaniu broni palnej szanującym prawo mieszkańcom doliny. Jednakże McGinty i jego ludzie ani trochę nie przejęli się tymi wieściami. Górowali przecież liczbą, stanowczością i uzbrojeniem nad swymi przeciwnikami, którzy byli słabsi i rozproszeni. „Wszystko, tak jak zawsze, skończy się na czczej gadaninie i być może nieszkodliwych aresztowaniach” — mówili McGinty, McMurdo oraz inni śmielsi bracia.

W maju, w pewien sobotni wieczór — sobota była zawsze dniem zebrań loży — McMurdo szykował się już do wyjścia, kiedy go zatrzymała wizyta Morrisa, owego lękliwego brata. Troska malowała się na jego sympatycznej twarzy, teraz wyciągniętej i zapadłej.

— Czy mogę szczerze z panem pomówić? — zapytał.

— Oczywiście.

— Pamiętam, że już raz zwierzyłem się panu i że nie zdradził pan ani słowa z naszej rozmowy, choć sam Szeff o nią zapytał.

— Przecież nie mogłem nadużyć pańskiego zaufania! Nie znaczy jednak, abym się z panem zgadzał.

— Świetnie zdaję sobie z tego sprawę. Ale pan jest jedynym człowiekiem,

z którym mogę mówić bez obawy. Noszę tu straszliwą tajemnicę — przyłożył rękę do piersi — która mi życie nie daje. Żałuję, że to mnie spotkało, a nie pana lub kogo innego. Jeśli tę tajemnicę wyjawię — skończy się to zbrodnią, jeśli nie wyjawię — zginiemy wszyscy. Już odchodzę od zmysłów!

McMurdo uważnie mu się przyjrzał: biedak trząsał się na całym ciele. Nalał więc whisky i podał mu szklanekę.

— To najlepszy lek dla takich jak pan — rzekł. — A teraz proszę mówić! Morris wypił i policzki mu się zaróżowiły.

— Mogę to wszystko wyrazić jednym zdaniem — rzekł. — Detektyw depcze nam po piętach.

McMurdo spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Człowieku, pan chyba zwariował! Czyż nie mamy tu pełno policji i detektywów? I co z tego?

— Nie, nie chodzi o nikogo z miejscowych. Znamy ich wszystkich, jak pan wie, i nic nam nie mogą zrobić. Ale czy pan słyszał o Pinkertonie?

— To często spotykane nazwisko.

— Może mi pan wierzyć, że jak jego ludzie wsiądą komu na kark, to mu życie nie dadzą. To nie państwowa instytucja, ale poważna agencja, której zależy na wynikach i która wszystkimi środkami, prawem czy bezprawiem, dąży do celu. Jeśli któryś z ludzi Pinkertona wkręcił się do nas, to wszyscy jesteśmy zgubieni.

— Trzeba go zabić!

— Takie są pańskie pierwsze słowa. Więc i loża będzie tego zdania. Czy nie powiedziałem, że kroi się nowa zbrodnia?

— No to co, że zbrodnia? Czy nie zdarzają się tu one na każdym kroku?

— Zdarzają się, ale ja nie chcę wskazywać ofiary. Nie zaznałbym już nigdy spokoju. A chodzi o nasze gardła. Na miłość boską, co robić? — Bezradnie kiwał się tam i z powrotem na krzeselku.

McMurdo przejął się jednak słowami Morrisa. Widać było, że podziela jego obawy i zgadza się z nim, iż jakoś trzeba stawić czoło niebezpieczeństwu. Schwycił więc swego gościa za ramię i potrząsnął nim mocno.

— Posłuchaj, człowieku — niemal krzyczał — tu nie ma co lamentować jak stara baba nad nieboszczykiem! Gadaj rozsądnie. Kto to jest? I gdzie jest? Skąd o nim wiesz? Czemu przyszedłeś akurat do mnie?

— Przyszedłem do pana, bo tylko pan może mi pomóc. Mówiłem już, że przed przyjazdem tutaj miałem interes bławatny na wschodzie kraju. Zostawiłem tam wielu dobrych przyjaciół, a jeden z nich pracuje w telegrafii. Wczoraj dostałem od niego list. Chodzi o ten ustęp na początku strony. Niech pan sam czyta.

Oto co McMurdo przeczytał:

Co tam u was słyhać z tymi złoczyńcami? Wiele tu u nas piszą o nich w prasie. Nic nikomu nic mów, ale niebawem spodziewam się od ciebie ciekawych wiadomości w tej sprawie. Pięć wielkich przedsiębiorstw i dwa towarzystwa kolejowe poważnie wzięły się do rzeczy. Nie popuszczą złoczyńcom, możesz być pewien. Ostro się do nich zabrano. Zwrócono się do biura Pinkertona, a ten wysłał do was swojego najlepszego człowieka, Birdy'ego Edwardsa. Teraz skończą się już te zbrodnie.

— Niech pan jeszcze przeczyta dopisek.

Oczywiście donoszę ci o tym w zaufaniu, bo to tajemnica służbowa. Codziennie mam do czynienia z szyfrowanymi depeozami, z których nic nie rozumiem.

McMurdo rozmyślał, trzymając list w drżącej ręce. Mgła na chwilę

rozproszyla się i ujrzał przed sobą przepaść.

— Czy ktoś jeszcze wie o tym? — zapytał.

— Nie mówiłem nikomu.

— Ale ten człowiek... ten pański przyjaciel... czy ma tu kogoś, do kogo mógłby pisać?

— Zna jeszcze jedną lub dwie osoby w naszym mieście.

— Członków loży?

— Zupelnie możliwe.

— Pytam, bo kto wie, czy nie opisał wyglądu tego faceta, Birdy'ego Edwardsa. Łatwiej byłoby go nam wtedy wykryć.

— Cóż, to możliwe. Ale nie sądzę, by go znał. Po prostu napisał o tym, czego się dowiedział w służbie. Skąd by miał znać kogoś od Pinkertona?

McMurdo zerwał się gwałtownie.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Mam go! Idiota ze mnie, że od razu na to nie wpadłem. Ale nam się udało! Nakryjemy gościa, nim zdąży zrobić coś złego. Niech pan posłucha: czy zgadza się pan oddać sprawę w moje ręce?

— Z pewnością, byleby się tylko jej pozbyć.

— A więc biorę to na siebie. Może pan od wszystkiego umyć ręce. Pańskie nazwisko nawet nie będzie wspomniane. Zajmę się tym tak, jakby ten list pisany był do mnie. Zgoda?

— Nic więcej nie chcę.

— Na tym więc staje i niech pan odtąd pary z ust nie puści! Idę prosto do loży i niebawem poczciwy Pinkerton będzie się musiał martwić o siebie.

— Nie zabijecie tego człowieka, co?

— Im mniej pan będzie wiedział, przyjacielu, tym spokojniejsze będziesz miał sumienie i sen. Niech pan o nic nie pyta i pozwól sprawom iść ich własną drogą. Teraz ja za wszystko odpowiadam.

Morris posepnie pokiwał głową i wyszedł.

— Czuję, że mam jego krew na rękach — mruknął jeszcze.

— Samoobrona nie jest morderstwem — McMurdo uśmiechnął się ponuro. — Albo on, albo my. Sądzę, że ten człowiek zniszczy nas wszystkich, jeżeli pozwolimy mu nadal przebywać w dolinie. Bracie Morris, właściwie powinniśmy wybrać pana mistrzem, teraz, kiedy pan niezawodnie uratował łożę.

Z czynów wynikało jednak, że McMurdo bardziej wziął sobie sprawę do serca, niż wskazywałyby te słowa. Może chodziło o poczucie własnej winy, może zrobiła to sława biura Pinkertona, a może świadomość, że potężne i bogate organizacje zjednoczyły się na zgubę łoży — dość, że zabrał się do dzieła jak człowiek przygotowany na najgorsze. Przed wyjściem z domu zniszczył każdy najmniejszy papierek, który mógłby go skompromitować. Potem westchnął z ulgą, bo wydało mu się, że jest już bezpieczny. Widać jednak czuł jakąś groźbę w powietrzu, albowiem po drodze do łoży wstąpił do starego Shaftera. Co prawda, nie wolno mu było przestąpić progu tego domu, ale pukaniem w okno wywołał Ettie. W oczach nie miał swoich zwykłych irlandzkich swawolnych iskierek. W stężącej twarzy wyczytała niepokój.

— Co się stało!?! — wykrzyknęła. — Och, Jack, tobie coś grozi!

— Jeszcze nic strasznego, mój skarbie. Rozsądniej jednak będzie uprzedzić fakty.

— Uprzedzić fakty?

Obiecałem ci kiedyś, że wyjadę stąd pewnego dnia. Zdaje się, że ten dzień już nadszedł. Dziś wieczór dowiedziałem się czegoś... czegoś złego... i zdaje mi się, że niebezpieczeństwo się zbliża.

— Policja?

— Nie, Pinkerton. Ale tobie, kochanie, z pewnością nic to nie mówi i nie wiesz, co to oznacza dla takich ludzi jak ja. Siedzę po uszy w tej awanturze i możliwe, że będę musiał szybko umykać. Powiedziałaś, że wyjedziesz ze mną.

— Jack, to twój jedyny ratunek!

— Pod pewnym względem, Ettie, jestem uczciwym człowiekiem. Za nic na świecie nie pozwoliłbym, aby ci włos spadł z tej pięknej główki lub żebyś bodaj trochę zeszła ze złotego tronu nad chmurami, na którym zawsze dla mnie królujesz. Czy mi zaufasz?

Bez słowa złożyła swą rączkę w jego dłoni.

— A zatem posłuchaj, co ci powiem, i zrób tak, jak mówię, bo w tym nasz jedyny ratunek. Okropne rzeczy zaczną się tu dziać już niebawem. Czuję to wyraźnie. Wielu z nas będzie musiało pomyśleć o własnej skórze. Ja do nich należę. Jeżeli więc przyjdzie mi uciekać, w dzień czy w nocy, będziesz musiała zrobić to samo!

— Ucieknę za tobą, Jack.

— Nie, nie za mną, lecz ze mną. Jakżebym cię zostawił w tej dolinie, do której kto wie, czy będę mógł kiedy wrócić? W dodatku wcale niewykluczone, że przyjdzie mi się ukrywać przed policją i nie zdołam się z tobą komunikować. Nie, nie, nie możemy się rozdzielać. Znam pewną poczciwą kobietę tam, skąd przybyłem, i u niej zostaniesz do czasu ślubu. Czy pójdziesz ze mną?

— Tak, Jack, pójdę.

— Niech ci Bóg wynagrodzi to zaufanie. I niech mnie skarże, jeśli cię zawiodę. Teraz zapamiętaj, Ettie: dam ci znać tylko jednym słowem, ale kiedy je dostaniesz, rzuć wszystko, przybiegnij prosto na dworzec i czekaj, dopóki po ciebie nie przyjdę.

— Na twoje pierwsze słowo przybiegnę, Jack, w dzień czy w nocy — powtórzyła.

Po tych wstępnych przygotowaniach do ucieczki McMurdo z trochę lżejszym sercem poszedł na zebranie łoży. Wszyscy już byli w komplecie i tylko po wymianie skomplikowanych znaków i kontrznaków udało mu się przejść przez kordon straży wewnętrznych i zewnętrznych. Powitał go

szmer zadowolenia. Gęsty tłum wypełniał cały pokój. Poprzez kłęby tytoniowego dymu McMurdo dojrzał czarną, zwichrzoną czuprynę mistrza, okrutną, wrogą twarz Baldwina, sępie rysy Harrawaya, sekretarza łoży i kilku innych jeszcze ludzi z grona starszozny. Ucieszył się więc, że wszyscy są na miejscu i że będzie się mógł z nimi naradzić nad otrzymaną wiadomością.

— Dobrze, żeś przyszedł, bracie — krzyknął doń mistrz — bo akurat mamy sprawę, którą tylko Salomon mógłby rozsądzić.

— Chodzi o Landera i Egana — wyjaśnił mu sąsiad, gdy McMurdo usiadł. — Obaj domagają się wyznaczonej przez łożę nagrody za głowę Crabbe'a ze Stylestown, a któż może stwierdzić, który z nich wpakował mu śmiertelną kulę?

McMurdo wstał i podniósł rękę. Wyraz jego twarzy natychmiast przykuł uwagę zebranych. Wszyscy czekali w głuchym napięciu.

— Ubóstwiany mistrzu — zaczął uroczystym tonem. Proszę o głos w nagłej sprawie.

— Brat McMurdo prosi o głos w nagłej sprawie — oznajmił McGinty — i w myśl reguł naszej łoży przysługuje mu to prawo. Słuchamy cię, bracie.

McMurdo wyciągnął list z kieszeni.

— Ubóstwiany mistrzu i bracia — zaczął. — Dziś jestem zwiastunem złej wieści, ale lepiej, abyśmy o tym wiedzieli i przedyskutowali ową wiadomość, niż gdyby niespodziewanie spadł na nas druzgoczący cios. Doniesiono mi, że najbogatsze i najpoważniejsze towarzystwa w Stanach połączyły swoje wysiłki, aby nas zniszczyć, i że w tej chwili detektyw z agencji Pinkertona, Birdy Edwards, działa już w dolinie, zbierając dowody, które wielu z nas mogą zaprowadzić na szubienicę, a każdego w tym pokoju do więzienia. Oto czemu prosilem o głos w nagłej sprawie i nad czym musimy się namyślić.

Zapadła grobowa cisza. Dopiero mistrz ją przerwał:

— Jakie masz dowody, bracie?

— List, który dostał się w moje ręce — odparł McMurdo i głośno odczytał znany nam już ustęp. — Jestem skrupowany słowem i dlatego nie mogę zdradzić żadnych szczegółów związanych z tym listem ani wypuścić go z rąk. Zapewniam jednak, że nie ma w nim nic więcej w sprawach loży. Powiedziałem wam, bracia, wszystko, co wiem.

— Pozwolę sobie zauważyć, mistrzu — wtrącił się jeden ze starszych braci — że słyszałem już o Birdym Edwardsie. Podobno to najlepszy z detektywów Pinkertona.

— Czy zna go ktoś z widzenia? — zapytał mistrz.

— Tak — odezwał się McMurdo. — Ja go znam.

Pomruk zdziwienia przeszedł przez pokój.

— Myślę, że mamy go w ręku — ciągnął McMurdo z tryumfalnym uśmiechem. — Jeśli będziemy działać szybko i mądrze, od razu ukręcimy mu łeb. Przy waszym pełnym zaufaniu i pomocy zaręczam, że nie potrzebujemy się niczego bać.

— Czemu mielibyśmy się w ogóle bać? Co on może wiedzieć o naszych sprawkach?

— Byłoby to słuszne, gdyby wszyscy byli tak nieprzekupni jak pan, panie radco. Ten człowiek jednak dysponuje milionami dolarów. Czy sądzi pan, że w naszych łóżach nie ma słabszych braci, których można by kupić? Dobierze się do naszych tajemnic... jeżeli już się nie dobrał.

— Mamy na to tylko jedną radę...

— Aby nie wyszedł z doliny — dokończył myśl Baldwin.

McMurdo skinął głową.

— Słusznie, bracie Baldwin — rzekł. — Często różniliśmy się ze sobą, ale tym razem przyznaję ci słuszność.

— Gdzież on się obraca? Jak go poznamy?

— Ubóstwiany mistrzu — z powagą zaczął McMurdo. Pozwolę sobie

zwrócić pańską uwagę, że ta sprawa jest zbyt poważna, abyśmy o niej mówili na ogólnym zebraniu loży. Niech mnie Bóg broni, abym podejrzewał kogoś z braci, ale wystarczy jedno słówko nie w porę, by ten człowiek dowiedział się o wszystkim, i wtedy już go nie osiągniemy. Sądzę więc, że należy wybrać komitet złożony z ludzi pewnych, a więc z pana, jeśli wolno mi proponować, z brata Baldwina i jeszcze pięciu innych braci. Wtedy będę mógł powiedzieć szczerze wszystko, co wiem i co radziłbym zrobić.

Bez namysłu przyjęto tę propozycję i wybrano komitet. Prócz mistrza i Baldwina weszli doń: Harraway, sekretarz o sępiej twarzy; Tygrys Cormac, brutalny młody morderca; Carter, skarbnik i obaj bracia Willaby, nieustraszeni desperaci, gotowi na wszystko.

Tym razem zwykła pijatyka trwała krótko i przebiegła w ponurym nastroju, albowiem lęk wkradł się w dusze tych ludzi. Wielu z nich po raz pierwszy zrozumiało, że pogodne niebo, pod którym żyli tak długo, zaczyna się powlekać chmurami nieubłaganej sprawiedliwości. Ucisk sprawowany nad innymi tak bardzo stał się częścią ich życia, że nigdy nie myśleli o jakiejś odpowiedzialności, toteż gdy niespodziewanie ujrzeli ją przed sobą, zdjęła ich trwoga. Rozeszli się więc niebawem, pozostawiając całą sprawę swoim przywódcom.

— Słuchamy cię, bracie McMurdo — rzekł mistrz, kiedy już zostali sami. Siedmiu ludzi zastygło w oczekiwaniu.

— Powiedziałem już, że znam Birdy'ego Edwardsa — zaczął McMurdo. — Nie potrzebuję chyba wyjaśniać, iż występuje on pod obcym nazwiskiem. To człowiek dzielny, pozwolę sobie stwierdzić, ale nie szaleniec. Podaje się za Steve'a Wilsona i zamieszkał w Hobson's Patch.

— Skąd to wiesz?

— Z przypadkowej rozmowy z nim. Wówczas nie przywiązywałem do niej wagi i gdyby nie ten list, nawet bym się nad nią nie zastanawiał. Ale teraz wiem, że to był Edwards. Spotkałem go w pociągu w środę... ani

słowa, twardy facet. Powiedział, że jest dziennikarzem. Nawet mu wtedy uwierzyłem. Chciał się dowiedzieć dla „New York Press”, czego się tylko da o złoczyncach i o tym, co nazywał ich zbrodniami. Zadał mi mnóstwo różnych pytań, byleby tylko coś zdobyć dla pisma. Oczywiście nic mu nie powiedziałem. „Zapłacę i to zapłacę dobrze — oznajmił — za materiał, który by odpowiadał mojemu wydawcy”. Naplotłem więc bajeczek, o których wiedziałem, że mu przypadną do gustu. Dał mi za to dwadzieścia dolarów. „Dostanie pan dziesięć razy tyle — rzekł — jeżeli wywie się pan dla mnie tego, o co mi chodzi”.

— A cóżeś mu powiedział, bracie?

— Co mi ślina na język przyniosła.

— Skąd wiesz, że to nie dziennikarz?

— Zaraz powiem. Wysiadł w Hobson’s Patch, dokąd i ja jechałem. Tak się złożyło, że wszedłem do urzędu telegraficznego, w chwili gdy on z niego wychodził. „Niech pan spojrzysz — rzekł mi telegrafista, kiedy zostaliśmy sami. — Czy nie powinienem za to policzyć podwójnie?” „Z pewnością” — odparłem. Edwards bowiem zapłacił blankiet jakąś chińszczyzną, z której nic nie mogliśmy pojąć. „Codziennie wysyła całe arkusze tego” — dorzucił jeszcze urzędnik. „Tak?” — zapytałem. — „To wiadomości dla jego gazety i boi się, żeby mu ich kto nie skradł”. Tak wtedy myślał ów urzędnik i tak ja myślałem, lecz teraz myślę inaczej.

— Słowo daję, masz rację! — wykrzyknął McGinty. — Jak uważacie, co powinniśmy zrobić?

— Może go sprzątnąć od razu? — ktoś zapytał.

— Tak, im prędzej, tym lepiej.

— Już bym był w drodze, gdybym wiedział, gdzie go znaleźć — rzekł McMurdo. — Mieszka w Hobson’s Patch, ale nie znam dokładniejszego adresu. Chcę wam jednak, bracia, przedstawić pewien plan.

— Mów, coś obmyślił.

— Jutro rano pojedę do Patch. Urzędnik pocztowy poda mi adres Edwardsa. Sądzę, że chyba wie, gdzie mieszka. Pójdę do niego, powiem, że jestem wolnomularzem i że sprzedam mu tajemnice łoży. Ręcę, że się na to złapie. Powiem też, że mam wszystkie dokumenty, ale że nie chcę ryzykować życiem i wozić ich, wobec czego musi przyjechać do mnie wieczorem, kiedy ludzie przestaną się kręcić w pobliżu. Z pewnością przyzna mi rację. Umówimy się na dziesiątą wieczór. Obiecuję mu wszystko pokazać. Na pewno połknie haczyk.

— No i co?

— Resztę możecie już sami sobie dośpiewać. Dom wdowy MacNamara stoi na odludziu. Ona jest głucha jak pień i wierna jak pies. Mieszkamy tam tylko we dwóch ze Scanlanem. Jeżeli Edwards powie, że przyjedzie — dam wam znać, czy mi się udało — przyjdziecie do mnie w siedmiu o dziewiątej wieczór. Wprowadzę go do domu, a jeśli wyjdzie z niego żywy, do samej śmierci będzie mógł się przechwalać swoim szczęściem.

— Chyba się nie mylę, ale u Pinkertona będzie niebawem wolna posada — zauważył McGinty. — No, więc na tym staję, bracie McMurdo. Jutro o dziewiątej spotykamy się u ciebie. Zamkniesz za nim drzwi, a my już zrobimy resztę.

VII

ZASADZKA NA BIRDY'GO EDWARDSA

Dom, w którym mieszkał McMurdo, zgodnie z tym, co sam powiedział, stał na uboczu, na odległym przedmieściu, nieco z drogi, i doskonale nadawał się do uplanowanej zbrodni. W każdym innym wypadku, jak to zresztą nieraz robili, spiskowcy wywołaliby po prostu swoją ofiarę i przeszli kulami, ale tym razem musieli ustalić, co ten człowiek wiedział i jakie wiadomości już przekazał do agencji Pinkertona. Mogło się zdarzyć, że się spóźnili i że detektyw zdążył się wywiązać z polecenia. Wtedy pozostawała im tylko zemsta. Mieli jednak nadzieję, że nie zdołał jeszcze dowiedzieć się nic ważnego, bo w przeciwnym wypadku — rozumowali — nie przetelegrafowałby tych bzdur, które mu napłótł McMurdo. O wszystkim mieli dowiedzieć się z własnych ust tego człowieka. Niech się tylko znajdzie w ich mocy, a już potrafią wydusić z niego prawdę! Nie pierwszy to raz będą mieli do czynienia z kimś opornym.

Tak jak ustalono, McMurdo pojechał do Hobson's Patch. Tego ranka jakoś dziwnie budził zainteresowanie policji. Kapitan Marvin — który twierdził, że miał z nim do czynienia jeszcze w Chicago — zagadnął go nawet na dworcu. McMurdo jednak wykręcił się do niego tyłem i nie odpowiedział ani słowa. Wrócił po południu i zaraz zobaczył się z McGintym w Domu Związkowym.

— Przyjedzie — oznajmił.

— Dobrze! — ucieszył się McGinty. Był bez marynarki. Na kamizelce opinającej potężny tors lśniły złote łańcuszki i breloki, a spod strzępiastej, kosmatej brody błyszczała brylantowa szpilka. Bogactwo i wpływy zawdzięczał knajpie i polityce. Tym straszniejsze wydało mu się widmo szubienicy lub więzienia, które ujrzał wczoraj wieczór.

— Myślisz, że dużo wie? — zapytał z niepokojem. McMurdo ponuro pokiwał głową.

— Siedzi tu już od dawna... co najmniej od sześciu tygodni, a nie przyjechał, aby oglądać krajobraz. Skoro tak długo kręci się wśród nas, w dodatku poparty worem kolejowych pieniędzy, pewnie już dużo wie i pewnie też zdążył o tym powiadomić, kogo należy.

— W naszej loży nie ma przekupnych ludzi! — wykrzyknął McGinty. — Każdy jest pewny. A jednak... Na Boga... ten śmierdzący tchórz Morris! Może on? Nikt inny nie mógł zdradzić tylko on! Może posłać paru chłopców jeszcze przed wieczorem, żeby wytłukli z niego wyznanie?

— Zaszkozić to nie zaszkodzi — odparł McMurdo. — Nie przeczę, że dość lubię Morrisa, i przykro mi będzie, jeżeli spotka go jakieś nieszczęście. Rozmawialiśmy raz czy dwa o sprawach loży i choć może różni się z nami, z panem i ze mną, w zapatrywaniach, nie sądzę, aby był donosicielem. Ale oczywiście to nie moja sprawa i nie będę go brał w obronę.

— Już ja uspokoję tego starego lajdaka — zaklął McGinty. — Cały rok mam go na oku.

— Pan wie lepiej — westchnął McMurdo. — Ale cokolwiek pan zrobi, niech pan zrobi jutro, bo dopóki nie załatwimy się z tą sprawą agencji Pinkertona, musimy siedzieć jak myszy pod miotłą. Nie możemy przecież właśnie dziś postawić całej policji na nogi.

— Masz rację — zgodził się McGinty. — I od samego Birdy'ego Edwardsa dowiemy się, skąd czerpie swoje wiadomości, choćbyśmy mu mieli serce wydrzeć z piersi. Czy nic nie podejrzewa?

McMurdo roześmiał się.

— Zdaje się, że trafiłem w jego słabą stronę — odparł. — Gotów wejść lwu w paszczę, byle wpaść na właściwy trop. Wziąłem od niego pieniądze — z uśmiechem pokazał paczkę dolarowych banknotów. — Przyrzekł drugie tyle, jeżeli mu pozwolę zajrzeć w dokumenty.

— Jakie dokumenty?

— Żadne. Ale nablagowałem mu, ile wlezie, o regulaminach, prawach, ceremoniach. Myśli, że w moim domu dowie się wszystkiego, zanim odjedzie.

— I ma rację — złowrogim tonem powiedział McGinty. — Czy nie pytał, czemu nie przywiozłeś tych papierów ze sobą?

— Tak, jakbym je mógł nosić przy sobie. Ja, człowiek podejrzany, którego kapitan Marvin dziś jeszcze zaczepił na dworcu!

— Mówiono mi o tym. Przypuszczam, że będziesz miał trochę kłopotu z tą całą historią. Oczywiście załatwiwszy się z Edwardsem, możemy go wrzucić do starego szybu, ale zauważą jego zniknięcie, a ty akurat dziś byłeś w Hobson's Patch.

McMurdo wzruszył ramionami.

— Przy odrobinie zręczności nie dowiodą nam zabójstwa — odparł. — Nikt nie powinien widzieć go wchodzącego w nocy do domu, a już ja tego dopilnuję. Teraz niech pan posłucha, panie radco. Wyłożę panu swój plan i proszę, niech pan każe innym zastosować się do niego. Przyjdziecie wszyscy zawczasu. Doskonale. On zjawi się o dziesiątej. Zastuka trzy razy i ja mu otworzę. Potem przepuszczę go i zamknę drzwi. Wtedy już go mamy.

— To jasne i zrozumiałe.

— Tak, ale następny krok wymaga zastanowienia. To twarda sztuka. Jest dobrze uzbrojony. Udało mi się go oszukać, racja, a jednak z pewnością będzie się pilnował. Wyobraźmy sobie, że wpuszczę go do pokoju i zobaczy jeszcze siedmiu ludzi zamiast mnie samego, jak się spodziewał. Strzelanina gotowa i ktoś z nas dostanie.

— Tak, słusznie.

— A hałas ściągnie policję z całego miasta na naszą starszyznę.

— Racja, ani słowa.

— Ja bym tak zrobił: zbierzecie się wszyscy w największym pokoju...

tym, w którym rozmawiał pan ze mną. Wpuszczę faceta do bawialni tuż przy wejściu i zostawię, udając się niby po dokumenty. Pozwoli mi to powiedzieć wam, jak sprawy stoją. Potem wrócę z jakimiś tam papierkami. Kiedy zacznie je przeglądać, skoczę na niego, by nie mógł wydobyć broni. Jednocześnie krzyknę na was i przybiegniecie. Im prędzej, tym lepiej, bo gość nie jest słabszy ode mnie i mogę nie dać mu rady. Sądzę jednak, że uda mi się obezwładnić go na chwilę, a potem już wy wpadniecie.

— Dobry plan — zgodził się McGinty. — Loża będzie ci miała wiele do zawdzięczenia. Kiedy skończy się moja kadencja, wysunę twoją kandydaturę.

— Panie radco, stawiam dopiero pierwsze kroki w naszym zakonie — odparł McMurdo, ale jego twarz wyrażała zadowolenie z pochwały mistrza.

Po powrocie do domu McMurdo zabrał się do przygotowań przed czekającą go nocą. Przede wszystkim wyczyścił, naoliwił i naładował rewolwer „Smith and Wesson”. Potem obejrzał bawialnię, do której miał zwabić detektywa. Był to duży pokój z długim sosnowym stołem pośrodku i wielkim kominkiem w jednym końcu. Po bokach były okna. Nie miały okiennic, przysłaniały je tylko lekkie kotary. Zbadał je uważnie. Niewątpliwie musiało go uderzyć, że ten pokój był za bardzo na widoku, jak na tak delikatną sprawę. Ale znaczenie tego faktu pomniejszało to, że dom stał daleko od drogi. I wreszcie poszedł pogadać ze swoim współtowarzyszem. Scanlan, choć sam złoczyńca, był nieszkodliwym, szarym człowiekiem, za słabym, by się sprzeciwić woli innych braci, ale jednocześnie przerażonym krwawymi zbrodniami, w których czasem musiał uczestniczyć. McMurdo w krótkich słowach wtajemniczył go we wszystko.

— Na twoim miejscu — rzekł — zwolniłbym się i wyniósł stąd. Dziś w nocy w tym domu szykuje się morderstwo — zakończył.

— Widzisz — odparł mu Scanlan — nie brak mi ochoty, tylko jestem

zbyt nerwowy. Kiedy zobaczyłem zarządcę Dunna padającego trupem tam w kopalni węgla, myślałem, że nie wytrzymam. Nie jestem do tego stworzony jak wy, ty i McGinty. Jeśli nie narażę się tym łoży, chętnie zrobię, jak mówisz, i sami sobie radźcie.

Spiskowcy stawili się o oznaczonej godzinie. Przyzwoicie i schludnie ubrani, wyglądali na poważnych i szanowanych obywateli, ale psycholog umiejący czytać z twarzy nie wróżyłby nic dobrego Birdy'emu Edwardsowi z tych zaciśniętych ust i nieubłaganych oczu. Nie było wśród nich człowieka, który by przynajmniej kilkunastoma zbrodniami nie splamił rąk. Mordowali ludzi z taką obojętnością jak rzeźnik barany. A na czoło wysuwał się oczywiście, zarówno z wyglądu, jak i z ilości grzechów na sumieniu, straszliwy Szef. Harraway, wysoki, szczupły, z długą, suchą szyją, ruchliwy, niespokojny, był nieposzlakowanej uczciwości w sprawach finansowych zakonu. Ale w stosunku do innych nie znał ani sprawiedliwości, ani uczciwości. Carter był mężczyzną w średnim wieku, o cerze żółtej jak pergamin i obojętnym, raczej posępnym wyrazie twarzy. Odznaczał się wielkimi zdolnościami organizacyjnymi i prawie wszystkie zbrodnie do ostatniego szczegółu zrodziły się w jego intryganckim mózgu. Bracia Willaby byli przede wszystkim ludźmi czynu: wysocy, zwinni i młodzi, o zdeterminowanych obliczach. Tygrysa Carmaca, krzepkiego i smagłego młodzieńca, bali się nawet koledzy z powodu jego nieopanowanej dzikości. Tacy byli ci ludzie, którzy zebrali się tego wieczoru pod dachem McMurdo, by zabić detektywa z agencji Pinkertona.

Tymczasem gospodarz postawił na stole butelkę whisky, a oni gorliwie zabrali się do niej, aby sobie trochę dodać ducha przed czekającą ich robotą. Baldwin i Carmac przyszli już podpici i alkohol wyzwolił z nich całą dzikość. Carmac przyłożył na chwilę rękę do rozpalonego pieca, w którym buzował ogień, bo wiosna była chłodna.

— To poskutkuje — rzekł i zaklął głośno.

— Aha — powiedział Baldwin zrozumiawszy, co tamten ma na myśli. —
Jeśli go przywiążemy, wyśpiewa całą prawdę.

— Nie ma obawy, wyśpiewa wszystko — wtrącił się McMurdo. Miał
chyba stalowe nerwy, bo choć cały ciężar wziął na swoje barki, wydawał się
spokojny i opanowany jak zawsze. Tamci zauważyli to i ocenili.

— Ty dasz sobie z nim radę — z uznaniem w głosie odezwał się McGinty.
— Nie zdąży nawet pisnąć, gdy go schwycisz za gardło. Szkoda jednak, że te
okna nie mają żaluzji. McMurdo przeszedł od okna do okna i szczelnie
zasunął kotary.

— Teraz już nikt nic nie dojrzy — rzekł. — Ale dziesiąta się zbliża.

— Może nie przyjdzie. Mógł zwęszyć niebezpieczeństwo — zauważył
sekretarz łoży.

— Nie ma obawy — uspokoił go McMurdo. — Tak samo się pali do
przyjścia, jak wy do zobaczenia się z nim. Słyszycie?

Zastygli niby woskowe figury, niektórzy ze szklankami w pół drogi do
ust; trzy razy głośno zastukano do drzwi.

— Cicho!

McMurdo ostrzegawczo uniósł dłoń. Kładąc ręce na broni, wymienili ze
sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Ani pary z ust, jeśli wam życie mile! — szepnął McMurdo i wyszedł z
pokoju, starannie zamykając drzwi za sobą.

Czekali, nadstawiawszy uszu, licząc kroki McMurdo idącego korytarzem.
Usłyszeli skrzyp otwieranych drzwi, parę słów powitania i czyjeś kroki już
wewnątrz domu. Doleciał ich obcy głos. Po chwili drzwi zatrzasnęły się i
klucz zgrzytnął w zamku. Zwierzyna wpadła w sidła! Tygrys Cormac
zarechotał straszliwie, a McGinty położył mu rękę na ustach.

— Cicho, wariacie! — szepnął. — Zgubisz nas!

Z przyległego pokoju dochodził ich odgłos rozmowy. Przedłużała się w
nieskończoność. Potem drzwi się otworzyły i z palcem na ustach wszedł

McMurdo.

Podszedł do stołu i powiódł okiem po twarzach siedzących przy nim ludzi. Jakaś zmiana w nim zaszła. Wyglądał na człowieka, który ma coś ważnego do spełnienia. Rysy mu skamieniały. Oczy zza okularów błyszczwały z podniecenia. Wyraźnie czuło się w nim przywódcę. Patrzyli na niego zdjęci ciekawością, ale on milczał. Wciąż tym niezwykłym spojrzeniem wodził od jednego do drugiego.

— No co? — nie wytrzymał McGinty. — Czy Birdy Edwards jest tu? Przyszedł?

— Tak — powoli odparł McMurdo. — Birdy Edwards przyszedł, Birdy Edwards — to ja!

Po tym krótkim stwierdzeniu w pokoju zapadła cisza, jak makiem zasiał. Syczenie kociołka na kominie urosło do rozdzierającego uszy gwizdu. Siedem twarzy bladych jak papier, zwróconych ku temu człowiekowi, który nad nimi dominował, zastygło w najwyższym przerażeniu. Nagle szyby rozprysły się z brzękiem i w każdym oknie błysnęły lufy karabinów, a zerwane kotary opadły na ziemię. Na ten widok McGinty ryknął niby zraniony niedźwiedź i skoczył ku uchylonym drzwiom. Ale zatrzymał go wycelowany weń rewolwer i groźne spojrzenie niebieskich oczu kapitana Marvina z Kopalnianej Policji, widocznych zza muszki na lufie. Cofnął się więc i opadł na krzesło.

— Niech się pan lepiej nie rusza z miejsca, panie radco — odezwał się mężczyzna, którego znali jako McMurdo. A panu — rzekł do Baldwina — radzę zdjąć rękę z broni, jeżeli chce pan uniknąć szubienicy. Oddaj ją zaraz albo, na Boga, który mnie stworzył... No, teraz dobrze. Dom jest obstawiony i sami zważcie, czy macie jakieś szansę wobec czterdziestu uzbrojonych ludzi. Marvin, niech ich pan rozbroi!

Pod lufami karabinów nie było co myśleć o oporze. Spiskowców rozbrojono. Posępni, ogłupiali i zdumieni siedzieli dalej wokół stołu.

— Chciałbym wam powiedzieć parę słów na rozstanie — rzekł Birdy Edwards. — Sądzę bowiem, że spotkamy się dopiero w sądzie, nie wcześniej. Dam wam więc temat do rozmyślań. Już wiecie, z kim mieliście do czynienia. Jestem Birdy Edwards z agencji Pinkertona. Polecono mi rozbić waszą bandę. Była to trudna i niebezpieczna gra, a prócz kapitana Marvinina i mojego pracodawcy żadna żywa dusza, nawet ta najbliższa mi i najdroższa na całym świecie, nic o niej nie wiedziała. Ale teraz już jest po wszystkim i dzięki Bogu ja tę grę wygrałem.

Siedem skamieniałych twarzy, z których cała krew uciekła, zwróconych było ku niemu. W utkwionych w niego oczach czaiła się straszliwa nienawiść. Ujrzał w nich nieubłaganą groźbę.

— Może myślicie, że jeszcze nie koniec. No cóż, zaryzykuję. Tak czy owak, niektórzy z was będą musieli spasować. A nie tylko wy, lecz jeszcze sześćdziesięciu innych członków loży powędruje dziś do więzienia. Powiem wam jeszcze, że kiedy poruczono mi tę sprawę, nie wierzyłem, iż może istnieć takie stowarzyszenie jak wasze. Myślałem, że to wszystko dziennikarskie kaczki, że to bzdury. Powiedziano mi, że macie jakiś związek z wolnomularzami, pojechałem więc do Chicago i zostałem wolnomularzem. Wtedy też jeszcze zdawało mi się, że to wszystko plotki, bo w tej organizacji nie spotkałem się z niczym złym, jedynie z samym dobrem. Musiałem jednak działać dalej. Przyjechałem do tej doliny. Tu dopiero przekonałem się o swojej pomyłce i o tym, że to wszystko nie była czza paplanina. Zostałem więc i wziąłem się do roboty. Nigdy nikogo nie zabiłem w Chicago; nigdy nie sfalszowałem ani jednego dolara. Te, które dostawaliście ode mnie, były najprawdziwsze w świecie. Ale nigdy też nie wydawałem ich w szlachetniejszym celu... Wiedziałem, jak się wkupić w wasze zaufanie, toteż powiedziałem wam, że jestem przestępcą. Wszystko poszło tak, jak się spodziewałem. Wstąpiłem więc do waszej piekielnej loży i uczestniczyłem w jej naradach. Ludzie pewnie powiedzą, że byłem nie

lepszy od was. Niech mówią, co chcą, ważne jest tylko to, że was nakryłem. Jakże wygląda prawda? W wieczór mojego przystąpienia do łoża pobiliście starego Stangera. Nie mogłem biedaka uprzedzić, bo nie miałem czasu, ale nie pozwoliłem Baldwinowi go zabić. A jeżeli dla utrzymania swojej pozycji wśród was doradzałem jakąś zbrodnię, to zawsze taką, której mógłbym cichcem zapobiec.

Nie udało mi się uratować Dunna i Menziesa, bo zostałem zaskoczony, dopilnuję jednak, by ich morderców powieszono.

Uprzedziłem Chestera Wilcoxa, zdążył się więc na czas wynieść z domu. Wielu zbrodniom nie mogłem zapobiec, ale jeżeli przypomnicie sobie, ile to razy człowiek, którego chcieliście zamordować, wracał inną drogą albo go nie było, kiedy po niego przyszliście, lub nie dał się wywabić z domu — zrozumiecie, że to ja maczałem w tym palce.

— Przekłęty zdrajca! — przez zaciśnięte zęby syknął McGinty.

— Może mnie pan nazywać, jak się panu podoba, jeśli to złagodzi pański ból. Pan i tacy jak pan są wrogami Boga i ludzi. Trzeba być prawdziwym mężczyzną, aby stanąć między wami a tymi biedakami, których trzymaliście w swym żelaznym uścisku. I był na to tylko jeden sposób; skorzystałem z niego. Nazywacie mnie zdrajcą, ja zaś myślę, że tysiące ludzi nazwą mnie zbawicielem, który zszedł w głąbie piekła, aby ich ratować. Żyłem w nim trzy miesiące. Nie chciałbym drugich takich trzech miesięcy nawet za skarbiec Waszyngtonu. Postanowiłem zostać tu dopóty, dopóki nie zdemaskuję was wszystkich i wszystkich waszych tajemnic. Poczekałbym jeszcze trochę dłużej, gdybym się nie dowiedział, że moja rola może się wydać. Otrzymałem tu w mieście list, który mógł wam otworzyć oczy. Musiałem więc działać szybko. To wszystko, nie mam już nic więcej do powiedzenia, chyba jeszcze tylko to, że u kresu moich dni łatwiej będzie mi umierać, gdy pomyślę, czego tu dokonał. A teraz, Marvin, nie zatrzymuję pana dłużej. Może ich pan zabierać.

Mało już pozostaje mi dodać. Scanlan dostał zapieczętowany list, który miał oddać pannie Ettie Shafter, czego się podjął z lekkim skinieniem głowy i porozumiewawczym uśmiechem.

Wczesnym rankiem piękna młoda kobieta i po uszy otulony mężczyzna wsiedli do specjalnego pociągu podstawionego przez Towarzystwo Kolejowe i szybko, nigdzie się po drodze nie zatrzymując, odjechali z tych niebezpiecznych dla nich okolic. Od tego czasu ani Ettie, ani jej ukochany nogą nie stanęli w Dolinie Trwogi. W dziesięć dni później pobrali się w Chicago, a stary Jakub Shafter był ich świadkiem.

Złoczyńców sądzono z dala od miejsca, gdzie ich zwolennicy mogliby wpłynąć na bieg procesu. Oskarżeni daremnie się bronili. Daremnie też łoża hojnie szafowała pieniędzmi — zdobytymi rozbojem i szantażem w owym okręgu — chcąc ich ratować. Najgorętsze wysiłki obrońców nie mogły zachwiać beznamiętnych, rzeczowych i obiektywnych zeznań człowieka, który znał każdy szczegół ich życia, organizację bandy i wszystkie jej zbrodnie... Nareszcie po tylu latach szajka została rozbita i rozproszona. Gęsta mgła na zawsze znikła z doliny. McGinty poszedł na szafot. Trząsł się ze strachu i płakał w ostatniej godzinie życia. Ośmiu jego najbliższych współników spotkał ten sam los. Pięćdziesięciu innych członków łoży skazano na dłuższe lub krótsze więzienie. Dzieło Birdy'ego Edwardsa zostało zakończone.

A jednak, tak jak przypuszczał, gra się nie skończyła. Była jeszcze jedna rozgrywka, a później druga i trzecia. Ted Baldwin uniknął kary śmierci; uniknęli jej też dwaj bracia Willaby i inni, najzacieklejsi z bandy. Dziesięć lat spędzili za kratkami, aż wreszcie nastał dzień, kiedy wyszli na wolność. Dzień, w którym, jak wiedział Edwards, skończy się dla niego spokojny i bezpieczny żywot. Tamci przysięgli sobie bowiem na wszystkie świętości krwawo pomścić swoich kolegów. I dochowali przysięgi. Po dwóch zamachach tak bliskich sukcesu, że trzeci z pewnością by się udał,

McMurdo musiał uciekać z Chicago. Pod fałszywym nazwiskiem schronił się w Kalifornii. Tam, wraz ze śmiercią Ettie, zgasł jasny promyk jego życia. Raz jeszcze o mały włos go nie zabito i raz jeszcze, pod nazwiskiem Douglas, pracował w odludnym wąwozie, gdzie do spółki z Anglikiem Barkerem zdobyli pokaźny majątek. Ale i tam doszło go ostrzeżenie, że mściciele są znów na jego tropie. Uciekł więc w sam czas do Anglii. Tu, ożeniwszy się po raz drugi, znalazł w swej małżonce godną siebie towarzyszkę i przez pięć lat pędził spokojny żywot ziemianina w hrabstwie Sussex, żywot zakończony zadziwiającymi wydarzeniami.

EPILOG

Po skończonym śledztwie sprawa Johna Douglasa przeszła do sądu. Przysięgli uwolnili go od winy i kary uznawszy, że działał w obronie koniecznej. „Za każdą cenę niech wyjedzie z Anglii”, pisał Holmes do jego żony. „Działają tu siły po stokroć groźniejsze niż te, od których się uwolnił. Anglia jest niebezpiecznym krajem dla pani męża”.

Dwa miesiące minęły od tego czasu i po trochu zapomnieliśmy o całej sprawie. Aż pewnego ranka w skrzynce na listy znaleźliśmy zagadkową kartkę: „O Boże, panie Holmes! O Boże!” — wyczytaliśmy na niej. Nie miała ani podpisu, ani nagłówka. Śmiałem się z tego dziwaczного listu, ale Holmes potraktował go niezwykle poważnie.

— Paskudna historia — rzekł i długo siedział ze zmarszczonym czołem.

Późnym wieczorem nasza gospodyni, pani Hudson, zaanonsowała nam jakiegoś pana, który w bardzo pilnej sprawie chciał się widzieć z Holmesem. Tuż za nią w drzwiach ukazał się Cecil Barker, nasz znajomy z otoczonego fosą dworu. Twarz miał wykrzywioną, a spojrzenie dzikie.

— Przynoszę złą wiadomość... straszną wiadomość — rzekł.

— Bałem się tego — zauważył Holmes.

— Czy dostał pan depeszę?

— Dostałem kartkę od kogoś, kto otrzymał depeszę.

— Chodzi o biednego Douglasa. Mówiono mi, że nazywa się Edwards, ale dla mnie do końca już pozostanie on Johnem Douglasem z wąwozu Benito. Mówilem już panu, że trzy tygodnie temu oboje wyjechali do Afryki Południowej na statku „Palmyra”.

— Tak.

— Wczoraj wieczorem statek był już w Capetown. A dziś rano doręczono mi tę depeszę od pani Douglas:

*Jack wpadł do morza w czasie sztormu na wysokości Wyspy Świętej Heleny.
Nikt nie wie, jak to się stało*

Ivy Douglas

— A więc tak to zrobili... — z namysłem rzekł Holmes. — Nie wątpię, że sprytnie zaaranżowali całą sprawę.

— Sądzi pan, że to nie był wypadek?

— Nigdy w świecie.

— Mord?

— Oczywiście.

— Ja też tak myślę. Ci przekłęci złoczyńcy. To piekielne gniazdo mściwych zbrodniarzy...

— Nie, nie, mój drogi panie — przerwał mu Holmes. Widzę w tym rękę artysty. Tym razem to już nie ucięta strzelba lub niezdarne sześciostrzałowe rewolwery. Poznać mistrza po robocie. A gdy spotkam się z takim artyzmem, od razu mówię: Moriarty. Ta zbrodnia zrodziła się w Anglii, nie w Ameryce.

— Ale po czym pan to poznaje?

— Po tym, że dokonał jej człowiek, który nie może sobie pozwolić na niepowodzenie... Człowiek, którego wyjątkowa pozycja polega na tym, że wszystko, do czego się bierze, musi się udać. Potężny mózg i potężną organizację puszczono w ruch, aby zgasić owo ludzkie życie. To tak, jakby zgnieść orzech kowalskim młotem, absurdalna strata sił, niemniej przeto orzech został zgnieciony.

— W jaki sposób wciągnięto w to tego człowieka?

— Mogę tylko rzec, że pierwsze słowo w całej sprawie zawdzięczamy jednemu z jego ludzi. Dobrze doradzono tym Amerykanom. Mając do załatwienia coś w Anglii, uciekli się, jak zawsze obcy zbrodniarze, do

pomocy miejscowej wielkiej sławy w dziedzinie przestępstwa. Od tej chwili los ich ofiary był przypieczętowany. Moriarty przede wszystkim skorzystał ze swojej organizacji, aby zidentyfikować Douglasa. Potem wskazał, jak zabrać się do rzeczy. I wreszcie, kiedy wyczytał o nieudanym zamachu, sam wkroczył z właściwym mu mistrzostwem. Pamięta pan, jak uprzedzałem Douglasa w jego dworze w Birlstone, że nadchodzące niebezpieczeństwo groźniejsze jest od poprzednich. Czy nie miałem racji?

Barker w bezsilnym gniewie uderzył się pięścią w głowę.

— 1 pan chce, żebyśmy siedzieli i czekali z założonymi rękami? Mówi pan, że nikt nigdy nie dorówna temu królowi zbrodniarzy?!

— Nie, tego nie mówię — rzekł Holmes ze wzrokiem utkwionym jakby w daleką przyszłość. — Nie twierdzę, że nie można go pokonać. Ale dajcie mi czas... dajcie mi czas!

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, gdy jego prorocze oczy próbowały przeszyć rozpościerającą się przed nami zasłonę.